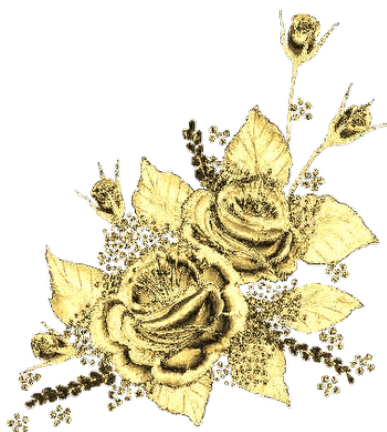




Sally Gunning



Wojna wdowy

Tytuł oryginału: *The Widow's War*

Jedna z podstawowych zasad angielskiej wolności gwarantuje wolność we własnym domu. Dom to twierdza swojego właściciela; i póki nikomu nie wadzi, właściciel powinien czuć się w domu tak bezpiecznie, jak księżę w swoim zamku.

Czyż kobiety nie rodzą się tak samo wolne, jak mężczyźni? Czyż nie byłoby niecnym twierdzenie, że wszystkie niewiasty z natury są niewolnicami?

James Otis (1725-1783)

Nasze szczęście zależy od nas, od spokoju i równowagi naszego umysłu, a nie od fanaberii innych. Stan wojny nigdy nie sprzyja pomyślności.

Mercy Otis Warren (1728-1814)

1

2 stycznia 1761 roku

Lyddie Berry usłyszała klangor gęsi i wiedziała, że ktoś lub coś się zbliża - kuzynka Betsey, wnuk Nate, kolejny wilk... Chociaż te głupie ptaki równie dobrze mogły tak zareagować na silniejszy podmuch wiatru. Kiedy

jednak ktoś głośno trzasnął drzwiami, odrzuciła wszystkie cztery ewentualności; obróciła się gwałtownie, aż zafurkotały jej spódnice, i zobaczyła Indianina, Sama Cowetta. Był taki wysoki i barczysty, że wypełniał sobą całe pomieszczenie. Spojrzał na nią swoimi czarnymi oczami - cóż takiego jest w tych oczach, że wydają się takie nieprzeniknione? Cofnęła się o krok i zaraz się zawstydziała z tego powodu, ale mężczyzna nic nie spostrzegł. Już patrzył przez nią na drzwi w głębi, wołając- „Wieloryby w zatoce!”. Na dźwięk tych słów wszyscy mężczyźni w osadzie zrywali się na równe nogi, więc Lyddie wcale się nie zdziwiła, kiedy natychmiast usłyszała stukot butów Edwarda. Mąż sięgnął po kurtkę i czapkę oraz śniadanie. Pajdę chleba wsunął do kieszeni, duszkiem wypił piwo, odstawił kubek i uśmiechnął się do Lyddie; nie szkodzi, że posyłając jej uśmiech, myślami był już przy wielorybach, a nie przy żonie - i tak mu odpowiedziała uśmiechem. Nie zauważył tego - wyszedł, nim jej spódnice przestały szeleścić.

Lyddie zjadła chleb i wychyliła swoje piwo, po czym przystąpiła do codziennych zajęć: wyszorowała cynowe naczynia, rozpałała ogień, by zrobić pranie, zestrugała mydło do kotła. Kiedy pierwszy raz szła do studni, spojrzała na drzewa. Wiatr był porywisty, ale wiał z jednego kierunku; obracając czwarty raz, zauważyła, że stał się zmienny, to od północy, to od wschodu, to od zachodu, czasami przybierał na sile, czasami słabł. Weszła do domu, wsadziła koszule i halki do kotła, żeby je wygotować, cały czas nasłuchując zawodzenia wiatru. Zeszła po drabinie do piwnicy po warzywa na obiad, ale nawet tam dobiegło ją wycie wichru; wdrapała się na górę, kroila rzepę i nasłuchiwała, zalała wodą soloną rybę, żeby się wymoczyła, i nasłuchiwała, przycinała knoty świec i nasłuchiwała, wygładzała piernaty na łóżku i nasłuchiwała. Powiesiła nad paleniskiem garnek z potrawką,

przegarnęła drwa w piecu i zamieszała pranie w kotle, po czym złapała opończę i czepek, wiszące na kołku, i wyszła.

Początek zimy był łagodny, drogę prowadzącą nad morze żłobiły głębokie i rozmiękle koleiny; Lyddie miała całe buty ubłocone, nim dotarła na Wzgórze Robbina i zobaczyła popielatą zatokę, upstrzoną łodziami unoszącymi się na spienionych falach. Opierając się wiatrowi, spoglądała na plażę, jak wzrokiem sięgnąć czarną od wielorybów zapędzonych na brzeg przez mężczyzn, uderzających wiosłami w wodę. To był piękny widok, jakiego nie oglądano w zatoce od kilku lat; Lyddie stała na skarpie, ściśle owinięta peleryną, i rozkoszowała się tą sceną, chociaż wiatr nie dawał jej spokoju. Szumiał w uszach, przechylał łodzie, miotał nimi; gnał fale daleko w głąb plaży i porzucał je, by ginęły między wielorybami. Wypatrywała łodzi wielorybniczej Edwarda, ale wszystkie wyglądały tak samo, chociaż wydawało jej się, że na jednej dostrzegła potężną sylwetkę Indianina. W końcu zrezygnowała i pozwoliła, żeby wiatr zapędził ją do domu.

Po powrocie przygotowała sobie południowy posiłek, składający się z potrawki, chleba i piwa. Na śniadanie dokończyli poprzedni bochenek i teraz wyciągnęła nowy, jak zwykle czując satysfakcję na widok jego idealnej symetrii i chrupkiej skórki, niedopuszczającej do środka powietrza, które przemieniało miąższ w kamień. Tylko przez chwilę poczuła się nieswojo, kiedy pomyślała, że na-pocznie nowy bochenek pod nieobecność Edwarda, ale w chwili, kiedy usłyszała słowo „wieloryby”, wiedziała, że sama spożyje południowy posiłek, więc nie trapiła się tym długo, a raczej nie trapiłaby się, gdyby nie ten wiatr. Pospiesznie zjadła i odstawiła to, co zostało, chleb starannie zawinęła w ściereczkę. Umyła talerz, rozwiesiła pranie przy ogniu, zmiotła kawałki kory, suche liście i sosnowe igły, które zawsze zaśmiecały

kuchnię, kiedy się brało drwa ze skrzyni na opał, posypała podłogę piaskiem, obserwowała, jak zapadają ciemności, i nasłuchiwała wiatru.

Kiedy niepokój przemienił się w lęk, a lęk w pewność? Wtedy, gdy sama zasiadła do kolejnego posiłku, składającego się z chleba, piwa i korniszonów? Wtedy, gdy ponownie usłyszała klangor gęsi? Czy też wiedziała to od samego rana, jak tylko wyszła na dwór i poczuła wiatr? Można równie dobrze powiedzieć, że wiedziała o tym, kiedy Edward po raz pierwszy wybrał się na wieloryby na rzekę Canada, albo kiedy się pobrali, albo kiedy jako młoda dziewczyna stała na plaży i obserwowała, jak Edward manewruje łodzią swego ojca w kanale Point of Rock. Bez względu na to, odkąd żyła z tą świadomością, Shubael Hopkins, kuzyn Edwarda,

I jego żona Betsey, przekraczając próg jej domu, nie byli zwiastunami tragicznej nowiny, tylko potwierdzili to, o czym wiedziała już od dawna.

Mówił Shubael. Poinformował Lyddie, że łódź Edwarda się wywróciła, że wyłowiono całych i zdrowych czterech ludzi, którzy z nim płynęli, że szukali do zmroku, ale Edwarda nie znaleźli; potem Lyddie już nic nie słyszała, aż dotarło do niej, że nie miała czego słuchać, bo wszyscy troje stoją w milczeniu, a świeca zrobiła się krótsza o cal.

Spojrzała na Shubaela. Jego kurtka była sztywna od soli, spod czapki wystawały pozlepiane, ciemne od wody włosy.

- Byłeś w pobliżu, kiedy to się stało? Spuścił wzrok, pokręcił głową.

- Sam Cowett dotarł tam pierwszy. On ich wyratował. Wszystkich z wyjątkiem...

- Ile godzin temu?

Małżonkowie spojrzeli na siebie.

- Będzie ze cztery. Przy takim zimnie i tak wzburzonym morzu...

Lyddie machnęła ręką, nie chcąc, żeby dokończył. Każda zameężna kobieta w osadzie wiedziała, że człowiek nie przeżyje zimą czterech godzin w morzu. Czowała, że powietrze wokół niej jest ciężkie od oczekiwań jej kuzynostwa. Spodziewali się, że będzie płakała lub pomstowała, ale nie czowała takiej potrzeby. Nie czowała nic poza lekkością i spokojem; obawy, które towarzyszyły jej od zawsze, sprawdziły się, i teraz było już po wszystkim.

Kuzynka Betsey podeszła do Lyddie, objęła ją i przycisnęła do swych bujnych piersi.

- Bądź dzielna, kuzynko, bądź dzielna, taka była wola Pana. Edward jest teraz w lepszym świecie; odpowiedział na wołanie, skierowane bezpośrednio do niego, by opuścić ziemski padół. Pomódlmy się za duszę twojego męża, by szybko znalazł bezpieczną drogę do naszego Pana. - Padła na kolana i spuściła głowę.

Lyddie spojrzała na kark kuzynki, na jej rzednące włosy schowane pod czepkiem, na poruszające się suche usta, wypowiadające słowa modlitwy; kuzynki, która urodziła i wychowała ósemkę zdrowych dzieci, której mąż wciąż żył i teraz stał obok niej - i poczuła, jak ją opuszcza spokój. Nie złożyła dłoni do modlitwy. Lyddie aż swędziała ręka, by trzepnąć Betsey i zmusić ją do milczenia. Jakim prawem tak szybko odprawia Edwarda, oddaje go Bogu bez walki? Wielebny Dunne głosił, że Bóg może tchnąć wieczne życie we wszystkich ludzi, jeśli mu się tak spodoba; skoro może rozpałić w Edwardzie wielki ogień życia wiecznego, czemu nie zapali w nim małego, migoczącego płomyka ziemskiego żywota? Lyddie oddała Bogu czwórkę swoich małych dzieci; z pewnością nie żąda zbyt wiele, prosząc Go, by zostawił jej męża, stanowiącego jedyne źródło ciepła i siły.

Lyddie wiedziała, o co się modlić. Spuściła głowę i złożyła ręce. Drzwi zewnętrzne się otworzyły; płomień świecy wystrzelił w górę; Lyddie

się odwróciła i zobaczyła swoje jedyne dziecko, swoją córkę Mehitable, jak idzie przez izbę w jej stronę. Dziewiętnaście lat, pomyślała Lyddie, dziewczyna ma dziewiętnaście lat i już nie jest dzieckiem, Lyddie w tym wieku była już mężatką, jej córka od trzech miesięcy też ma męża. Mehitable odziedziczyła po matce rumianą cerę, słuszny wzrost i zdrowie, ale Lyddie odniosła wrażenie, że dziewczyna się skurczyła i zbladła, jakby wkroczyła w przeszłość swej matki albo we własną przyszłość. Lyddie spuściła głowę i zamknęła oczy, ale zrozumiała, że jej modlitwa jest dziecięcą próbą cofnięcia się zamiast kroczenia do przodu; nie ochroni ani Edwarda, ani córki. Lyddie spróbowała innej modlitwy, tej, którą odmawiała kuzynka Betsey, ale ona wydała jej się równie dziecinna. Czemu zwracać się o cokolwiek do Boga, skoro On i tak robi to, na co mu przyjdzie ochota?

2

Lyddie otworzyła oczy i ujrzała czerń, przesunęła głowę na poduszce i dostrzegła na ścianie jasnoszary kwadrat okna tam, gdzie nie powinno go być. Przekręciła się na łóżku i poczuła falę zimna od strony, skąd powinno bić ciepło męskiego ciała. Zamknęła oczy, by nie widzieć okna, ale nie

mogła odgradzić się od zimna ani od smagającego ją wiatru. Rozejrzała się dookoła w świetle pierwszego brzasku i przypomniała sobie, że jest w nieogrzewanym pokoju w północno--wschodnim narożniku domu swojego zięcia, Nathana Clarke'a. W domu zięcia. Ktoś spakował jej skromny dobytek; widziała pod ścianą mały kufer, wciśnięty pomiędzy komodę a krzesło. Odrzuciła kołdrę i odszukała nocne naczynie. Ubranie, które miała na sobie poprzedniego dnia, leżało na wieku kufra; zarzuciła na nocną bieliznę pikowaną halkę i ciepłą koszulę, zawiązała troczki, wciągnęła wełnianą suknię i pończochy, wsunęła stopy w buty i rozejrzała się za szalem.

Usłyszała za sobą jakieś stuknięcie; odwróciła się i zobaczyła małą dziewczynkę w grubej sukience z niebieskiej wełny, podnoszącą z podłogi drut do robótek. Wszyscy pasierbowie Mehitable byli jasnowłosi i jasnoocy; trzynastoletnia Jane niedawno nabrała kobiecych kształtów, dwunastoletni Nate przygotowywał się ze swoim korepetytorem do studiów na Harvardzie; potem długo nic, albowiem Nathan Clarke zmarnował kilka lat z bezpłodną, chorą na suchoty żoną, nim ją złożył w grobie i znalazł kolejną, która ledwo urodziła mu jedno dziecko, obecnie pięcioletnią Bethiah, zaraz podążyła w ślady swojej poprzedniczki, robiąc miejsce dla Mehitable.

Bethiah uniosła anemiczną, trójkątną buzię i zakaszła.

- Mama pyta, czy babka zje z nami śniadanie.

- Dziękuję ci, moje dziecko. Powiedz mamie, że zaraz przyjdę. Ale dziewczynka się nie poruszyła.

- Mama mówi, że dziadek utonął. Mówi, że babka zamieszka teraz z nami. Mówi, że będzie miała ten pokój dla siebie, i wydzieloną część paleniska, i jeden dzień, by korzystać z pieca chlebowego. Mama piecze w piątki. W jaki dzień babka będzie piekła?

- Cóż, z pewnością nie w piątki.

Dziewczynka wybiegła. Lyddie podeszła do umywalni i spryskała wodą twarz i ręce. Wzięła szpilki i owinęła włosy wokół palców; dopiero za trzecim razem udało jej się upiąć fryzurę. Znalazła szal i okręciła się nim ściśle, już dygocząc z zimna, a może wcale nie z zimna. Wzięła głęboki oddech, wypuściła powietrze z płuc i weszła do głównej izby.

Wszyscy siedzieli za stołem z wyjątkiem Murzynki Hassey, biegającej tam i z powrotem z kubkami i talerzami. Lyddie usiadła na ławie obok Nate'a, który zrobił dla niej miejsce, a Jane podała jej talerz z pieczywem.

- Cóż, matko - odezwał się Nathan. - Widzę, że dzielnie zniosłaś tę ciężką próbę. Powiedziano mi, że wszyscy wrócili cali z wczorajszych połowów z jednym wyjątkiem, a tym wyjątkiem jest oczywiście nasz drogi ojciec. Cóż za okrutny los. Byłem na brzegu i mogę cię zapewnić, że na piasku leży tyle wielorybów, że dałoby się po ich grzbietach dojść do Rock Harbor. Już się nie mogę doczekać, kiedy obliczę nasz zysk; wysłałem dwie łodzie z dziesięcioma ludźmi. Słyszałem, że cena tłuszczu wielorybiego jest bardzo korzystna.

Nathan skończył jeść chleb, odsunął krzesło i obciągnął kamizelkę, opinając mu brzuch.

- Chodź, Nate, musimy przyprowadzić żywy inwentarz dziadka. Wszyscy wstali od stołu razem z nimi, na każdego czekały jakieś obowiązki: na Mehitable w piwnicy, na Jane na schodach, na

Bethiah przy zmywaniu naczyń, a na Hassey przy krowach i kurach. Lyddie wyjrzała przez okno na wierzchołki drzew; wiatr wiał teraz od morza; przyływ będzie wysoki. Wzięła kapelusz, opończę i wyszła.

Stała chwilę na Drodze Królewskiej, rozglądając się, zaskoczona, że świat tak mało się zmienił. Po obu stronach drogi przycupnęły małe szare

domki o spadzistych dachach; na zachód od niej woda jak zwykle obracała kołem młyńskim, konie przed karczmą prychały i szurały kopytami. Lyddie zwawym krokiem ruszyła Drogą Królewską na wschód i niebawem odniosła wrażenie, że chłód na dworze niewiele się różni od tego, który czuje w środku; nie zwolniła, póki nie dotarła do drogi prowadzącej ku brzegowi. Skreśliła w nią. Gdy mijala dom Edwarda, z obory dobiegły ją głosy obu Nathanów, ale nie zajrzała tam ani się nie zatrzymała; szła, aż znalazła się nad zatoką, która zmieniła kolor z popielatego na ciemnoszary, plaża przypominała czarno-czerwoną szachownicę, bo już przystąpiono do ćwiartowania wielorybów. Kiedy Lyddie zeszła na piasek, kilku mężczyzn uniosło głowy, ale kobieta odwróciła się do nich plecami i ruszyła na zachód, popychana przez wiatr, wzrok utkwivszy w tym, co wyrzuciły fale. Nie zaczepił jej żaden z mężczyzn wycinających tłuszcz wielorybi; wiedzieli, czego szuka: nie żywego, oddychającego człowieka, ale dowodu jego śmierci.

Lyddie szła brzegiem aż do potoku napędzającego młyńskie koło, potem ruszyła wzdłuż rzeczki, aż zbity torf przemienił się w mokradła, ale nie znalazła najmniejszego śladu Edwarda; widziała tylko wodę, która go zabrała. Stanęła tyłem do wiatru i spoglądała na morze, zastanawiając się, jakie to uczucie tonąć. Nie potrafiła wymienić niczego, z czym dałoby się to porównać; ale kiedy się odwróciła, wiatr smagnął ją w twarz, aż odebrało jej dech. Skuliła się i stawiała czoło wichrowi. Zbliżywszy się do zakrwawionych cielsk, zobaczyła, że przystąpiono do kolejnego etapu prac: przyniesiono kotły do wytapiania tłuszczu, garstka mężczyzn i wyrostków biegała tam i z powrotem, układając stosy drewna pod wielkimi kadziami, do których wrzucano duże kawały wielorybiego tłuszczu, a starsi mężczyźni stali w pobliżu z chochlami na długich rączkach, gotowi do zbierania tranu.

Jeden z mężczyzn odłożył chochlę i ruszył w jej stronę: kuzyn Edwarda, Shubael Hopkins. Lyddie miała już dość słuchania Shubaela; nim się do niej zbliżył, skręciła w drogę prowadzącą w głąb łąd.

Tym razem Lyddie spojrzała na dom i budynek gospodarczy należące do Edwarda, kiedy je mijała: te same szare gonty, te same ciężkie, drewniane drzwi, te same okna pod wysuniętymi okapami, ale wszystko to zdawało się teraz pogrążone w dziwnej martwocie. Pospiesznie skierowała się na Drogę Królewską, przy której stał dom Nathana Clarke'a, okazalszy od innych, piętrowy.

Do Nathana akurat ktoś przyjechał: wysoki, tyczkowaty, rdzawo-włosy jegomość właśnie przerzucił nogę nad zadem równie wysokiego i chudego gniadosza. Patrząc na mężczyznę i jego konia, Lyddie przypomniała sobie, jak nazywa się przybysz: Ebenezer Freeman, brat kuzynki Betsey, dawniej mieszkający w wiosce Satucket, teraz prowadzący praktykę adwokacką w mieście Barnstable. Lyddie widywała prawnika, kiedy składał wizyty jej mężowi albo gdy odwiedzała kuzynkę, a on akurat bawił u swojej siostry; przyspieszyła kroku i znalazła się obok niego akurat, kiedy skończył uwiązywać konia.

Przez lata, gdy bez względu na pogodę objeżdżał okręg sądowy, niegdyś regularne rysy mężczyzny nabrały ostrych kantów; na widok Lyddie jego oblicze stało się jeszcze bardziej pomarszczone.

- Wdowa Berry! Właśnie przybywam od swojej siostry. Byłem u niej wczoraj wieczorem, kiedy Shubael... Chciałem powiedzieć...

- Urwał i odwrócił wzrok. - Nie... Proszę mi wybaczyć, nie mogę...

- Znów na nią spojrzał. - Proszę pozwolić, że odprowadzę panią do domu, bo straszny ziąb.

Wyciągnął rękę, by ująć kobietę pod ramię. Wyrwała mu się. Dlaczego wszyscy oni są tacy szybcy? Ze stajni do domu, z jednego domu do drugiego, z żony na wdowę. Spojrzała przez otwarte drzwi stajni na skubiącego siano konia Ebena Freemana; za wierzchowcem widać było inwentarz żywy Nathana: parę gniadych i karego, trzy krowy... Znów spojrzała. Czarny koń i mniejsza krowa należały do Edwarda.

- Przed chwilą nazwał mnie pan wdową - zwróciła się do prawnika. - Czy w świetle prawa już nią jestem?

- Jeszcze nie.

- A kiedy będę?

Nie odpowiedział od razu.

- Zostanie pani oficjalnie uznana za wdowę, kiedy albo odnajdą się zwłoki pani męża, albo sąd uzna go za zmarłego.

- Pan spisywał jego ostatnią wolę, prawda? Znów nie odpowiedział jej natychmiast.

- Panie Freeman, nie musimy czekać na orzeczenie sądu. Mój mąż nie żyje. Chciałabym wiedzieć, jak się przedstawia moja sytuacja.

- No cóż, w testamencie mąż zapisał pani, zgodnie z przyjętym zwyczajem, jedną trzecią, przysługującą wdowie. Na pana Clarke'a, najbliższego pani krewnego płci męskiej, przechodzi tytuł własności całego majątku, natomiast pani jako wdowa po Edwardzie ma prawo albo do użytkowania jednej trzeciej domu, albo do dysponowania jedną trzecią zysku z jego sprzedaży w zależności od tego, co zadecyduje pan Clarke. Oczywiście dopóty, dopóki pozostanie pani wdową po Edwardzie Berrym. Pani mąż zastrzegł, że może pani zatrzymać wszystkie przedmioty osobiste, które wniosła pani w posagu; poza tym ustanowił na pani rzecz prawo do dysponowania mlekiem od jednej krowy. Przez cały okres pani

wdowieństwa pan Clarke zobowiązany jest do utrzymywania pani i zapewnienia jej opieki. Gdyby tak się stało, że... - Urwał. - Wdowo Berry, pani dygocze. Proszę pójść ze mną do domu.

Ujął ją pod ramię i tym razem pozwoliła mu się poprowadzić. Główna izba prezentowała się znacznie przytulniej: Hassey wyszorowała podłogę, Mehitable nastawiła wodę w imbryku, Jane przycięła knoty w świecach. Mała Bethiah siedziała przy stole i wyskrobywała resztki dyni z formy.

Na dźwięk głosu prawnika Nathan wyszedł z gabinetu.

- Freeman! Cieszę się, że pana widzę.

- Moje wyrazy współczucia, panie Clarke. Dla pana i...

- Tak, tak, jesteśmy pogrążeni w żalu. Nie wiem, jak się z tego otrząśniemy. Zapraszam do siebie, mamy wiele do omówienia.

Zaciągnął prawnika do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

3

W niedzielę od rana wiał silny wiatr, targając wszystkim w dolinie młyńskiego potoku. Kobiety i dziewczynki wcisnęły się do dwukółki, a ojciec i syn osiodłali konie. Młyn wodny był w święto nieczynny, ale potok pienił się w kamienistym korycie, wypłynawszy ze stawu młyńskiego, aż nikał w zatoce. Mehitable powoziła dwukółką; minęli dom Smalleya i jeszcze dwa domy Clarke'a, nie napotykając żywej duszy; na Poverty Lane wyprzedzili furmankę pełną Perrych i rodzinę Searsów, zdążającą pieszo, a

nim dostrzegli zbór, Droga Królewska była upstrzona ludźmi, idącymi i nadzieżdżającymi z obu stron.

Nathan Clarke zsiadł z wierzchowca przed domem modlitwy i zajął się koniem zaprzężonym do dwukółki; kobiety i dzieci wysiadły z wozu. Podeszła do nich kuzynka Betsey i uraczyła Lyddie jeszcze kilkoma słowami o tym, jakiej to wielkiej łaski dostąpił Edward; Lyddie podziękowała i udało jej się uwolnić od towarzystwa kobiety; stwierdziła jednak, że kiedy uciekła przed ckliwym spojrzeniem Betsey, podobnym obrzucił ją gniadosz, stojący za nią. Pospieszyła do środka. Mehitable i dzieci już zajęły miejsca. Lyddie położyła sobie u stóp gorącą cegłę i też usiadła. W zborze jak zwykle było prawie trzy razy więcej kobiet niż mężczyzn. Czy takie same proporcje występują w zaświatach? - zastanawiała się Lyddie. Czy to miała na myśli kuzynka Betsey, mówiąc o łasce, jaka spotkała Edwarda?

Linnell Foster wystąpił naprzód ze swoim małym dzieckiem, by je ochrzczono, i Lyddie usłyszała ostry trzask pękającego lodu, gdy wielebny Dunne zanurzył rękę w misie. Niemowlę zakwiliło, czując na główce dotyk zimnych palców. „Nie szukaj pocieszenia na tym świecie”. To były pierwsze i ostatnie słowa pastora, które usłyszała Lyddie, ale nie potrafiła powiedzieć, gdzie błądziła myślami przez następne dwie godziny, skłonna była przypuszczać, że o niczym nie myślała, niczego nie czuła poza zimnem.

Po nabożeństwie wyszli na kłujący śnieg. Nathan Clarke postanowił, że czas do popołudniowej mszy spędzą w gospodzie Bangsa po drugiej stronie drogi, i poprowadził tam całą rodzinę. W pewnej chwili bracia Grayowie, Jabez i Roland, oddzielili Lyddie od jej bliskich. Mężczyźni rozmawiali, przekrzykując wiatr.

- Morze przez tydzień się nie uspokoi.

- Temu szalonemu Indianinowi to nie przeszkadza.
- Szalony czy nie, trzeba przyznać, że potrafi kierować łodzią wielorybniczą.
- Być może, ale nie będę z nim pływał.
- Dostaję od niego więcej niż od wszystkich znanych mi Anglików.
- Porozmawiamy o udziałach w zyskach, kiedy cię wyłowią z morza alkoholu.
- Przecież uratował tamtych czterech, no nie? Wolę z nim nie zadzierać.

- W takim razie nie jesteś Edwardem Berrym.

Na dźwięk imienia męża drgnęła, jakby wymierzono jej policzek. Przyspieszyła kroku i dogoniła swoich krewnych, akurat kiedy wchodzili do gospody. Tak jak inni wsadziła cegłę do ognia, by się znów nagrzała, i rozejrzała się dookoła. Długą izbę wypełniał gwar ludzi, którzy schronili się tutaj przed zamiecią; ich ubrania parowały, z kominka i fajek unosiły się kłęby dymu. Lyddie trudniej było oddychać tutaj niż na dworze. Zrobiła krok w kierunku pobliskich drzwi. Nagle coś wpiło się w jej ramię mocno niczym szpon jastrzębia. Odwróciła się i zobaczyła starą akuszerkę, babkę Hall.

- Nie upadaj na duchu, wdowo Berry! Twój mąż siedzi po prawicy Boga i pomaga Mu troszczyć się o wasze dzieci.

- Czy Bóg nie może sam opiekować się swymi zmarłymi? Powinien mieć na to dużo czasu, skoro tak mało go poświęca, by troszczyć się o żywych.

Babka Hall zamrugnęła powiekami. Kilka osób w pobliżu odwróciło się w stronę Lyddie, a ona czuła, jak żelazna obręcz opanowania, która otaczała ją ściśle od trzech dni, zaczyna rdzewieć; uwolniła się od uścisku starej

kobiety i przeszła przez najbliższe drzwi do mniejszego, pustego pomieszczenia. Nie doglądano tu ognia na kominku; uniosła spódnicę i podeszła możliwie najbliżej do paleniska, ale i tak nie poczuła na twarzy fali ciepła.

W zimnym powietrzu rozległ się głos, znajomy głos, który dobiegł z sąsiedniej izby.

- Trzy słusznej wielkości izby na dole - powiedział Nathan - plus jedna mniejsza, i spiżarnia, a na górze ładne poddasze.

- A las?

- Dwa i pół hektara. A jeśli jesteś zainteresowany udziałem w słupie...

- Na co mi udział w słupie? Szukam domu dla córki. Gdybyś jeszcze dorzucił do tego meble...

- Meble! Naturalnie. Ale o meblach porozmawiamy osobno.

- Zgoda. Za dom i las proponuję trzysta.

- Czterysta.

- Trzysta dwadzieścia.

- Trzysta osiemdziesiąt funtów, Smalley, i nie opuszczę ani pensa. A więc?

- Zgoda. Kiedy sfinalizujemy transakcję? Sąd musi najpierw uznać Edwarda za zmarłego.

- To formalność. Mamy świadków, którzy widzieli, jak wpadł do morza.

- Racja. Ale najpierw chciałbym obejrzeć dom.

- Nic nie stoi na przeszkodzie. Może w czwartek o dziewiątej?

- Świetnie.

Rozległy się odgłosy kroków, jedne ciche, drugie stawiały się wyraźniejsze. Lyddie się odwróciła, wołąc spotkać się z tym, kto tu

zmierzał, oko w oko. A ponieważ była wysoka jak na kobietę, a diakon Smalley niski, rzeczywiście znaleźli się oko w oko. Mężczyzna wydawał się zaskoczony, widząc ją samą w pustym pomieszczeniu, ale zachował się ze zwykłą dla siebie galanterią.

- Dzień dobry, wdowo Berry. Lyddie spuściła głowę.

- Rozmawiał pan z panem Clarkiem o domu mojego męża?

- Ach, więc słyszała pani i teraz chce mi udzielić reprimendy! Cóż, obiecuję, że w niedzielę nie będzie już więcej rozmów o interesach. Czy to panią satysfakcjonuje?

- Nie przeszkadzają mi rozmowy o interesach w niedzielę. Chodzi mi o sam dom.

- W takim razie nie ma pani powodu do niepokoju, wdowo Berry. Pani syn i ja już się tym zajęliśmy. Proszę mi wybaczyć, ale muszę iść po swoją rodzinę. Do widzenia, wdowo Berry.

*

Lyddie obudziła się w kompletnej ciszy, jakby nagle odleciała chmara dokuczliwych owadów. Wiatr ustał, ale jego miejsce zajął zapach tłuszczu wytapianego w kotłach, wdzierający się przez szpary tak uparcie, jak przez kilka ostatnich dni czyniła to wichura.

I wyraźnie się ochłodziło. Lyddie skorzystała z naczynia nocnego

I zaczęła się szybko ubierać. Znieruchomiała, kiedy usłyszała głośnie skrzypnięcie drzwi zewnętrznych. Wcześniej na składanie wizyt. Dobiegły ją przyciszone głosy, ciężkie kroki, szuranie stóp, szczebiot Bethiah: „Kto to? Kto to? Co, Jane? Co? Nie! Och, nie!”.

Resztę Lyddie słyszała jakby z głębi studni: polecenie Nathana, by mu dać koc, szurgot krzesła, stukot wiadra, głuche uderzenie obutych nóg o drewno. Otworzyła drzwi i przeszła przez izbę do stołu, wokół którego

zebrała się rodzina. To, co na nim leżało, nieco przypominało Edwarda. Właśnie tego szukała na brzegu: dowodu, że utonął. I oto miała przed sobą niezbity dowód. Jego ubranie robocze pozostało nietknięte, ale twarz i ręce padły ofiarą rozszalałego morza albo jakichś padlinożerców, czających się w lodowatej wodzie. Miała kłopot z rozpoznaniem swojego męża w tym bladym, zdeformowanym, sponiewieranym trupie. Chyba byłoby lepiej, gdyby morze zatrzymało go po wsze czasy. Ktoś ujął ją delikatnie pod łokieć. Nathan.

- Pomódlmy się.

Wszyscy padli na kolana wokoło stołu.

- Błogosławieni, którzy umierają w Panu - zaczął Nathan.

Odpowiedziało mu chóralne: „Amen”.

4

Lyddie zachowywała się jak w transie, w stanie półświadomości, przypominała automat. Ludzie przychodzili i wychodzili, przynosząc ze sobą wszechobecny zapach wielorybiego tłuszczu, spowijając Lyddie swoją pobożnością; w tamtą długą, cichą noc pojawiło się jeszcze wielu gości, po wielekroć rozległy się słowa tych samych modlitw. Rano milcząca procesja udała się na cmentarz przykościelny, a potem wszyscy odwrócili się od Lyddie z wyraźną ulgą, którą starali się ukrywać, i zajęli swoimi sprawami.

Wieczorem po kolacji Nathan Clarke poprosił ją do swojego gabinetu. Siedział za biurkiem, tyłem do niej, w rozpiętej kamizelce, z fajką w dłoni, ze szklaneczką na podorędziu. Odwrócił głowę w stronę Lyddie.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość, matko. Diakon Smalley zaproponował godziwą cenę za dom i las ojca, a także za meble. Uważam, że zyskasz niezłą sumkę na swoje wstążki i szpilki.

- Niektóre sprzęty wniosłam w posagu.

- Nie wątpię.

- Z tego, co powiedział pan Freeman, wynika, że te przedmioty należą teraz do mnie.

Nathan Clarke uniósł szklaneczkę do ust, ale nie napił się z niej.

- Owszem, jeśli koniecznie chcesz je zatrzymać. Jak dobrze wiesz, moja żona, pełna najlepszej woli, odstąpiła ci duży pokój frontowy, ale z pewnością zauważyłaś, że nie mamy gdzie wynieść obecnie znajdujących się w nim sprzętów. O wiele rozsądniej sprzedać cały majątek ruchomy diakonowi Smalleyowi i w ten sposób powiększyć swoje dochody. Cóż, jeśli chcesz zatrzymać jakiś świecznik czy zastawę stołową... Wiem, że posiadasz kilka ładnych drobiazgów, więc naturalnie...

- Owszem, chcę zatrzymać kilka przedmiotów. Pociągnął łyk i odstawił szklaneczkę.

- A więc dobrze. Zabierz je przed dziewiątą rano w czwartek, żebym mógł je wykreślić z listy.

*

Poprosiła czarnoskórego Jota, męża Hassey, by zawiózł ją wozem. Zapach wytapianego tłuszczu wciąż był silny i Lyddie serce podeszło do gardła. Ponownie doznała tego samego uczucia na widok domu. Wyglądał na całkowicie wymarły. Pchnęła drzwi, zobaczyła zimne palenisko i zrozumiała, co jej tak nie pasowało, kiedy spoglądała na dom z zewnątrz: prawie nigdy nie widziała, żeby z komina nie unosił się dym.

Weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i skierowała się prosto do kuchni. Jeśli nie liczyć braku ognia, nic się nie zmieniło: kociołek wisiał nad paleniskiem; podstawki, opiekacz i żelazny trójnóg stały na cegłach; fajka Edwarda, obcęgi i muszkiet znajdowały się na swoim miejscu; w kącie widać było kołowrotki do wełny i lnu. Lyddie wzięła z półki pudełko na hubkę i krzesiwo, położyła na palenisku kawałek hubki i przystąpiła do rozpalania ognia. Niezbyt była w tym biegła; kiedyś, na początku małżeństwa, najadła się wstydu, bo pozwoliła, żeby ogień zgasł. Ale i tak wolała pobiec do Smalleyów po odrobinę żaru, niż męczyć się z hubką. Teraz w końcu udało jej się skrzesać iskrę, od której zatliła się hubka, a potem buchnął płomień. Wygrzebała w skrzyni na opał kawałki kory i dorzuciła do paleniska. Potem dołożyła jeszcze dREW. Bijące od pieca ciepło zmusiło ją do odsunięcia się. Kucała przed kuchnią, aż w całym ciele poczuła błogość. Ale jak tylko przestał jej dokuczać chłód, uświadomiła sobie, że jeszcze bardziej doskwiera jej beczynność.

Lyddie wyprostowała się i rozejrzała dookoła, w myślach przeprowadzając remanent dobytku: stół i krzesła, zrobione przez

Edwarda, będzie musiała zostawić córce diakona, ale zabierze garnki - żelazny i miedziany - które jej wiernie służyły przez dwadzieścia lat małżeństwa, a także cynowe talerze, kubki i łyżki. Lyddie znała matki i córki, które wbrew powszechnemu zwyczajowi nie prowadziły osobnych gospodarstw, mieszkając pod jednym dachem, ale Mehitable nie wystąpiła z taką propozycją, zresztą Lyddie wcale tego nie oczekiwała. O ile nie zostanie zaproszona do ich stołu, zamierzała sama dla siebie gotować. Ponieważ jednak matka i córka w różne dni będą korzystały z pieca chlebowego i urządały pranie, mogą się dzielić dzieżami i łopata do chleba, wiadrami i baliami. Lyddie zatrzyma własne bańki na mleko i formy do

sera; miała nadzieję, że Mehitable znajdzie dla nich miejsce w spiżarni. Ostatecznie Edward zadbał o to, by Lyddie miała mleko, doskonale wiedząc, jak się chlubi produkowanym przez siebie nabiałem; prawdę mówiąc, sam z taką dumą nakłaniał gości, by się częstowali jej serem, że Lyddie zarzuciła mu kiedyś, że próbuje się jak najszybciej go pozbyć.

Lyddie przeszła do paradnej izby. Znajdowało się tutaj niewiele przedmiotów, które wniosła w posagu, ale kilka było jej szczególnie drogich: miniatura Edwarda w srebrnej ramce, zamówiona specjalnie dla niej w Bostonie, ulubiony świecznik, stół z drzewa wiśni do podawania herbaty, lustro, które Edward przywiózł jej aż z Karoliny. Naturalnie weźmie miniaturę, ale nie mogła sobie uzurpować prawa do świecznika ani stolika; może chyba uznać, że zwierciadło należy do niej?

Lyddie podeszła do lustra. Minęły tygodnie, odkąd ostatni raz się przeglądała, i była wstrząśnięta zmianą, jaka w niej zaszła, chociaż nie potrafiła powiedzieć, na czym dokładnie ta zmiana polegała. W kręconych i falujących włosach gdzieś połykiwało siwe pasemko, kurze łapki w kącikach oczu nie zrobiły się głębsze, ale kości policzkowe były bardziej wydatne, a broda - spiczasta, jakby utrata dawnych pragnień i marzeń sprawiła, że Lyddie stała się pusta w środku, zapadła się w sobie. Musi się przyzwyczaić do wyglądu tej kobiety. Weźmie lustro.

Lyddie poszła z lustrem przez krótką sień do sypialni naprzeciwko głównej izby. Tutaj znajdowała się większość przedmiotów, które w świetle prawa ponad wszelką wątpliwość należały do niej. Wniosła w posagu łóżko, własnoręcznie oskubała gęsi z pierza, którym wypełniła piernat, oczy aż jej zachodziły mgłą, kiedy zszywała narzutę, przędła nici i tknęła płótno na prześcieradło. Ale Lyddie nie potrzebowała łóżka ani piernatu w domu Nathana Clarke'a; zabierze narzutę i pościel, a łóżko zostawi, żeby Smalley

je od niej odkupił. Wzięła pościel, przeszła z nią do kuchni i rozłożyła ją na stole. Wyciągała z kredensu cynowe naczynia i starannie zawijała każdy talerz osobno. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że pakując dobytek, cały czas nasłuchuje odgłosów z drugiego pomieszczenia, marząc, by coś wypełniło grobową ciszę. Przerwała swoje zajęcie i odwróciła się w stronę paleniska. Ogień wciąż płonął, ale zapragnęła czegoś więcej - strzelających płomieni, głośnego buzowania, takiej fali ciepła, by zdławiła panującą wokół niej martwość. Sięgnęła po polano, ale zanim wrzuciła je do ognia, oczami duszy ujrzała Edwarda z siekierą w dłoni w lesie na zimnym wietrze. Wkrótce ten obraz zastąpił inny: Nathana Clarke'a i diakona Smalleya, targujących się o bierwiona, tak jak targowali się o las, jeden się bogacił, drugiemu było coraz cieplej, podczas gdy Edwardowi było coraz zimniej, i ją ogarniał coraz bardziej przejmujący ziąb...

Lyddie wrzuciła polano do ognia, aż w górę wystrzelił snop iskier. Sięgnęła po kolejne i też je wrzuciła, potem jeszcze jedno i jeszcze jedno. Jedną ręką ujęła spódnicę, drugą wyciągnęła w kierunku płomieni, ale wciąż nie mogła się rozgrzać.

Usłyszała za sobą skrzypnięcie drzwi. Chwyciła pogrzebacz i się odwróciła. Indianin Sam Cowett stał na progu i wpatrywał się w stalowy pręt, który trzymała przed sobą niczym pikę.

Lyddie opuściła pogrzebacz.

- Dzień dobry, panie Cowett.

Indianin wszedł do środka, pozwalając, żeby drzwi się za nim zamknęły.

- Zobaczyłem dym.

- Przyszłam spakować swoje rzeczy - wyjaśniła. - Mieszkam teraz z zięciem.

Indianin rozejrzał się po izbie.

- A kto tutaj mieszka?

- Może wprowadzi się tu córka diakona Smalleya. Clarke zaprosił go tu w czwartek o dziewiątej, by wszystko sobie obejrzał.

- Trudno jej było mówić. Odwróciła się, żeby poprawić drwa i odzyskać panowanie nad sobą. Kiedy ponownie uniosła wzrok na przybysza, zobaczyła, że Indianin utkwiał w niej swoje czarne oczy.

Drzwi znów skrzypnęły. Indianin się odwrócił. Do izby wszedł Nathan Clarke.

- Witaj, Sam - powiedział.

Indianin bez słowa minął go i wyszedł, bruzda na jego czole zrobiła się tak głęboka, że dałoby się w niej uprawiać kukurydzę.

- Widzę, że twój sąsiad jest jak zwykle w doskonałym humorze - zauważył Nathan.

- To dlatego, że zwróciłeś się do niego po imieniu. Dał wszystkim jasno do zrozumienia, że chce, by zwracano się do niego po nazwisku, jak do Anglików.

- Wątpię! W jego żyłach płynie za dużo rumu, by do niego docierało, jak się ludzie do niego zwracają.

- Nie czułam od niego alkoholu.

- Wierz mi, padnie jak długi przed zachodem słońca.

- Albo powali ciebie, jeśli nadal będziesz się do niego tak zwracał.

Nathan spojrział na nią zimno, a potem przeniósł wzrok na jej dobytek.

- Po co ci dwa garnki? Zostaw ten większy Smalleyowi. W domu jest lustro. Za pół godziny przyślę tu Jota.

Wyszedł. Lyddie odstawiła duży garnek, ale lustro wsunęła pod narzutę.

Wciąż panowały chłody. Nathan zarządził, że podczas takiej pogody wieczorem będą rozpalali duży ogień tylko w jednym kominku, więc po kolacji Lyddie razem z rodziną zasiadała wokół paleniska w kuchni. Bethiah obrębiała fartuch, a Jane - rękawy. Mehitable siedziała, przerabiając te ubrania Edwarda, które nadawały się dla jej męża lub syna, a mały Nate ślęczał nad gramatyką łacińską. Lyddie zaproponowała, że zajmie się przedzeniem, by mieć swój wkład w prace domowe. Ale ze zdumieniem stwierdziła, że jej córka wyniosła kołowrotki z domu; angielskie płótno było tak tanie, że uznała za zbędne „trudzić się przedzeniem”.

Więc Lyddie siedziała i robiła na drutach pończochy, aż pojawił się Eben Freeman, okutany, w rękawiczkach i szaliku. Wręczył Nathanowi list, który odebrał w Barnstable, i Nathan zaprosił go do gabinetu.

Ogień tak buzował, że Lyddie paliły policzki, ale i tak czuła się, jakby jej plecy polewano lodowatą wodą. Młody Nate pierwszy udał się do łóżka. Jak tylko wyszedł, Jane przestała szyć i wzięła jego gramatykę. Kiedyś Lyddie również często zaglądała do podręczników swego brata, ale miała tak mało czasu, że niewiele się nauczyła przed zamążpójściem. Edward pokazał jej, jak ma prowadzić rachunki pod jego nieobecność, a w zimowe wieczory, gdy zajęta była szyciem, czytał na głos. Kiedy wypływał w morze, często brała z półki jego książki i po powrocie zasypywała go pytaniami.

- Mój mąż miał parę ciekawych książek, Jane - powiedziała Lyddie. - Są teraz w gabinecie twojego ojca. Może pozwolilby ci...

- Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, tylko tracić czas na książki - przerwała jej Mehitable - to wyręcz swoją siostrę w obrębianiu. Nigdy nie skończę tego, co mam zrobić, bo co chwilę muszę się odrywać od swojego zajęcia, by poprawiać to, co zepsuła.

Bethiah rzuciła fartuch i uciekła na górę. Jane odłożyła podręcznik, wzięła fartuch i zaczęła kończyć jego obrębianie. Lyddie wyciągnęła rękę do dziewczyny.

- Daj mi ten fartuch, moje dziecko. I rękaw. Jest za zimno, żeby spać samemu. Idź do swojej siostry.

Jane oddała jej szycie i zadowolona poszła za Bethiah. Lyddie zwróciła się do córki.

- Małej trzeba tylko pokazać, jak się to robi. Może gdybym się nią zajęła...

- Twierdzisz, że ją zaniedbuję?

- Chcę jedynie powiedzieć, że wcześniej straciła matkę i pozbawiona była tych pierwszych lekcji. Ponieważ w przeciwieństwie do ciebie mam dużo wolnego czasu...

- Matko, potrafię sama zająć się domem.

- Naturalnie, ale nic się nie stanie, jak od czasu do czasu przez minutkę czy dwie nieco odsapniesz. Na przykład teraz. Siedzisz, dygoczesz i pocierasz oczy, aż ci się zrobiły czerwone. Może pójdziesz do łóżka, a mnie zostawisz szycie?

- Muszę usługiwać mężczyznom.

- Jeszcze potrafię nosić dzbanek. Mehitable wstała.

- W spizarni jest świeży placek, gdyby mieli ochotę. Wyszła, jej twarz pozostała nieprzenikniona.

Lyddie dokończyła obrębiać fartuch i rękaw Jane, potem wzięła kamizelkę Edwarda, którą Mehitable przerabiała dla Nate'a. Lyddie uniosła igłę, ale miała pewne trudności ze znalezieniem szwu; kiedy ostatni raz wbijała igłę w ten materiał, Edward siedział obok niej, czytając na głos Richardsona. Odłożyła kamizelkę i odwróciła się, żeby poprawić ogień.

Wciąż wpatrywała się nic niewidzącymi oczami w płomienie, kiedy Nathan zawołał z drugiego pokoju, żeby mu jeszcze przynieść cydru.

Mężczyźni siedzieli naprzeciwko siebie blisko kominka, pochyleni w stronę ognia, pusty dzban po cydrze stał na stole obok Nathana. Kiedy Lyddie weszła do pokoju, bruzdy na twarzy Freemana pogłębiły się i mężczyzna zrobił taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale Nathan jedną ręką wskazał dzbanek, a drugą skinął swojemu gościowi.

- Mów dalej. Kto skrytykuje nakazy rewizji?

- Nasz James Otis. Z Barnstable.

- Otis! A czy uda mu się położyć kres tym bzdurnym przepisom? Chcą szukać szmuglowanych towarów wszędzie, o każdej porze, bez żadnych podstaw ani dowodów! Do diabła! Jeśli będziemy zmuszeni do płacenia cła za każdą baryłkę francuskiej melasy...

Lyddie wzięła dzbanek i wyszła. W spiżarni odszukała baryłkę z cydrem. Wyjęła szpunt i w małym pomieszczeniu rozszedł się słodki zapach sfermentowanego napoju. Napelniwszy dzbanek, wróciła do gabinetu.

Mężczyźni wciąż rozmawiali o Jamesie Otisie.

- Nie wiem - powiedział Nathan. - Słyszałem o nim dziwne rzeczy. Zamierza znieść niewolnictwo. Nie chodzi mi o to, że jak inni chce zakazać sprowadzania nowych niewolników. On chce zwrócić wolność wszystkim niewolnikom. Przecież to spowoduje prawdziwy chaos.

Nathan uniósł swoją szklanę i Lyddie ją napelniła. Podeszła do Freemana, który też podsunął jej kubek. Nie była pewna, ale odniosła wrażenie, że mężczyzna do niej mrugnął.

- Owszem, chce zwrócić wolność niewolnikom - potwierdził Freeman.
- I nie podoba mu się również to, że nasze kobiety są niewolnicami.

Utrzymuje, że urodziły się wolne, tak jak my. Chce, żeby się uczyły i miały czynne prawo wyborcze, tak jak my.

Z całą pewnością do niej mrugnął. Wyszła z pokoju, kiedy Nathan zaczął ostro krytykować Jamesa Otisa, pomysł zniesienia niewolnictwa i prawa wyborcze dla kobiet, bezpodstawne przeprowadzanie rewizji i nakładanie ceł, wrzucając wszystko do jednego worka, aż w końcu sam się w tym pogubił.

5

W czwartek za kwadrans dziewiąta pan Clarke udał się na spotkanie z diakonem Smalleyem w sprawie sprzedaży domu. Mehitable leżała w łóżku z powodu grypy żołądka, Hassey wyszła, by zarządzić kurę na obiad, Nate był u swojego korepetytora, Jane wyrabiała ciasto, a Lyddie i Bethiah robiły mydło: Bethiah ługowała popiół wrzątkiem, a Lyddie mieszała go z tłuszczem, zebrany zimą. Kiedy Mehitable zawołała ze swojego pokoju, Lyddie najłatwiej było oderwać się od pracy, więc pierwsza pojawiła się na progu sypialni córki. Mehitable leżała skulona pod dwiema kołdrami, twarz miała bladą i mokrą od potu, włosy w nieładzie, gdzieś zgubiła czepek.

- Wymiotowałaś? - spytała Lyddie. - Korzeń fiołka wywołuje...

- Matko, doskonale wiem, jak wywołać wymioty. Napiałabym się herbaty miętowej. Poproś Jane...

- Zaraz zaparzę.

- Proszę, przyślij tu Jane. Mam dla niej jeszcze inne polecenia. Lyddie wróciła do kuchni. Na dnie puszki została tylko resztką herbatki miętowej. Poprosiła Jane, by ją zaparzyła, poszła do swojego pokoju po opończę i buty i ruszyła do sklepu.

Na dworze aż ją zatkało od woni wytapianego tłuszczu wielorybiego. Kiedyś ten smród uważała za zapowiedź wyjątkowej obfitości, ale nie teraz; nim dotarła do sklepu Searsa, czuła się nie lepiej od Mehitable. Wzięła herbatkę i podeszła do Caleba Searsa, by zapisał należność w zeszycie. Zwróciła mu uwagę, że notuje kwotę w księdze pod nazwiskiem „Edward Berry”.

- Przepraszam. - Stropił się. - Teraz idzie to na konto pana Clarke'a?

- Tak jest, pana Clarke'a.

To drobiazg, ale ją zdenerwował. Po wyjściu ze sklepu źle skręciła i uszła dobry kawałek za dom Clarke'a, nim się zorientowała, dokąd idzie. Czy podświadomie skierowała się do swojego dawnego domu, żeby po raz ostatni rzucić na niego okiem, nim stanie się własnością Smalleya?

A niby czemu nie?

Lyddie nie zawróciła, tylko poszła dalej i skręciła w lewo w drogę prowadzącą nad morze, porzucając błotniste koleiny głównego gościńca na rzecz piaszczystego traktu i tego, co znajome. Tutaj świdośliwa, złamana przez wiatr, tam stary mur, dalej płot Edwarda, a tam? Tak, komin, i dach, i stodoła; z daleka widziała nawet przywiązane konia i w pierwszej chwili wydało się jej, że to kasztanek Edwarda, spocony po długiej jeździe, a dobiegający z lasu stukot siekiery świadczy o tym, że Edward postanowił narąbać drewno na przyszłą zimę, by wyschły przez lato.

Lyddie zeszła z obłoków na ziemię. Koń był gniady, a nie kasztanowaty, i z pewnością należał do Smalleya. Ale chociaż łatwo dało się

wytłumaczyć obecność konia, nie można tego samego powiedzieć o odgłosie uderzeń siekiery. Obeszła dom, żeby spojrzeć na las. Sosny smołowe, używane na rozpałkę, od północy ogołoczone z gałęzi przez wiatr, stwarzały nieodparte wrażenie, jakby drzewa odchyłały się od morza. Dęby, palące się dłużej, były bardziej foremne, ale różniły się wysokością: jedne niedawno wystrzeliły ze starych pni, te, które rosły od co najmniej piętnastu lat, już nadawały się do ścięcia.

Indianin stał przed jednym z młodych drzewek. Zamachnął się siekierą i wyrąbał w pniu gruby, żółty klin. Uderzenie siekiery zagłuszyło to, co krzyczał do niego Nathan. Lyddie wyłowiła słowa „do diabła”, „wtargnięcie” i „konstabl”, ale Cowett nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. W końcu Smalley odwrócił się i ruszył w kierunku obory, więc Nathan był zmuszony pobiec za nim.

- Zaczekaj, Smalley! - krzyczał. - Chyba taki drobiazg cię nie zraził? Do rana to wyjaśnię. Indianin lubi sprawiać kłopoty. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

Smalley zatrzymał się obok swojego konia.

- Mówi, że ma prawo własności do lasu.

- Ja też. Wkrótce się przekonamy, do kogo naprawdę należy las.

- Będziesz to miał na piśmie?

- Tak, do cholery - powiedział Nathan. - Jeśli trzeba będzie, spisane krwią. - Wyciągnął dłoń do Smalleya, który ją uścisnął, ale Lyddie zauważyła, że nieco się odchylił, jak tamte sosny w lesie, ograniczając się do zachowania minimum powszechnie przyjętych zasad dobrego wychowania.

*

Eben Freeman znów przyjechał, tym razem wkrótce po kolacji. Ledwo zdążył zdjąć czapkę i płaszcz, przywitać się z Mehitable

I Lyddie, kiedy wyłonił się Nathan Clarke i zabrał go do gabinetu, rzucając przez ramię do najbliższej osoby, by ktoś im przyniósł placek i cydr. Tym kimś okazała się Bethiah.

Ledwo mężczyźni zaczęli rozmawiać, kiedy przez drzwi, które Bethiah zostawiła uchylone, dobiegł gniewny okrzyk Nathana Clarke'a.

- To rozbój w biały dzień!

Eben Freeman odpowiedział mu zwykłym tonem, ale ponieważ był przyzwyczajony do przemawiania na sali sądowej, jego głos bez trudu dało się słyszeć w głównej izbie.

- Nic podobnego - zapewnił Clarke'a. - Sachemas, pradziadek Cowetta, podarował kawałek ziemi pradziadowi Edwarda Berry'ego.

- No właśnie! Podarował. A z chwilą, kiedy zostanie stwierdzona ważność testamentu, ziemia będzie moja.

- Owszem, podarował, ale zastrzegł dla siebie i swoich spadkobierców prawo do wycinki drewna na płoty lub opał. Wszystko spisano czarno na białym. A ponieważ Sam Cowett jest synem i spadkobiercą Paumecowetta, syna i spadkobiercy Sachemasa, więc ma prawo wycinać drzewa w tym lesie. Ot i cały szkopał.

- I to jaki! Co pan proponuje? Zapadło milczenie.

- Jeśli prosi mnie pan o opinię prawną...

- Pytam, jak się pozbyć tego cholernego Indianina! Znów milczenie.

- Można zapytać pana Cowetta, czy nie zechciałby sprzedać swojego prawa do wyrębu lasu - powiedział w końcu Freeman.

- Co? Zapłacić mu za coś, co należy do mnie? Obranyś pan z rozumu?

- W takim razie może wolałby pan sprzedać las panu Cowettowi.

- Ile wtedy dostanę za dom bez lasu? Każda kolejna pańska rada jest głupsza od poprzedniej.

- Możecie podzielić las między siebie.

- To to samo, co mu go dać!

- Albo można zachować status quo i sprzedać dom z lasem, na którym ciąży jedna służebność. Nie przypominam sobie, żeby stanowiło to problem dla pańskiego teścia.

- Nie mamy teraz do czynienia z moim teściem, tylko z tym przeklętym dziadem, Smalleyem! Niemal wyskoczył ze skóry, kiedy zobaczył Indianina. Nie, chcę, żeby wykurzył pan Cowetta z lasu, używając tych waszych prawniczych kruczków. Rozumiesz mnie, Freeman?

Znów milczenie. Lyddie wyobraziła sobie, jak Eben Freeman prostuje swoje długie nogi, zaciska palce na kubku i wypija to, co w nim zostało.

- Chyba pana rozumiem, Clarke. Chciałbym się teraz upewnić, że pan rozumie mnie albo przynajmniej powód mojej tutaj obecności. Byłem pełnomocnikiem Edwarda Berry'ego i mniemam, że również jego przyjacielem. Dlatego też uznałem za swój obowiązek pomagać przy rozstrzygnięciu wszelkich kwestii związanych ze spadkiem po nim. Dopilnuję, żeby stwierdzono autentyczność testamentu. Dopilnuję, by zgodnie z prawem przejął pan majątek Edwarda i zapewnił opiekę wdowie po nim. Ale absolutnie wykluczone, żebym podjął się reprezentowania pana w sporze z Indianinem. Jeśli była to ostatnia sprawa do omówienia między nami, proszę pozwolić, że się pożegnam.

Lyddie nie wiedziała, czy jej zięć pożegnał się z prawnikiem, bo następne, co usłyszała, to jak Nathan wrzeszczy na Bethiah, by napełniła dzbanek.

Bethiah zerwała się na równe nogi, podobnie jak Jane, niewątpliwie nauczona doświadczeniem, by w razie potrzeby stawać w obronie siostry, i Lyddie została sama, myśląc, że powinna jakoś podziękować Ebenowi Freemanowi za jego starania. Pojawił się i próbował przybrać miły wyraz twarzy, co na niewiele się zdało.

- Nigdy nie dochodziło między nami a tym Indianinem do żadnych zatargów o las - powiedziała.

Uniósł brew.

- Słyszałam waszą rozmowę, panie Freeman. Uważam, że najlepiej od razu przyznawać się do takich rzeczy.

Freeman się rozpogodził.

- Słuszna zasada, wdowo Berry. A więc pani mąż uznawał prawo Indianina do wyrębu lasu, tak?

- Tego nie wiem. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby Indianin wycinał drzewa w tym lesie.

- Naprawdę? W takim razie dziwne, że zrobił to dziś.

- Może chciał, żeby wszyscy się dowiedzieli o jego prawie do wyrębu drzew.

- Być może. W dzisiejszych czasach rzadkie są przypadki wspólnego korzystania z pożytków ziemi.

- Dlaczego?

- Cóż, tak niewielu Indian zostało w okolicy... Wystarczy spojrzeć na ich żalostną garstkę, mieszkającą nad stawem... - Freeman się wzdrygnął, nie wiadomo, czy z zimna, czy też w ten sposób chciał zmienić temat. Spojrzał na Lyddie.

- Dobrze się pani czuje, wdowo Berry? Niczego pani nie brakuje?

- Dobrze się czuję.

Czy zauważył, że odpowiedziała tylko na jego pierwsze pytanie? Chciał coś dodać, zaczął do słowa „kiedy”, potem zmienił je na „jeśli”, w końcu zrezygnował i umilkł.

6

Przyszedł luty, a wraz z nim nastąpiły większe mrozy; najpierw zamarzała studnia, potem zegar, potem inkaust, a na koniec zatoka, wielkie kawały lodu odłamywały się podczas odpływu i zderzały ze sobą podczas przyływu, tworząc wzdłuż całego brzegu lodową barierę.

Sam Cowett tkwił Nathanowi Clarke'owi w ciele niczym kleszcz. Smalley nie chciał kupić *samego* domu; - zdesperowany Nathan postanowił skorzystać z rady Freemana i zaproponował Indianinowi, że odkupi od niego prawo do wyrębu drzew.

Lyddie właśnie weszła do głównej izby z parą pończoch dla Mehitable. Usłyszała sztywne „dziękuję” i Nathan wpadł do pokoju.

- No, matko - zwrócił się do niej Nathan. - Co powiesz teraz o swoim sąsiedzie? Nie chce sprzedać prawa do wyrębu, nie chce podzielić lasu, nie chce w ogóle rozmawiać na ten temat. Chyba będę musiał się zwrócić do konstabla. To wprost nie do zniesienia! Żeby człowiek nie mógł sprzedać swojej własności...

- Nie musisz jej sprzedawać koniecznie diakonowi Smalleyowi -
zauważyła Mehitable. - Córka pana Dillinghama wkrótce wychodzi za mąż.

- Dillingham to przeklęty kwakier i już mnie drogo kosztował.
Przegłosowano, żeby zwolnić ich z opłat na utrzymanie wojska, by
uszanować wyznawaną przez nich zasadę umiłowania pokoju!
Powiedziałem na zebraniu: „Mam zasadę, żeby płacić wyłącznie za siebie.
Co powiecie na taką zasadę?”. Wtedy wstał Smalley... na Boga, to był
Smalley... i oznajmił...

Akurat wtedy rozległ się przeraźliwy krzyk Bethiah, która kroić dynię.

- Wielki Boże! - wrzasnął Nathan. - Czy w tym domu przez jedną
chwilę nie może być cicho?

Lyddie podbiegła do dziewczynki, o krok wyprzedzając Mehitable.
Bethiah skaleczyła się w palec, ale rana nie była głęboka. Lyddie
zaprowadziła wnuczkę do wiadra z wodą, przemyła i opatrzyła skaleczenie,
po czym posadziła dziewczynkę przed kominkiem i dała jej trochę przędzy
do rozplatania. Buzia Bethiah, zwykle i tak blada, przybrała kolor
rozwodnionego mleka. Właśnie tak wyglądał pierwszy syn Lyddie, kiedy się
rozchorował. Edward pożegnał się z wymizerowanym chłopcem i wyjechał
do Karoliny po spermacet; gdy wrócił do domu z beczułkami pełnymi
tłuszczu, jego pierworodny już leżał w grobie. Edward nie uronił ani jednej
łzy, jednym słowem nie okazał swojej rozpacz, z oddaniem opiekował się
pograżoną w żalu Lyddie, aż pewnego wieczoru po kolacji poszedł spotkać
się z kuzynem i tak długo nie wracał, że Lyddie wyszła na Drogę
Królewską, by go szukać. Znalazła go na przykościelnym cmentarzu, stał
obok świeżej mogiły.

Podeszła do niego.

- Nie mogę się z tym pogodzić - powiedział.

- Ja też.
- Wiem. Chciałem ci pomóc, a jeszcze pogorszyłem sytuację.
- Najlepiej nawzajem sobie pomagać.

Ujął jej rękę i mocno przycisnął do swojego boku. Splótł palce z jej palcami. Po jakimś czasie razem wrócili do domu.

Lyddie znów zepchnęła wspomnienia o swoich zmarłych dzieciach do ciemnych zakamarków umysłu, gdzie trzymała je od tylu lat, podobnie jak ich łóżeczka na poddaszu. Niebawem, im szybciej, tym lepiej, będzie musiała znaleźć tam miejsce dla Edwarda. We wtorek Lyddie już miała się przyłączyć do biadoleń kuzynki Betsey, że zbliża się dzień, kiedy wielorybnicy udadzą się na rzekę Canada, gdy uświadomiła sobie, że oszczędzone zostało jej to małe zmartwienie na rzecz większego. W piątek Lyddie obudziła się z drzemki i poczuła zapach dymu z fajki Nathana. W pierwszej chwili, nim całkiem oprzytomniała, pomyślała: „Jestem w domu Edwarda”. W niedzielę podczas nabożeństwa, kiedy James i Betsy Lincolnowie wstali, by przyznać się do grzechu cudzołóstwa po tym, jak Betsy powiła dziecko w szóstym miesiącu ciąży, Lyddie wróciła wspomnieniami do tego, czego już nigdy nie będzie jej dane zaznać.

Nathan podniósł głos i Lyddie ocknęła się z zamyślenia. Wymieniał teraz grzechy tych mniej miłujących pokój kwakrów, którzy mieli zwyczaj pojawiać się na ich nabożeństwach i potępiać praktyki religijne innych. Lyddie słyszała to już wcześniej i wiedziała, że ta tyrada potrwa kilka minut; dokończyła kroić dynię za Bethiah, wzięła swój czepek, opończę i ciepły szal, po czym skierowała się ku drzwiom.

- Dokąd idziesz? - spytała Mehitable.
- Mam ochotę się przejść.

Lyddie nie zdziwiło spojrzenie, jakim obrzuciła ją córka; takie bezproduktywne zajęcie mogło się wydać osobliwe podczas ładnej pogody. Wyszędłszy z domu, pilnowała się, żeby nie skręcić w drogę prowadzącą na plażę, minęła młyn wodny i folusz Winsłowa, dopiero co odbudowany po tym, jak poprzedni w tajemniczy sposób spłonął w środku nocy. Skierowała się na południe i podążyła wzdłuż potoku, szukając osłony przed wiatrem. Szła, nie myśląc o tym, dokąd zmierza, aż ziemia pod jej stopami stała się równa

I Lyddie zorientowała się, że jest na dawnym indiańskim szlaku, biegnącym wokół stawu młyńskiego. Lyddie od lat nie zapuszczała się tak daleko. Przed nią stało parę chat krytych darnią, przez otwory w dachu wydobywały się anemiczne smugi dymu; już zamierzała zawrócić, kiedy przypomniała sobie słowa Ebena Freemana o małej żalosnej społeczności. Dlaczego niektórzy Indianie, jak na przykład Sam Cowett, z powodzeniem włączyli się do głównego nurtu życia angielskiej osady, a inni wegetowali tu pośród swoich?

Ciekawość kazała jej pójść dalej. Przed nią rozciągał się zamarznięty staw młyński, dwaj mali chłopcy odrąbywali lód na brzegu.

Jakaś stara kobieta wyszła z najbliższego *wetu*; kiedy uniosła kotarę, Lyddie zobaczyła w środku angielski stół i krzesła. Nieco dalej grupka kobiet skrobała mięso zabitego zwierzęcia zawieszzonego na drzewie, dwie inne walały w skórę leżącą na ziemi. Dwójka małych dzieci goniła świniaka między chatami. Dostrzegła tylko jednego mężczyznę; był albo bardzo stary, albo bardzo niedołączny, szedł niepewnie z koszem drewna na opał, przerzuconym przez ramię. Lyddie zawróciła i skryła się wśród drzew.

*

Kiedy dotarła do domu, okazało się, że Eben Freeman właśnie przywiózł gazety i listy z Bostonu. Stał teraz na progu, słuchając ulubionej tyrady Nathana o tym, że pan Winslow uzurpuje sobie prawo do potoku młyńskiego. Lyddie powitała mężczyzn i weszła do środka. Zobaczyła na stole „Boston Gazette”. Wzięła ją i podeszła do kominka. Po chwili dołączył do niej prawnik.

- Lubi pani czytać gazety, wdowo Berry?

- Jestem za głupia, żeby zrozumieć wszystko, co w nich wypisują. Ale owszem, lubię je czytać. Widzę, że wspominają w niej o pańskim przyjacielu Otisie.

- W takim samym stopniu jest pani przyjacielem, wdowo Berry.

- Moim!

- Powiedziała by, że nie brakuje pani inteligencji, tylko wykształcenia, by zrozumieć, co piszą w gazetach. Ma siostrę Mercy. To wyjątkowa osobka. Ojciec posyłał ją razem z braćmi do nauczyciela. A James przynosił do domu swoje podręczniki z Harvardu, by mogła z nich korzystać. Na własne oczy się przekonał, co może osiągnąć kobieta wykształcona, i zamierza propagować tę ideę.

- I co takiego osiągnęła panna Otis?

- Jest teraz panią Warren. Zdaje się, że pisze wiersze.

- A co mówi jej mąż, kiedy dostaje na obiad wiersz?

Na twarzy Freemana pojawiło się to coś, co - jak już się zorientowała - oznacza uśmiech.

- Bije jej brawo.

- W takim razie to on jest człowiekiem wyjątkowym.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Kiedy powiedziałem, że pani Warren należy do wyjątkowych osób, nie miałem na myśli tego, że jej inteligencja jest czymś niezwykłym, ale... - Urwał.

- Ale to, że wokół niej jest trzech takich nietuzinkowych mężczyzn?

- Ale to, że... Być może... No tak. Rzeczywiście.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, panie Freeman. Podziwiam ich wszystkich: zarówno brata, jak siostrę i ojca, który posyłał córkę na lekcje, a także pana Warrena, który jej bije brawo.

- Ach! Muszę zrobić coś, żeby i ja znalazł się na tej liście. Może gdyby napisała pani wiersz, a ja nagrodziłem panią oklaskami...

- Lepiej będzie dla wszystkich, jak przyrządę coś na obiad, a pan będzie bił brawo panu Otisowi.

- Jeśli panu Otisowi uda się osiągnąć to, co zamierza, wszyscy będziemy mu bić brawo.

- Może z wyjątkiem członków parlamentu?

- Wdowo Berry, nie docenia pani swojej inteligencji. Może to pani powinna wygłosić mowę zamiast pana Otisa.

Słyszając to, Lyddie się uśmiechnęła. Mięśnie wokół ust miała napięte; pomyślała: czy straciłam również zdolność do śmiechu? Czy też to Edward dostrzegał wszystko, co było zabawne w ich życiu? Może, ale jeśli tak, z pewnością uznaliby za zabawne również to, że jego żona rozmawia o uchwałach i parlamencie z Ebenezerem Freemanem.

7

Mehitable weszła do pokoju Lyddie cała w uśmiechach, co jej się rzadko zdarzało, i poprosiła matkę, żeby razem z nimi zjadła obiad. Nathan również był dziwnie wielkoduszny, do tego stopnia, że gdy skończył swój wywód na temat cen baryłek w Satucket i Bostonie, Lyddie odważyła się zadać mu pytanie.

- Byłam dziś w indiańskiej wiosce. Liczba jej mieszkańców znacznie spadła. Czy gdzieś wyjechali?

- Udali się tam, gdzie udają się wszyscy słabi ludzie - odparł Nathan.

- Wiem, że bardzo gnębią ich choroby, ale one dotyczą zarówno kobiety, jak i mężczyzn. A nie widziałam mężczyzn w wiosce.

- To nie tylko przez choroby została się jedynie ta żałosna gromadka kobiet i dzieci. Również przez naszą wojnę z Francuzami.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy mężczyźni polegli na tej wojnie?

- Polegli albo zostali ranni.

- Ale czemu aż tylu Indian, a nie Anglików? Z pewnością w wojnie walczyło więcej naszych mężczyzn.

- Nie tak wielu w stosunku do ich ogólnej liczby. Jeśli w wiosce indiańskiej było pięciu mężczyzn, życie całej piątki wystawiali na ryzyko.

- Dlaczego?

- Czy jest inna dziedzina, w której mogliby się wyróżnić?

- Według ciebie śmierć to powód do chwały? Nathan odłożył nóż i przyjrzał się jej uważnie.

- Matko, masz jakiś cel, zadając te pytania?

- Nie, skądże.

Bethiah wypuściła z płuc powietrze, bo w taki osobliwy sposób się śmiała, i otrzymała prztyczka w policzek, ale zaraz potem ojciec pogłaskał ją po głowie i powiedział:

- No cóż, matko, ponieważ jedyny temat, jaki nam pozostaje, to dyskusja, czy wolebnny ojciec wygląda lepiej w peruce, czy bez, skorzystam z okazji i oświecę cię nieco w kwestii naszych braci Indian. Tak się składa, że ludzie ci zamieszkują tereny, gdzie osiedliło się wielu Anglików.

Zwracam ci uwagę, że nie podbiliśmy ich kraju ani nie odebraliśmy im ziemi siłą, tylko kupiliśmy ją po uczciwej cenie. Och, z pewnością słyszałaś gadanie, że dostaliśmy ten kawałek ziemi za krowę, a tamten za garnek, i rzeczywiście, stary wódz oddał parcelę, na którym zbudowano ten dom, za krowę, ale w następnym miesiącu została ponownie sprzedana za pięć funtów, a powiedz mi, ile była warta krowa? Sześć funtów! A jeśli chodzi o garnek co wtedy miało większą wartość: cztery hektary lasu z setek hektarów, czy to, czego nie produkowano nigdzie na tym kontynencie, tylko sprowadzano z Anglii? A ile zapłaciłem staremu Sequattomowi za nasze łąki? Sto dziesięć funtów za marnych szesnaście hektarów...

- Co w takim razie jest źródłem tych wszystkich kłopotów?

- Matko, jeśli przestaniesz mi co chwilę przerywać, powiem ci, skąd to się bierze. Wyobraź sobie Anglika, właściciela kawałka ziemi, który uprawia. I Indianina, który latem obsieje gdzieś pole, na zimę przeniesie się do lasu, żeby polować, następnego roku obierze sobie nowy kawałek ziemi pod uprawę i tak w kółko. Nagle Indianin się zorientował, że w swojej zachłanności na krowy, garnki i angielskie srebro sprzedał tyle ziemi, że zostało mu jej za mało, by żyć po staremu. W takim przypadku Anglik by powiedział: cóż, nie mogę żyć po staremu, to spróbuję żyć po nowemu. Ale Indianin tak nie postąpi. Uważa pracę w polu za zajęcie dla kobiet. Zajęciem godnym mężczyzny jest polowanie. A skoro nie może polować na jelenie, niedźwiedzie i lisy, to będzie polował na ludzi. Taką już ma naturę. Udaje się więc na wojnę, by walczyć po stronie Anglików, i otrzymuje nie tylko sowity żołd, ale również stałą rację rumu. I tak, droga matko, doszliśmy do kolejnej przyczyny rozpaczliwego położenia Indian. Wystarczy spojrzeć na tego twojego pana Cowetta, a wszystko widać jak na dłoni.

- Pan Cowett służył w naszej armii? Nathan się roześmiał.

- Pan Cowett nie pospieszyłby na pomoc własnej matce, nie mówiąc już o królu. Wymieniłem go z uwagi na jego pociąg do rumu, a nie zamiłowanie do służby wojskowej. Kiedy werbowano ludzi, by zaatakować Nową Szkocję, ukrył swoją łódź w kanale Point of Rock.

- Jak zrobiła połowa mieszkańców naszej osady, o ile sobie przypominam, nie wyłączając twojego brata.

Nathan uderzył dłonią w stół.

- Ja też bym tak zrobił po tym, co się stało z Louisburgiem! Setki mieszkańców półwyspu Cod udały się do Kanady swoimi łodziami wielorybniczymi, zdobyły fort, co ich kosztowało wiele krwi i cierpienia, by na mocy następnego traktatu oddać go z powrotem Francuzom. I co teraz się

dzieje? Ci przekłęci Francuzi wyprawiają się z tego samego przekłętego fortu i od świtu do zmroku plądrują nasze wybrzeże, co mnie kosztuje majątek! I jakby jeszcze tego było mało, władze gnębią nas tymi przekłętymi zarządzeniami...

Mehitable wstała i nałożyła mężowi na talerz dokładkę puddingu, ale tylko ściągnęła niezadowolenie małżonka na swoją głowę.

- Co robisz, głupia kobieto? Czy prosiłem o dokładkę puddingu? Skończyłem jeść. Przynieś mi rum.

Wstał od stołu i udał się do gabinetu.

Mehitable wzięła z półki butelkę rumu, rzucając matce spojrzenie, którego Lyddie nie nazwałaby życzliwym.

Minęło kilka tygodni, nim znów poproszono Lyddie, by wspólnie z nimi zasiadła do stołu.

*

Pewnego wieczoru na początku marca Nathan wezwał Lyddie do swojego gabinetu.

- Matko, właśnie sprawdzam rachunki i jestem zaskoczony kwotą, jaką jesteśmy winni w sklepie Searsa. Moja żona przyznaje się tylko do połowy tej sumy. Poinformowała mnie, że ty też robisz tam zakupy.

- Owszem, kupuję tam artykuły spożywcze.

- Pomijam artykuły spożywcze, chociaż wydaje mi się, że w tym domu zbyt wiele zużywa się herbaty i cukru. Chodzi mi o trzy obciążenia naszego rachunku z tego tygodnia za zakupy, których nie dokonała moja żona: szpilki, klamerki do butów i olejek migdałowy. Czy to ty kupiłaś?

- Tak.

- Nie chcę być małostkowy. Rzeczywiście kobieta potrzebuje szpilek. Mógłbym zapytać, po co jej nowe klamerki do butów co tydzień czy dwa, i

jestem prawie pewien, że moja żona ma olej migdałowy w spiżarni, bo nie dalej jak miesiąc temu zastosowałem go na bolący ząb...

- Zęby potrafią dokuczyć człowiekowi, prawda? - rozległ się czyjś głos od progu.

Lyddie się odwróciła i zobaczyła Ebena Freemana, który akurat pochylił się, żeby zmieścić się w drzwiach.

- Dobry wieczór, wdowo Berry.

- Dobry wieczór. - Lyddie odwróciła się do swego zięcia. - Zostawię panów samych.

- Dobrze, ale proszę na przyszłość zachować umiar. Kiedy sprzedam ten przeklęty dom, matko, będziesz miała własne pieniądze na drobne wydatki i będziesz mogła nimi dysponować wedle własnej woli, ale do tego czasu...

Freeman się wyprostował.

- Jako przedstawiciel prawny Edwarda Berry'ego chciałbym przypomnieć, że zobowiązany jest pan do pokrywania wszystkich wydatków wdowy.

- I pokrywam wszystkie jej wydatki, Freeman. Niczego jej nie odmawiam.

- Czy przed chwilą nie usłyszałem czegoś wprost przeciwnego? Coś na temat klamerki do butów, prawda?

- Klamerki do butów! Widzisz, żeby chodziła w samych pończochach? Uregulowałem długi jej męża. Nie muszę jeszcze co miesiąc płacić bajońskich kwot w sklepie Searsa.

- Nie przypominam sobie żadnego długu, kiedy stwierdzono autentyczność testamentu - zaprotestował Freeman.

- Uważasz mnie za kłamcę?

- No, no. Po co od razu takie słowa...

- Po to. Bo skoro ja nie jestem kłamcą, ty nim jesteś.

Lyddie dobiegło głośnie zgrzytnięcie z miejsca, gdzie stał prawnik ale nie wiedziała, co było tego źródłem: zęby czy obcasy.

- Wyznaję w życiu zasadę, by wszystkim oddawać należną im sprawiedliwość - powiedział cicho - i zgodnie z tym byłbym wielce zobowiązany, gdyby nie rzucał pan stów na wiatr jak człowiek nierozważny.

- Ach! Teraz nazwał mnie pan jeszcze głupcem!

- Przez czterdzieści lat swego życia nigdy nie byłem tak wielkim głupcem, by nazwać kogoś głupcem. I uważam, że jeśli przemyśli pan to, o czym mówiliśmy, dojdzie pan do wniosku, że przeznaczenie kilku szylingów miesięcznie na potrzeby owdowiałej teściowej przed sfinalizowaniem sprzedaży domu w żaden sposób nie narazi na szwank pańskich od dawna podziwianych przez wszystkich umiejętności gospodarowania pieniędzmi.

Ku wielkiemu zdumieniu Lyddie, te słowa udobruchały jej zięcia.

- Dobrze, Freeman. W jakiej sprawie przyszedłeś? Matko, proszę zostaw nas samych.

Wyszłaby, ale prawnik zatrzymał ją, dotykając palcem jej rękawa.

- Mam dwie sprawy, Clarke, i jestem pewien, że jedna z nich zainteresuje wdowę Berry. Ale najpierw zajmijmy się kwestią dotyczącą ciebie. - Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej dwie koperty, jedną wręczył Nathanowi. - Zasiadałem w komisji arbitrów, ustalającej wartość udziałów ze sprzedaży tłuszczu. Tu są twoje pieniądze. - Wręczył Nathanowi drugą kopertę. - A tu Edwarda Berry'ego.

Ponieważ za ten zarobek Edward, a pośrednio Lyddie, zapłacili najwyższą cenę, kobieta była ciekawa, jaka kwota przypadła jej zmarłemu

mężowi. Przyglądała się uważnie, kiedy Nathan otworzył kopertę i przeliczył pieniądze: piętnaście funtów i osiem szylingów.

- Jeśli chodzi o drugą sprawę - powiedział Freeman - dotyczy ona przyjaciela wdowy, pana Jamesa Otisa.

Nathan spojrzał ze zdumieniem najpierw na prawnika, a potem na swoją teściową.

- Jej przyjaciela? Freeman mrugnął do Lyddie.

- Nowego, ale jak miemam, przyjaciela. Jego wystąpienie w sądzie najwyższym, dotyczące zarządzenia o nakazach rewizji, wywołało sensację w mieście. Ponieważ wdowa interesuje się nieco pracami parlamentu, pomyślałem sobie, że chętnie posłucha...

- Pracami parlamentu! Co też pan wygaduje, do diabła? Zresztą niech zostanie, a ty mów, Freeman. Od miesiąca nie miałem w ręku gazety, nie dostałem żadnego ciekawego listu ani nie odbyłem interesującej rozmowy. A więc co z tym jego wystąpieniem?

- Otis przemawiał ponad cztery godziny, ale nigdy w życiu nie słyszałem wyvodu równie uczonego, pełnego pasji, śmiałego i błyskotliwego. Otis przypominał płomień. Zaczął od oświadczenia, że istnieją prawa przyrodzone...

- Prawa przyrodzone! A cóż to takiego?

- Prawa zapisane w sercu człowieka. I uznał te prawa za ważniejsze od wszelkich praw, uchwalonych przez parlament. Znalazł podstawę, by w taki sposób traktować owe prawa przyrodzone, w starym prawodawstwie saskim, w Magna Carta i w angielskiej konstytucji. Wśród tych praw przyrodzonych wymienił prawo człowieka do życia, do wolności i do własności.

Oświadczył, że przyrodzonym prawem człowieka jest czuć się we własnym domu tak bezpiecznie, jak księżę czuje się w swoim zamku.

- Proszę, oto twój Otis, budujący zamki z piasku. Chciałbym wiedzieć, co zamki mają tutaj do rzeczy.

- Symbolizują prawo człowieka do życia niezakłócanego przez sprzeczne z poczuciem sprawiedliwości rewizje i kontrole, przeprowadzane na mocy sprzecznego z poczuciem sprawiedliwości prawa, uchwalonego przez członków Parlamentu. I Otisowi udało się dowieść, że ma rację, Clarke. Na sali sądowej nie było jednej osoby, która nie zgodziłaby się z jego rozumowaniem. Następnie przystąpił do określenia kompetencji sądu, dowodząc, że sędziowie tylko wtedy mogą właściwie spełniać swoje obowiązki, jeśli sąd ogłosi niezawisłość i Parlament nie będzie mógł mu niczego nakazać. Och, to był prawdziwy majstersztyk. Zapewniam cię, że nawet oponenti Otisa byli pełni podziwu dla niego.

- Och! W takim razie sprawa załatwiona.

- Nie. Sąd przed wydaniem opinii postanowił zapytać o zdanie Koronę. Sprawę odłożono do następnej sesji i posiedzenie zakończono bez ogłoszenia werdyktu.

Usłyszawszy to, Nathan zaczął perorować na temat tego, co myśli o sądzie oraz gromadzie złodziei i utracjuszy, którzy w nim zasiadają. Freeman najwidoczniej doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem powstrzymania tej fali jest przeciwstawienie jej innej fali, równie silnej. Wspomniał, że Otis skorzystał z okazji, by przedstawić swój plan zniesienia niewolnictwa. Wtedy Lyddie przeprosiła mężczyzn i wyszła do kuchni. Ale Nathan przemówił tak donośnym głosem, że Mehitabe zaniepokojona uniosła wzrok.

- O co, na Boga, teraz mu idzie?

Lyddie próbowała udzielić jej zwięzłej odpowiedzi, lecz miała zbyt wielki mętlik w głowie. Potrzebowała czasu i spokoju, by ogarnąć to

wszystko, co właśnie przedstawił Freeman. Ta drobna część, którą zrozumiała, wydawała jej się czymś tak doniosłym, rewolucyjnym i wspaniałym, że była gotowa uznać, iż coś pokręciła, gdyby sam Freeman nie opowiadał o tym z takim podziwem. Lyddie wzruszyła ramionami, by okazać Mehitable, że sama jest tym zaskoczona, i wyszła na ciemną noc.

Jeszcze nie zdążyła uporządkować myśli, kiedy drzwi za nią się otworzyły i pojawił się w nich Freeman. Skierował się ku drodze, ale kiedy dostrzegł kobietę stojącą obok stodoły, ruszył w jej stronę.

- Wdowo Berry! Cóż, na Boga, pani tu robi?

- Myślę. Ale niezbyt mi to wychodzi. Lecz cieszę się, że mam okazję podziękować panu za pomoc w kwestii moich funduszy.

- Proszę mi nie dziękować. Niczego nie osiągnąłem.

- Uratował pan parę klamerek do butów, których bardzo potrzebowałam.

- Powinienem był mu za to ukręcić łeb. I gdybym w ten sposób choćby na godzinę powstrzymał jego tyradę, uważałbym, że mój trud się opłacał. -

Wziął głęboki oddech. - Przepraszam panią, wdowo Berry.

- Nie musi pan. Sięgnął do kieszeni.

- Wdowo Berry, jeśli pani pozwoli... Póki sprawy pani zmarłego męża nie zostaną sfinalizowane... Mała pożyczka...

- Dziękuję, panie Freeman, ale nie mogę jej przyjąć. Znieruchomiał z ręką częściowo w kieszeni, ale ostatecznie wsadził pieniądze z powrotem.

- Cóż, trudno. Dobranoc. - Odwrócił się.

- Panie Freeman?

Znów się zwrócił w jej stronę.

- Czy w swojej mowie pan Otis wspomniał o kobietach?

- Nie. Myślę, że odwiiodły go od tego zamiaru pomruki niezadowolonia, które się rozległy po tym, jak wypowiedział się w kwestii Murzynów.

- Panie Freeman, czy mogę panu zadać jeszcze jedno pytanie?

- Wdowo Berry, może mnie pani pytać zawsze o wszystko.

- Mój mąż spotkał się z panem miesiąc po ślubie naszej córki. Czy dlatego, że chciał zmienić testament?

- Owszem.

- Co mi zapisał w poprzednim testamencie?

- Dożywotnie użytkowanie domu i ziemi, do których prawo własności przechodziło na jego kuzyna Shubaela.

Dom i cała ziemia. A potem córka Lyddie poślubiła Nathana Clarke'a i jej mąż sporządził nowy testament, tym samym zmieniając życie Lyddie.

- Jak Edward tłumaczył swój krok, panie Freeman? - spytała. - Dlaczego dokonał takiej zmiany? Dlaczego przekazując prawo własności Nathanowi, zmienił też inne zapisy?

- Żeby nie skazywać pani na samotne życie, skoro mogła pani zamieszkać pod dachem swego zięcia.

- Samotne życie! Wszyscy wiedzą, ile miesięcy w roku mieszkałam sama. Wiosną mój mąż płynął do Karoliny, a latem do Kanady. Jesienią na wiele tygodni udawał się do Bostonu, w czterdziestym czwartym został zmuszony do służby wojskowej na okręcie wojennym i bez uprzedzenia zabrano go z domu na trzy miesiące. Myśli pan, że nie wiem, jak sobie radzić bez niczyjej pomocy? Myśli pan... - Urwała. Wzięła głęboki oddech, a potem wypuściła powietrze z płuc.

Freeman chrząknął.

- Kiedy pani mąż spisywał nowy testament, nie krył olbrzymiej ulgi, że w przypadku jakiegoś nieszczęścia będzie pani mogła bezpiecznie żyć na łonie rodziny swojego zięcia.

Wdech. Wydech.

- Tak - powiedziała Lyddie. - Tak, oczywiście. Dziękuję panu, że poświęcił mi pan tyle czasu, panie Freeman. Nie będę pana dłużej zatrzymywała. Dobranoc.

- Wdowo Berry...

- Nie, nie, proszę mi wybaczyć. Dziękuję, że powiedział mi pan o panu Otisie. To było bardzo ciekawe. Dobranoc.

Prawnik znów się pożegnał. Najwyraźniej przebył pieszo pięć kilometrów z domu swojej siostry. Lyddie obserwowała go, jak niknie w ciemnościach. Ale nadal stała tam gdzie do tej pory, znów rozmyślając o tym dziwnym człowieku, Jamesie Otisie. Czy to on rozpałił w niej jakiś ogień? Czy przynajmniej on by ją zrozumiał? Albo jego siostra, ojciec lub szwagier? Nie, żaden z nich. Ponieważ nadal siedzieli bezpieczni w swoich domach, jak tyłu książąt w swoich zamkach. Ale Edward... Czy musi teraz to samo powiedzieć o Edwardzie, człowieku, z którym dzieliła wszystkie dobre i złe chwile? Lyddie spojrzała na niebo, usiane gwiazdami. Noc była bezksiężycowa. Och, Edwardzie - pomyślała - jak mogłeś tak dobrze poznać moje ciało, a tak słabo moją duszę?

8

Po śmierci Solomona Paine'a okazało się, że mężczyzna określił w swoim testamencie nie tylko, na których krzakach wdowa po nim może suszyć pranie i na którym kawałku łąki wypasać swoją krowę, ale polecił również zrobić w jego domu osobne wejście, by wdowa po nim mogła bez skrępowania przychodzić do domu i z niego wychodzić. W owym czasie Lyddie uważała, że pan Paine nieco przesadził, ale teraz zrozumiała, jakimi pobudkami się kierował. Za każdym razem, kiedy Lyddie zatrzymywała się, przechodząc przez kuchnię, by pomóc Bethiah przy ściegu albo Jane przy balii, twarz Mehitable robiła się różowa, jakby ktoś ją spoliczkował. Kiedy Lyddie przynosiła nową parę pończoch albo stos zacerowanych rzeczy, jej córka mówiła przez zaciśnięte usta: „Dziękuję, ale nie musiałaś”. Kiedy przechodziła akurat wtedy, gdy Nathan zaczynał pomstować na ceny siana, kaszel Bethiah albo kolor swojej grzanki, Mehitable tak patrzyła na Lyddie, jakby jej matka właśnie wbiła mu szpilkę w siedzenie. Ale prawdę mówiąc, Lyddie odniosła wrażenie, że Nathan specjalnie zaczyna narzekać, jak tylko pojawia się teściowa, i po jakimś czasie postanowiła, że najlepiej będzie, jak w ogóle przestanie się wtrącać do gospodarstwa córki.

Przeważnie chodziła na spacer. Szła osłoniętą ścieżką wzdłuż potoku, wypatrując pierwszych zwiadowców pomiędzy ałozami tęczowymi, płynącymi w górę strumienia na tarło w stawie młyńskim. Ale pewnego dnia, kiedy wiatr ucichł, a słońce świeciło na tyle długo, by nieco ogrzać powietrze, udała się w drugim kierunku, w stronę domu Edwarda.

Trawa nadal przypominała brązowy dywanik, pąki na świdośliwach wciąż były mocno zwinięte, w ogrodzie poniewierały się suche liście i patyki. Lyddie weszła na podwórko z zamiarem uprzątnięcia go, ale się powstrzymała. To już nie jej sprawa. Wróciła na drogę i poszła dalej, nie tam, skąd przyszła, ale przed siebie, na północ, w kierunku lasu, w kierunku drogi na plażę. Zobaczyła przed sobą dom Cowetta. Gdyby nie Rebecca Cowett, wieszająca pranie na krzakach przed domem, można by pomyśleć, że to przysadzisty, szary dom angielskiego osadnika. Kobieta w sukience też można by wziąć za Angielkę, gdyby ktoś nie zwrócił uwagi na czarne włosy i oczy w osadzie pełnej niebieskookich blondynek

Lyddie przystanąła, kiedy Rebecca Cowett zaczęła biec w jej stronę.

- Wdowo Berry, chciałabym pani złożyć kondolencje w związku ze śmiercią pani męża. Mój bardzo rozpaczał, że nie udało mu się uratować pana Berry'ego. Nie potrafię go pocieszyć. Powiedziałam mu: Bóg ocenia ludzi własną miarą.

- To prawda - przytaknęła Lyddie.

- Ale mój mąż nie tak to skwitował. Oświadczył, że Bóg musiał na jednej szali położyć ziemię, a na drugiej - wodę, bo ci czterej, których uratował, byli wszyscy razem mniej wagi od tego jednego, który utonął.

Lyddie szukała słów, by jej odpowiedzieć, ale na próżno. Indianka przyjrzała się jej uważnie.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli panią obraziłam, wdowo Berry. Zostałam wychowana na dobrą chrześcijankę, ale obawiam się, że nie można tego samego powiedzieć o moim mężu. Nie powinnam powtarzać jego słów, nawet pani. Do widzenia i niech Bóg panią błogosławi. - Wróciła do wieszania bielizny.

Lyddie w pierwszym odruchu chciała pójść za kobietą i zapewnić ją, że nie czuje się dotknięta, ale po zastanowieniu stwierdziła, że nie ma na to ochoty. Wciąż w środku niej płonął mały węgielek, palący niczym żółc po torsjach. Dlaczego Indianin nie uratował

Edwarda? Czy kosztowałoby go o wiele więcej trudu uratowanie pięciu zamiast czterech, a jeśli już miał uratować tylko czterech, czemu nie Edwarda w pierwszej kolejności, a potem jeszcze trzech, którychkolwiek trzech z pozostałych?

Szła przed siebie, nie wiedząc dokąd, aż znalazła się nad wodą. Rozciągała się spokojna i gęsta jak ołów, jej widok sprawił, że węgielek w Lyddie rozżarzył się mocniej. Dlaczego wieloryby nie mogły podплыnąć do brzegu w taki dzień jak ten?

Lyddie doszła nad skraj wody i spojrzała w dal. Ciekawa była, o czym myślał Edward, kiedy tonął. O Lyddie? O wielorybach?

O łodzi? O Indianinie, który go nie uratował? Poprawiła samą siebie. O Indianinie, który nie mógł go uratować. Fale o srebrzystych krawędziach płynęły po piasku do stóp Lyddie. Kobieta się cofnęła i woda się cofnęła, szumiąc, szepcząc, naigrywając się z niej.

Lyddie wróciła na drogę i tym razem, kiedy znalazła się przed drzwiami domu swojego męża, weszła do środka. Skierowała się prosto do frontowej izby, usiadła w fotelu Edwarda, zamknęła oczy

I starała się poczuć przez spódnicę ciepło jego ciała. Ale nie poczuła nic poza twardym, zimnym drewnem. Wstała i podeszła do biurka Edwarda, położyła dłonie na błyszczącym blacie, lecz on też był zimny. Dotknęła pióra Edwarda, otworzyła szufladę. Znalazła w niej tylko swój dziennik. Naturalnie Nathan zabrał papiery Edwarda, lecz zostawił bezwartościowe bazgrały Lyddie.

Lyddie otworzyła dziennik.

Czwartek, 1 stycznia. Bezwietrzna, łagodna pogoda; jak na razie dopisuje nam szczęście. Lis porwał dwie kolejne kury. Edward wybrał się na polowanie na niego, ale bez powodzenia. Skończyłam szyć jego kurtkę i zabrałam się do kamizelki. Edward oświadczył, że jest za ładna, by ją nosić na co dzień, i zostawi ją na ślub Neda Crowe'a.

Lyddie pamiętała resztę ich rozmowy tamtego dnia, której nie zapisała w swoim dzienniku. Rozmawiali o Nedzie Crowe i Edward utrzymywał, że każdy jurny, młody mężczyzna powinien się jak najszybciej ożenić, żeby „tak nie eksploatować tej biednej nierządniczy w karczmie”.

„A co z namiętnymi, młodymi kobietami?” - spytała Lyddie, a Edward odparł: „Masz rację. Ponieważ w karczmie nie oferują takich usług przedstawicielkom płci nadobnej, sam będę składał wizyty wszystkim po kolei”. Na to Lyddie powiedziała... Co powiedziała? Nie mogła sobie przypomnieć. Ale pamiętała, że Edward, usłyszawszy jej komentarz, odchylił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

Lyddie ujęła pióro Edwarda, umoczyła je w inkauscie i napisała:

Piątek, 2 stycznia. Dziś Edward utonął.

Znów zamoczyła pióro w inkauscie, narysowała linię w poprzek strony i zamknęła dziennik. Wstała, wsunęła dziennik pod pachę, ale przystanąła na ganku. Dziennik nie był częścią jej obecnego życia. Stanowił część życia, które spędziła w tym domu. Poszła do spizarni, podniosła klapę w podłodze i spuściła drabinę.

Nathan okazał się równie skrupulatny w piwnicy, jak w izbach: zniknął cały zgromadzony na zimę zapas grochu i fasoli, podobnie jak solone mięso i ryby, beczułki mąki kukurydzianej, kręgi sera i osełki masła, wszystkie baryłki piwa i dzbany cydru. Zostało trochę jabłek o pomarszczonej skórce,

przemarzniętych ziemniaków i dyni. Lyddie wzięła kamień, którym szorowała do czysta półki, wygrzebała dołek w polepie, włożyła do niego dziennik, a potem przysypała go ziemią.

Następnego dnia Lyddie poszła nad wodę, i następnego, nie rozumiejąc, dlaczego to robi. Może żeby liczyć, przez ile dni morze jest spokojne, a przez ile wzburzone, jakby w ostatecznym rozrachunku pomogło jej to zrozumieć czyny Boga. Trzeciego dnia zobaczyła, że Indianka przekopuje ogród. Lyddie zmusiła się do zatrzymania, traktując to jak pokutę za swoje poprzednie niepoehlebne myśli.

- Dzień dobry! - zawołała.

Rebecca Cowett odłożyła szpadel i pospieszyła w jej stronę.

- Dzień dobry, wdowo Berry. - Sprawiała wrażenie, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nie zrobiła tego.

- Wzięła się pani do ciężkiej roboty - zauważyła Lyddie.

- Kiedyś syn pomagał mi spulchniać ziemię, póki nie dorósł na tyle, by móc towarzyszyć ojcu.

- Ile lat ma teraz pani syn? - spytała Lyddie.

- Nie wiem, wdowo Berry. Nie wiem nawet, czy żyje, czy umarł.

Dwadzieścia jeden miesięcy temu udał się do Nantucket, żeby się zaokrętować, i od tamtej pory nie mam od niego żadnych wiadomości. Pan Scotto Chase słyszał, że jakiś chłopak spadł z takielunku w Hatteras...

- Jest dużo chłopaków, pani Cowett.

- Ale nie tutaj, w naszym małym zakątku, prawda, wdowo Berry?

Straciłam jednego podczas rozruchów i jednego pod Annapolis. Ten chłopak był moim ostatnim dzieckiem, jak pani córka, zamężna za Clarkiem. Ale pani ma wnuki, a ja nie. Oczywiście cierpi pani teraz dodatkowe zgryzoty,

których mnie los oszczędził. - Umilkła. - Nie powinnam pani zatrzymywać, z pewnością ma pani coś do załatwienia.

Lyddie była wdzięczna, że Indianka nie spytała, co takiego Lyddie zamierza załatwić. Pożegnała się, poszła nad wodę i obserwowała, jak fale zalewają brzeg. Jej umysł próbował się oswoić z osobliwą wiedzą, którą właśnie zyskała. Nie miała pojęcia o synu Indianki; zdziwiła się, że kobieta tyle wie o dzieciach Lyddie. Nie była pewna, jak to oceniać. A z całą pewnością nie podobało jej się, że kobieta stara się przyrównywać swoje troski do jej.

Tydzień później pole Rebecki Cowett było przygotowane do zasiewów. Lyddie przechodziła obok niego w drodze nad wodę, ale nigdzie nie dostrzegła Indianki. Kiedy wracała, kobieta właśnie wchodziła do domu. Lyddie ją pozdrowiła. Rebecca Cowett jej odpowiedziała, a potem, z lekkim wahaniem, zaproponowała:

- Może wstąpi pani na herbatę?

Lyddie ciekawa była, jak wygląda dom Indianki w środku. Kiedy Rebecca Cowett otworzyła drzwi, Lyddie zobaczyła wnętrze, którego sama by się nie powstydziała: porządny stół i krzesła, starannie przysypany ogień, kilka błyszczących miedzianych naczyń, świeżo pobielone ściany i czysty piasek na podłodze.

- Właśnie skończyłam wiosenne porządki - oznajmiła Rebecca Cowett.

- Z przyjemnością sama napiję się herbaty. Proszę usiąść, wdowo Berry.

Ale nie wiedzieć czemu Lyddie nagle poczuła się nieswojo; uznała, że nie powinna tu przyjść.

- Nie - odparła. - Nie mogę zostać. Chciałam tylko powiedzieć...

- Co?

- Słyszałam, że Seth Cobb wrócił z południa, i ciekawa jestem, czy ma jakieś wieści o pani synu?

- Nie.

- Przykro mi. Bardzo mi przykro. Do widzenia, pani Cowett.

Pospiesznie wyszła z domu Indianki, walcząc z przemożnym uczuciem, którego nie potrafiła nazwać. Zmagając się tak, nie myślała, dokąd idzie, i znalazła się na ścieżce prowadzącej do jej dawnego domu. Ale kiedy już się zorientowała, gdzie jest, szła dalej, otworzyła drzwi i nagle wszystko stało się jasne.

Normalnie o tej porze roku Lyddie zajmowałaby się tym, co właśnie zrobiła Rebecca Cowett: uprzątnięciem domu po zimie. Tymczasem stała teraz i patrzyła na okopcone ściany, szyby pokryte warstewką soli, brudne palenisko, kurz i pajęczyny, stosy łupin nasion i mysich bobków we wszystkich kątach. Pomyślała o diakonie Smalleyu, oglądającym taki widok, i zapłonęła się ze wstydu.

*

Tamtego wieczoru Lyddie spytała swego zięcia, kiedy skończył jeść kolację:

- Co nowego u diakona Smalleya?

- Do diabła ze Smalleyem. Rozmawiam teraz z Nedom Crowe. Żeni się za miesiąc. W piątek przyjdzie obejrzyć dom.

- Widziałam dziś dom. Jest bardzo zaniedbany. Gdybyś mi pozwolił...

Nathan zwrócił się do swojej żony.

- Co to ma znaczyć, do diabła? Nie sprzątałaś tamtego domu?

- Proszę - powiedziała Lyddie. - Pozwól mi doprowadzić go do porządku. Jeśli zabiorę ze sobą Jane, uwiniemy się z robotą w jeden ranek.

- Jane? - wtrąciła się Mehitable. - Chcesz zabrać Jane, kiedy jutro piekę chleb?

- To może Bethiah. Dziewczynka uniosła główkę.

- Tak, tak - zgodził się Nathan. - Niech przez pół dnia kaszle gdzie indziej. Oby tylko do piątku wszystko było uprzątnięte.

*

Wzięły pieróg nadziewany kurczakiem i wyszły skoro świt. Dziewczynka mało mówiła, póki nie znalazły się w pobliżu domu. Przed nimi ukazała się wysoka postać Indianina zmierzającego w stronę brzegu. Coś musiało zdradzić ich obecność, bo zatrzymał się i odwrócił. Bethiah się

cofnęła. Lyddie pokonała pierwszy odruch i szła dalej, nawet uniosła rękę w pozdrowieniu, ale nie zauważyła, czy mężczyzna jej odpowiedział. Po chwili ruszył w swoją stronę.

- O rety! - krzyknęła Bethiah. - Cóż za straszny człowiek! Mama mówi, żeby trzymać się od niego z daleka. Jest tak blisko twojego domu, babciu! Nie boisz się iść dalej?

- Jest spory kawałek za moim domem. Nic ci nie zrobi. Chodź.
Dziewczynka podbiegła do niej. W końcu rozwiązał się jej język.

- Nate mówi, że ten Indianin to najlepszy wielorybnik w Satucket. Mówi, że jest taki silny, że to on wyciąga wieloryby, a nie wieloryby jego. Mówi, że tata go nie lubi. Spytałam Nate'a, dlaczego tata go nie lubi. Powiedział, że dlatego, bo robi to, co mu się podoba. Chciałabym robić to, co mi się podoba. Mama mówi, że nikt nie robi tego, co mu się podoba. Spytałam: a Indianin? Ale powiedziała, że jeden Indianin nie ustanawia reguły. Spytałam: kto ustala reguły? Powiedziała, że Pan Bóg i tata. Uważam, że Pan Bóg albo tata powinni powiedzieć Indianinowi, jakie obowiązują reguły, prawda, babciu?

- Jesteśmy na miejscu - oświadczyła Lyddie. - Przynieś grabie ze stodoły. Możesz zacząć od usuwania wodorostów.

- Dlaczego okłada się domy wodorostami, babciu?

- Żeby było ciepło.

- To dlaczego teraz trzeba je usunąć?

- Żeby nie zbutwiały.

Dziewczynka pobiegła do stodoły, odwracając główkę, żeby ostatni raz spojrzeć na Indianina, nim zniknął za zakrętem.

Lyddie nabrała wody ze studni, weszła do domu i podkasła spódnicę. Postanowiła zacząć od piwnicy. Usunęła pajęczyny, które zdążyły

przyozdobić całe pomieszczenie, wyrzuciła resztki spleśniałych zapasów i do czysta wyszorowała półki. Potem umyła okna i wzięła się do czyszczenia ścian, kiedy weszła Bethiah z oczami okrągłymi ze strachu. Nadchodził Indianin. Schowała się za Lyddie, mocno trzymając się jej fartucha.

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi, Lyddie zrobiła krok, by je otworzyć, ciągnąc za sobą dziewczynkę. Jej też serce szybciej zabiło. Ciekawa była, która z nich bardziej się boi. I właściwie dlaczego boją się tego Indianina? Bo jest duży i silny? Bo jest ciemny? Bo „tata go nie lubi”? A może dlatego, że „robi to, na co ma ochotę”, nie bojąc się ani Boga, ani Nathana?

Stał na progu, wypełniając sobą całą framugę drzwi.

- Wróciła pani?

- Nie, tylko sprzątam. Dom zostanie sprzedany, jak już panu mówiłam. Pan Crowe przyjdzie go obejrzeć w piątek. To moja wnuczka, Bethiah.

Indianin wolno przeniósł wzrok z Lyddie na dziewczynkę, ale nie patrzył na nią długo. Widocznie to ośmieliło Bethiah; przestała tak mocno trzymać się fartucha babki.

- Moja żona rozmawiała z panią - powiedział.

- Tak.

- O pani mężu.

- Tak, trochę.

- Złapałem go. Mocno go trzymałem. Żył. Czuję, jak się mnie uczeplił.

- Tak. Rozumiem.

- Szwy puściły.

- Słucham?

- Szwy w kurtce puściły.

- Tak. Rozumiem.

- Trzymałem go, a potem go straciłem.

- Tak, panie Cowett. Rozumiem. I dziękuję panu. Nie poruszył się.

- Ned Crowe - odezwał się, jakby tylko o nim mówili. - Ned Crowe chce tutaj zamieszkać?

- Wiążemy z nim duże nadzieje - przytaknęła Lyddie. -

Rozczarowaliśmy się diakonem Smalleyem, ale teraz wszystko zapowiada się dobrze.

Zapadło milczenie.

Czy nigdy sobie nie pójdzie? Ani nie przestanie się w nią wpatrywać?

W końcu zrobił jedno i drugie jednocześnie, zgrabnie się odwracając, i Lyddie powiedziała „do widzenia” do jego pleców.

Zdziwiła się, kiedy się zatrzymał, odwrócił i w odpowiedzi wykonał półukłon.

- O rety - wymamrotała Bethiah.

10

Lyddie obudziła się z koszmaru sennego. Przyśniło jej się, że Edward wpadł do studni. Lyddie złapała rękaw jego kurtki, ale ręka Edwarda

oderwała się razem z rękawem i zwisała teraz bezwładnie w jej dłoni. Ale Lyddie obudził nie koszmar, który jej się przyśnił, tylko jakieś odgłosy, cały szereg odgłosów: pukanie do drzwi, rozmowa, kroki. Słyszała, jak Nathan narzeka: „Kogo, u diabła, niesie po nocy! To ty, bratowo?”. Lyddie wstała, owinęła się szalem i poszła po omacku do kuchni.

Zobaczyła w drzwiach Nathana, trzymającego w górze świecę, a na progu - żonę jego brata Silasa i piątkę jej dzieci. Kiedy wchodziły gęsiego, chybotliwe światło świecy padało to na złotą główkę, to na jasne oczy. Na samym końcu wsunęła się do izby ich udęczona matka o twarzy pooranej zmarszczkami.

- Przepraszam, szwagrze, bardzo przepraszam, że cię niepokoję, ale Silas się upił i rzucił się na mnie z nożem. Nie wiedziałam, dokąd pójść o takiej porze. Znajdzie się u ciebie jakiś kąt dla nas? Tylko na tę noc. Do rana Silas wytrzeźwieje i wrócimy do siebie.

- Jakiś kąt! Dobry Boże, kobieto, spójrz, ile was jest. Tu nie zajazd. No proszę, wszyscy się obudzili. Zmykaj stąd, Nathanie. Dziewczynki, marsz z powrotem do łóżek. Ach! Oto i moja żona! Dopiero co usnęła, bo przez wiele godzin rzucała się i wierciła!

Lyddie wystąpiła do przodu i położyła dłonie na ramionach dwóch dziewczynek, które stały najbliżej niej.

- Te dwie mogą spać ze mną. Będzie mi cieplej. - Spojrzała na Mehitable, ale nie zobaczyła w jej oczach niczego poza odbitym blaskiem świecy.

- Bethiah i ja weźmiemy do swojego pokoju ciocię Patience i naszą najmłodszą kuzyneczkę - powiedziała Jane. - A Nate może zabrać do siebie chłopców. Co ty na to, ojczy?

- Tak, tak, tak. Zgoda. A więc zmykajcie wszyscy. Ale muszę cię prosić, bratowo, żeby nie weszło ci to w zwyczaj.

Mehitable odwróciła się i udała do swojego pokoju, pozwalając, żeby inni zajęli się niespodziewanymi gośćmi. Lyddie zabrała dwie dziewczynki do swojego pokoju.

- Ale przygoda, być na dworze w środku nocy - zwróciła się do nich. - Widziałyście gwiazdy?

Opisały położenie Siedmiu Sióstr, Wielkiego Wozu i Kosiarzy, nim skończyły, już leżały pod kołdrą. Szybko zmorzył je sen, tylko Lyddie leżała, nie mogąc zasnąć, wspominając ciepło, bijące od tego, z kim przez lata dzieliła łóżce. Z rozmarzenia wyrwało ją mocne szturchnięcie kościstego łokcia.

*

Silas Clarke pojawił się następnego ranka z nisko zwieszoną głową, ale jeśli się spodziewał reprimendy od swojego brata, to się jej nie doczekał, przynajmniej Lyddie niczego takiego nie słyszała. Do sprawy powrócono dopiero nazajutrz, w niedzielę.

Wielebny Dunne poświęcił swoje kazanie wołaniu Boga, adresowanemu nie do ludzi prawych, ale do grzeszników. Pastor oświadczył, że ten głos skierowany jest do każdego z nich, bo grzech popełniony w sercu jest równie wielki, jak ten popełniony naprawdę. Zakończył obietnicą odkupienia. Kazanie bardzo znudziło Lyddie, ale skłoniło Deliverance Smith do powstania i przyznania się do ciężkiego grzechu pijaństwa i posługiwania się nieprzystojnym językiem.

Na dworze Bethiah spytała:

- Tato, dlaczego wujek Silas nie wstał i nie przyznał się do grzechu pijaństwa?

- Ponieważ mężczyźni wolno się napić - wyjaśnił jej Nathan. - Moja bratowa zbyt to wyolbrzymia, pod lada pretekstem zakłócając spokój w naszym domu.

- Nie nazwałabym wymachiwania nożem kuchennym lada pretekstem - powiedziała Lyddie.

Nathan odwrócił się do niej i rzucił jej gniewne spojrzenie, nim skierował swoją gromadkę w lewo, do gospody. Lyddie skręciła w prawo.

- Matko! - zawołała za nią Mehitable. - Dokąd idziesz?

- Do domu. Czuję, że zaraz rozboli mnie głowa.

Lyddie nie umiała kłamać. Jak tylko znalazła się w swoim pokoju, padła na kolana, żeby przeprosić Boga, ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Nie mogła prosić Boga, by odpuścił jej popełniony grzech, póki sama nie wybaczy Bogu tego, co on jej uczynił. Tak się zmagала, aż Bóg w swej nieskończonej łaskawości zesłał na nią ból głowy, który wcześniej symulowała, by uniknąć wysłuchania nauk. Ale nie uratował jej ani prawdziwy, ani udawany ból głowy. Nathan wróciwszy do domu, natychmiast ją odszukał, z troską wypytał o zdrowie, a potem powtórzył jej kazanie pastora, kończąc wzniośle: ten, kto lekceważy Boga w tym życiu, później będzie musiał znosić jego wieczny gniew.

11

Lyddie nadal chodziła nad wodę, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego, bo te spacerunki nie przynosiły jej ukojenia. Kiedy morze było spokojne, czuła złość; kiedy było rozchukane, ogarniała ją rozpacz; kiedy

znajdowało się w stadium pośrednim, stawała się niespokojna. Ale i tak coś ją ciągnęło na plażę. Pewnego dnia morze było wyjątkowo wzburzone. Fale zalewały buty Lyddie, lecz ona, zamiast się cofnąć, ruszyła przed siebie, aż woda dosięgła skraju jej spódnicy i zaczęła ją wciągać. Kiedy Lyddie poczuła, że morze chce ją porwać, odskoczyła, ale woda już zdążyła ją zmoczyć do wysokości ud. A ponieważ jak pech, to pech, w drodze do domu natknęła się na Ebena Freemana, który właśnie wychodził od Cowettów.

- Wdowo Berry! Na Boga, co się stało? Przewróciła się pani?

- Zapomniałam, że trzeba uważać, gdzie się stąpa, i tyle. Był pan z wizytą u Cowettów?

- Miałem do nich interes. Przepraszam, ale muszę zapytać... Słyszałem, że... często chodzi pani nad wodę?

- Och, kiedy najdzie mnie ochota. Ale jestem zaskoczona, że pana tu widzę.

- Dużo czasu spędzam w osadzie. A może ma pani na myśli tutaj, u Cowettów? Mam sprawę do Indianina. - Prawnik się uśmiechnął. - Prawdę mówiąc, wdowo Berry, ta sprawa ma związek z panią.

- Ze mną?

- Zgodził się na podział lasu.

Lyddie przystanąła, żeby się lepiej zastanowić, co czuje, i wśród szeregu emocji, z których część pozostała dla niej niezrozumiała, udało jej się wyodrębnić ciekawość.

- Co go przekonało?

- Nie mam pojęcia. Ale już niedługo będzie miała pani pieniądze na klamerki do butów.

- Kiedy?

- Niebawem. Naturalnie najpierw sfinalizujemy sprawę podziału lasu, ale zaraz potem przystąpimy do sprzedaży domu.

- Powiedział pan „przystąpimy”?

- Powinienem użyć pierwszej osoby liczby mnogiej tylko w odniesieniu do sprawy lasu. Z chwilą kiedy to nastąpi, sprzedażą zajmie się wielmożny pan Doane i mnie już nic do tego.

- Ani mnie.

- Wdowo Berry, pani zostanie włączona tylko w tę drugą sprawę. Zwrócą się do pani o rezygnację z prawa użytkowania domu. Proszę uważać, gdzie pani stąpa, bo cała się pani zamoczy. A skoro znów jesteśmy przy tym temacie, może rozważyłaby pani udawanie się na przechadzki tam, gdzie bezpiecznie, a nie nad morze? Szczególnie w taką pogodę?

- Mogę to rozważyć.

Przez chwilę się jej przyglądał.

- Wdowo Berry, proszę mi wybaczyć... Ale jeśli mi wolno powiedzieć... Ja też straciłem towarzyszkę życia i wydaje mi się, że wiem co nieco o sytuacji, w jakiej...

- Przepraszam, panie Freeman, ale nie wie pan nic o moim szczególnym położeniu. Może stracił pan żonę, ale nie dom, w którym mieszkał pan przez dwadzieścia lat, ani prawo do kierowania swoim życiem.

- Ja... Racja. Ale proszę pomyśleć, wdowo Berry. Samotna kobieta...

- Nie zmienia się z dnia na dzień w głupią gęś. Czy muszę znów panu przypomnieć o długich miesiącach, kiedy sama dawałam sobie radę ze wszystkim, gdy Edward wypływał w morze?

- Najmocniej przepraszam. Nie chciałem... Lyddie gwałtownie wypuściła powietrze z płuc.

- Nie, to ja pana przepraszam, panie Freeman. Zdaje się, że nie jestem dziś w najlepszym nastroju do spotkań towarzyskich. Żegnam pana.

Przyspieszyła kroku i się oddaliła. Mógłby ją z łatwością dogonić. Ponieważ tego nie zrobił, uznała, iż do pewnego stopnia rozumie jej położenie. Ale najwidoczniej doszedł do wniosku, że nie może tak tego zostawić, bo nim odległość między nimi stała się zbyt duża, zaczął biec za nią.

- Wdowo Berry, zapewniam panią, że doskonale znam pani umiejętności prowadzenia domu. Pani mąż często się tym chwalił. Ale kobieta samotna od czasu do czasu a kobieta owdowiała... to zupełnie co innego.

- W świetle prawa owszem.

- W świetle prawa i w życiu. Tak czy inaczej, proszę pamiętać, że zawsze jestem do pani usług.

Lyddie nie zdążyła mu podziękować. Zza rogu wyłonił się diakon Smalley, a Lyddie nie miała ochoty oglądać go zadowolonego, że w końcu zostanie właścicielem domu Edwarda. Postanowiła skrócić i kontynuować spacer. Zrobiła dużą pętlę i nim dotarła do domu Clarke'a, jej spódnica prawie wyschła. Ujrzała Ebena Freemana na ścieżce przed sobą. Tak się akurat złożyło, że Nathan właśnie wyszedł z domu. Lyddie nie zależało na spotkaniu z żadnym z nich, schowała się więc za stodołą, przypuszczając, że obaj panowie udadzą się prosto do gabinetu Nathana, a wtedy ona niepostrzeżenie wślizgnie się do domu. Ale mężczyźni zatrzymali się na ścieżce.

Zaczęli rozmowę od dyskusji o pogodzie: jutro wiatr ustanie. Raczej pojutrze, bo wieje głównie z północy. Skądże znowu, przez całe popołudnie wiał ze wschodu. W tym momencie Freeman zapytał:

- A jak się ma pani Clarke?

- Bardzo dobrze.

- A wdowa Berry?

- A czemu pan pyta?

- Czemu pytam? Żeby się dowiedzieć, jak się czuje. Z czystej kurtuazji.

- Ha! No więc dobrze. Niech mi wolno będzie poinformować, że wdowa Berry ma się dobrze. A nawet bardzo dobrze. Jest zadbana, jest zdrowa, są tacy, którzy nadal uważają ją za urodziwą. Śmiem twierdzić, że krótko pozostanie w mojej stajni.

- Chyba źle mnie pan zrozumiał, panie Clarke. Pytałem o pańską teściową, a nie klacz.

- Klacz! Ha-ha! Dobrze sobie, panie Freeman! Muszę pana jednak zapewnić, że moja klacz kosztowałaby pana znacznie drożej, chociaż nie wszystkie potrzeby mężczyzny zaspokaja. Freeman, już długo żyjesz samotnie, niektórzy powiedzieliby, że zbyt długo...

- Mam oddaną siostrę, która już czeka na mnie z obiadem, więc nie mogę dłużej ciągnąć tej rozmowy - przerwał mu Freeman. - Zatrzymałem się tylko dlatego, żeby panu powiedzieć, iż Sam Cowett zdecydował się na podział lasku.

- A to dopiero wiadomość! Co go do tego skłoniło?

- Nie wiem i nie zamierzam dociekać. Spotkałem również Smalleya i pozwoliłem sobie podzielić się z nim tą nowiną. Jest naprawdę zainteresowany zakupem. Nie reprezentuję go, ale ponieważ i tak zmierzałem w tę stronę, zgodziłem się przekazać tę wiadomość.

- No, no, przynosi mi pan dziś same dobre wieści. Dziękuję, Freeman. Wejdz i uczymy to kieliszeczką.

- Nie, dziękuję. Naprawdę muszę już iść. Wyrazy uszanowania dla...

- Zapewniam pana, że przekażę wdowie Berry pańskie wyrazy największego uszanowania.

- Miałem na myśli panią Clarke. Ale oczywiście może pan przekazać pozdrowienia również wdowie.

Dla Lyddie stanowiło słabą pociechę odkrycie, że w wieku trzydziestu dziewięciu lat nadal potrafi się zapłonić jak dziewczica.

*

Następnego dnia Lyddie wybrała się na spacer inną trasą. Przeszła na drugą stronę drogi prowadzącej do młyna i podążyła wzdłuż potoku. Pokonała spory kawałek, nim się zorientowała, gdzie jest, i bardzo ją to zdziwiło. Klony i wiśnie zakwitły na różowo, zielone źdźbła błyszcząły wśród zrudziałej trawy. Weszła na pieńek sterczący z wody i niebawem dostrzegła szarozielone cienie pierwszych ałoz tęczowych. Był kwiecień. W końcu minął marzec, a prawie tego nie zauważyła. Lyddie stała jak w transie, obserwując ryby i zastanawiając się, co jeszcze umknęło jej uwadze, kiedy była tak pochłonięta swoim położeniem. Zbyt wiele czasu spędziła, jak te ryby zmagając się z prądem wody. Rybom, które kierowały się w górę strumienia, nie będzie dane złożyć ikry, choć tak się spieszą; ludzie już czekali z sieciami, by je złowić, zasolić, wysuszyć, wsadzić do beczek, a następnie sprzedać plantatorom w Indiach Zachodnich, żeby karmili nimi swoich niewolników. Ale rybom zdążającym w dół strumienia nic nie groziło, ponieważ rybacy wierzyli, że są trujące. Może powinna wziąć z nich przykład i pozwolić, żeby jej zatruta dusza podążyła w takim kierunku, który wszystkim sprawi najmniej kłopotu?

Lyddie wróciła do domu i zastała Mehitale na podwórku, podbierającą jajka kurom. Wraz z nadejściem wiosny było coraz więcej

pracy. Z pewnością Mehitable znajdzie jakieś zajęcie dla matki. Podeszła do córki pełna nowego zapału.

W jasnym świetle dnia skóra Mehitable była blada i napięta, na skroniach wyraźnie rysowały się żyłki. W Lyddie zbudził się dawny lęk. Skóra jest taka cienka, że ledwo stanowi ochronę dla życiodajnej krwi; tyle różnych chorób może sprawić, by ta krew przestała krążyć w żyłach. Lyddie wzięła od Mehitable kobiałkę.

- Córko, pozwól, że cię w tym wyręcę. I może w ubijaniu masła. Mehitable uśmiechnęła się zyczliwiej niż ostatnio i przez chwilę

Lyddie łudziła się, że w końcu osiągnęły pełne porozumienie.

- Już podebrałam kurom jajka, matko, a Jane ubija masło. Ale jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić. Kuzynce Betsey zabrakło jajek do puddingu. Zanieś jej tę kobiałkę. I zostań u niej na obiedzie. Wyraźnie o to prosiła. Mówi, że pan Freeman spragniony jest miłej rozmowy.

- Jeśli chodzi mu o miłą rozmowę, to lepiej poślij z jajkami Jane, a mnie zostaw ubijanie masła.

- Nie, nie, lepiej nie. - Znow się uśmiechnęła.

A więc, pomyślała Lyddie, razem się starają opróżnić stajnię. Nabrała powietrza w płuca i wypuściła je wolno.

- Odmówię ci tylko tej jednej rzeczy, córko - powiedziała - z powodów, których nie mogę w tej chwili wyjawic. Ale błagam cię, pozwól mi sobie pomagać. Nie lubię siedzieć beczynn timer.

Mehitable zmieniła się na twarzy.

- Cóż, w takim razie zajmij się robieniem pończoch na drutach.

12

Lyddie akurat naciągała liny w łóżku, kiedy dobiegły ją z gabinetu zięcia głosy kilku mężczyzn, a wkrótce potem poproszono ją, by zeszła na dół. Rzuciła klucz do naciągania lin i pospieszyła do gabinetu. Zastała tam pięciu mężczyzn, zgromadzonych wokół stołu. Na jej widok uśmiechnęli się i pochylili siwe lub łysiejące głowy, które przywiodły Lyddie na myśl dmuchawce. Znała diakona Smalleya oraz Griffitha i Eldreda, sąsiadów trzymających stronę Clarke'a w sporze o potok młyński. Piątego dzentelmena przedstawiono jej jako szanownego pana Doane'a. Przywitawszy się z nią, znów wszyscy spojrzeli na stół. Leżała na nim jakaś kartka papieru. Lyddie nigdy przedtem jej nie widziała, ale nie miała

wątpliwości, co zawiera, tak samo jak wiedziała, jak będą wyglądały jej dzieci, zanim je urodziła.

- Wszystko załatwione, matko - oświadczył Nathan. - Diakon Smalley kupuje całość. Potrzebny nam tylko twój podpis. - Zamoczył pióro i podał je Lyddie, ale zawahała się, jakby stół otaczał kamienny mur.

- Matko - ponaglił ją zięć ostro, co było błędem. Bo ton jego głosu sprawił, że Lyddie jakby nogi wrosły w ziemię.

- Wdowo Berry? - odezwał się bardziej uprzejmie pan Doane. - Wie pani, że zgodnie z prawem musi to pani podpisać?

Lyddie podeszła do stołu i przeczytawszy dokument, stwierdziła, że zawiera to, czego się spodziewała.

Ja, Lydia Berry, wdowa po Edwardzie Berrym, zrzekam się wszelkich praw do użytkowania domu mieszkalnego i zabudowań gospodarczych na działce od zachodu i od północy graniczącej z drogą publiczną, od południa z działką należącą do Theophilusa Smalleya, a od wschodu z działką należącą do Indianina Sama Cowetta...

Indianina Sama Cowetta, za którego sprawą się tutaj teraz znalazła, bo zgodziwszy się na podział lasku, pośrednio przyczynił się do sporządzenia tego dokumentu. Lyddie przyszła do głowy dziwna myśl. Co powiedziałby James Otis o Samie Cowecie? Czy słuchanie tylko tych praw, które są zapisane w sercu, jest równoznaczne z robieniem tego, na co się ma ochotę? I czy Sam Cowett rzeczywiście robił tylko to, na co miał ochotę? Czy jakkolwiek człowiek może tak postępować?

- Wybacz, Doane - powiedział Nathan. - Moja teściowa nie ma doświadczenia z dokumentami prawnymi. Pokaż jej, gdzie ma podpisać.

Doane podszedł do niej.

- Tutaj, wdowo Berry. Tutaj proszę napisać swoje nazwisko, a panowie Eldred i Griffith to zaświadczą.

- A pan, panie Doane? Też złoży pan swój podpis?

- Nie, nie, jestem tu tylko jako pełnomocnik pana Clarke'a. W głowie Lyddie znów pojawiły się nieproszone myśli, tym razem dotyczące Ebena Freemana. W świetle prawa i w życiu... Jestem zawsze do pani usług. Dobry Boże, czy się odważy? I co jej z tego przyjdzie? Zyska jedynie nieco na czasie, będzie miała kilka minut, godzin czy dni więcej, nim zostanie zmuszona do złożenia podpisu na tym dokumencie. Uniosła wzrok i spojrzała na zięcia.

- A gdzie jest mój pełnomocnik?

- Wielki Boże, matko, po co ci pełnomocnik?

- Czyż sam tego dopiero co nie powiedziałeś? Nie mam doświadczenia z dokumentami prawnymi. Najlepiej poślij po pana Freemana.

- Nie wydziwiał, matko. To zwykła formalność. Powiedz jej, Doane. Szanowny pan Doane uśmiechnął się do Lyddie.

- Może zięć nie wyjaśnił pani tego w taki sposób, by w pełni to pani zrozumiała. Proszę więc pozwolić, że ja to teraz zrobię. Jeśli chce mieć pani własne fundusze, musi pani podpisać zgodę na sprzedaż. Tak można to najprościej ująć.

- Najprościej, panie Doane. Można by nawet powiedzieć, że zbyt prosto. Przez „własne fundusze” rozumie pan dochody z użytkowania jednej trzeciej majątku przysługujące wdowie lub zyski od jednej trzeciej kwoty uzyskanej ze sprzedaży?

- Tak jest, matko - powiedział Nathan. - A teraz przystąpmy do składania podpisów, dobrze?

- A gdyby dom nie został sprzedany, zachowałabym dożywotnie prawo użytkowania jednej trzeciej budynku?

Nathan się uśmiechnął.

- A co by ci z tego przyszło, matko?

- To co wcześniej. Czy możemy teraz posłać po pana Freemana?

- Dobry Boże, matko, chyba nie mówisz poważnie.

- Chyba najlepiej będzie, jak pošlemy po Freemana - wtrącił się Doane i od tej pory rozmowa zaczęła krążyć wokół Lyddie jak cyklon krąży wokół swego oka.

Clarke: To strata czasu!

Smalley: Lepiej teraz wyjaśnić wszelkie kwestie prawne, jakie mogą wyniknąć, niż zostawiać je na później.

Doane: Nie ma żadnych kwestii prawnych. Sprowadźcie tutaj adwokata wdowy, żeby ją o tym zapewnił.

Clarke: Chcę to już mieć z głowy!

Eldred: Wątpię, czy Freeman w ogóle jest w Satucket.

Smalley: Tak, tak, wciąż bawi w domu swego szwagra.

Doane: Dalej, Clarke, pošlij po niego jednego ze swych służących i załatwmy to.

Clarke: Najpierw musiałem się zajmować tą sprawą, zamiast pilnować swoich interesów, a teraz muszę jej jeszcze poświęcać wolny czas?

Doane: Jeśli wolisz przelożyć to spotkanie na inny dzień...

Clarke: I dwa razy płacić za twoją obecność? A mógłbym nic nie zapłacić, gdyby Freeman nie okazał się taką starą babą i zgodził się sporządzić ten dokument.

Doane: A więc to tak? W takim razie...

Clarke: A niech to wszyscy diabli! Jot! Gdzie, u diaska, jest Jot? Jot! Idź do Shubaela Hopkinsa i przyprowadź tu Freemana. Powiedz mu, że wdowa Berry go prosi. Jak to usłyszysz, powinieneś tu przybiec na jednej nodze.

Potem przez pewien czas można było odnieść wrażenie, że nikt nie ma ochoty rozmawiać z Lyddie z wyjątkiem mecenasa Doane'a. Ale Lyddie żałowała, że się tak trudził, by ją zabawić rozmową, gdyby zostawił ją w spokoju, mogłaby przeprosić obecnych i wyjść z pokoju. Mecenas Doane porównywał pogodę w Satucket i Bostonie, rozważał, jakie jest prawdopodobieństwo opadów deszczu, i rozwodził się nad stanem dróg, aż Jot przyprowadził Ebena Freemana.

Właściwie Lyddie nie spodziewała się, że prawnik przyjdzie, ale ucieszyła się, nawet bardzo się ucieszyła na jego widok. Wprawdzie był najszczuplejszy wśród obecnych w pokoju mężczyzn, ale zarazem najwyższy i kiedy stanął obok Lyddie, panująca wcześniej nierównowaga została w znacznym stopniu złagodzona.

Doane pokrótce wszystko zreferował. W tym czasie Freeman zachował kamienną twarz i tylko raz rzucił spojrzenie Lyddie, oczekując jej potwierdzenia.

Jak tylko Doane skończył mówić, głos zabrał Nathan Clarke:

- Freeman, jeśli sądzisz, że zrobisz z igły widły, to się grubo mylisz. To jedynie kwestia braku zrozumienia przez moją teściową, o co w tym wszystkim chodzi.

- Nie widzę, by wdowa coś źle rozumiała - odparł Freeman. - Zgodnie z warunkami testamentu jej męża, ma pełne prawo użytkować jedną trzecią nieruchomości, a poza tym domagać się utrzymania i opieki...

- Może liczyć na utrzymanie i opiekę, jak tylko podpisze ten dokument.

- Ma prawo domagać się utrzymania i opieki bez względu na to, czy podpisze ten dokument, czy nie.

Nathan roześmiał się nieprzyjemnie.

- Bardzo dobrze, Freeman. Jak sobie wyobrażasz swoją klientkę, użytkującą jedną trzecią domu?

- Jeśli rozpali ogień w części paleniska od wschodu, umieści stół, krzesło i kredens w tamtym końcu izby, łóżko wstawi do pokoju w południowo-wschodnim narożniku domu, zajmie spiżarnię, a także jeden kąć obory, by trzymać tam krowę, to według mnie nie naruszy ograniczeń narzuconych przez testament ani praw obowiązujących w kolonii.

- Przypuśćmy. A kto będzie wyrzucał gnój z tej części obory, gdzie wdowa będzie trzymała swoją krowę, zbierał siano i rąbał drwa? Czy uważa siebie za osobę wystarczająco bogatą, by wynająć parobka do takich prac?

- Uważa pana za wystarczająco bogatego, panie Clarke. Zgodnie z testamentem jej męża ma pan obowiązek zaspokajać jej potrzeby. W przypadku wdowy Howland sąd następująco określił te potrzeby: czterdzieści sągów drewna rocznie, osiem buszli mąki kukurydzianej, dwa - żyta, osiemdziesiąt funtów wołowiny, pięćdziesiąt - wieprzowiny...

- Panie Doane - odezwał się Nathan - proszę, zrób coś, żeby położyć kres tej czezej gadaninie.

Pan Doane spojrzał na pana Freemana.

- Uważam, że osiemdziesiąt funtów wołowiny to za dużo. W przypadku wdowy Selew...

- Do diabła z wdową Selew! - przerwał mu Nathan. - Co mnie obchodzi wdowa Selew? Panie Doane, zapewniam cię, że to wszystko nie ma sensu. Wyobraża sobie pan, aby kobieta w takim wieku zrezygnowała z

wygodnego życia pod moim dachem, by mieszkać samotnie w brudzie i nędzy?

- W brudzie i nędzy? - oburzyła się Lyddie. - Uważasz, że rodzice twojej żony żyli w brudzie i nędzy? Możesz zatrzymać swoją dwukólkę i swoje srebrne miski do owsianki, i swoich służących.

Możesz nawet zatrzymać tych osiemdziesiąt funtów wołowiny. Wystarczy mi, jak dostanę od ciebie drewno, siano, kukurydzę i zajmę jedną trzecią mojego domu. Pan Freeman spojrział na nią, nie kryjąc zaskoczenia.

- Chwileczkę - powiedział. - Panowie, proszę pozwolić, że opuścimy panów na chwilę. - Bezceremonialnie złapał Lyddie za ramię i wyprowadził z gabinetu do jej pokoju, po czym zamknął za nimi drzwi.

- Moja droga pani - zwrócił się do Lyddie. - Co pani zamierza?

- Zamierzam sama decydować o swoim życiu, panie Freeman.

- Kiedy zabrałem głos przed chwilą... ale z pewnością wiedziała to pani? Zabrałem głos, żeby zyskać na czasie, żeby być może wytargować nieco więcej, jeśli chodzi o zaspokojenie pani potrzeb. W żadnym wypadku nie zalecam, by wyprowadziła się pani z tego domu. To byłoby szaleństwo.

- Cóż, bardzo dobrze, w takim razie proszę mnie uznać za szaloną. I proszę nie poczuwać się do winy. To nie był pana pomysł, właściwie nie zrobił pan nic poza pokazaniem mi, w jaki sposób można pokonać kilka przeszkód. Jeśli będę miała dość drewna i zboża...

- Nie, nie, nie. Prawo to jedno, a rzeczywistość to zupełnie co innego. Czy pomyślała pani choć przez chwilę, że rezygnując z pomocy materialnej zięcia...

- Mam prawo domagać się od niego pomocy materialnej bez względu na to, gdzie zamieszkać. Czyż właśnie dopiero co nie powiedział pan tego?

Stali i spoglądali na siebie tak, jak dwoje ludzi, którzy przypadkiem spotkali się na drodze, jeden wracał z wesela, a drugi z pogrzebu. Lyddie zauważyła, że prawnikowi warkocz schował się pod kołnierz. Mężczyzna w takim pośpiechu wyszedł z domu, że nie poprawił surduta. Poświęcił Lyddie sporo czasu. Miała wobec niego dług, którego nie potrafiła spłacić. Nie mogła zrobić dla niego nic, tylko poprawić mu warkocz, ale ten zwykły gest sprawił, że kolejne emocje uzewnętrzniły się na jego twarzy. Kiedy cofała rękę, ujął ją w swoje długie palce.

- Wdowo Berry. Lydio. Widzi pani? Zwróciłem się do pani po imieniu, jakby zwrócił się do pani mąż, gdyby tu był. Powiedział mi, czego dla pani pragnie, co według niego będzie dla pani najlepsze...

- I pan przyznał mu rację, że najszcześliwsza będę w domu mojego zięcia Clarke'a?

Obydwoje odwrócili wzrok. Nathan Clarke otworzył drzwi.

- No dobrze, już sobie porozmawialiście. Chodź, matko, i podpisz dokument. Doane spieszy się do Barnstable.

- Z przyjemnością podpiszę dokument - oświadczyła Lyddie

- jeśli zostaną w nim uwzględnione warunki, przedstawione przez mojego prawnika.

Lyddie mogła równie dobrze ukłuć Nathana szpilką. Nie wierzyła własnym uszom, że jej zięć powiedział coś takiego nie tylko jej, ale również Ebenowi Freemanowi. Wszyscy goście pospiesznie opuścili dom z wyjątkiem Ebena Freemana, którego obecność z punktu widzenia Lyddie przyczyniła się do neutralizacji jadu jedynie w połowie. Nawet łagodny głos Mehitable podział na Nathana jak podpałka, chociaż kobiecie udało się nakłonić męża, by zszedł im z oczu, nawet jeśli pozostał w zasięgu ich słuchu.

- Dosyć tego! - zołądkował się Nathan w sąsiednim pokoju.

- Koniec! Nie chcę jej widzieć na oczy! Nie chcę jej widzieć przy moim stole! Przekona się, ile straciła! Niech śpi w oborze z tą parszywą krową, jeśli tego chce!

Eben Freeman chrząknął.

- Może zechciałaby pani zjeść obiad ze mną i z moją siostrą? Często to proponowała.

Lyddie przyjęła jego zaproszenie.

*

Betsey powitała kuzynkę tak, jak - zdaniem Lyddie - wita gościa kobieta, której mąż właśnie udał się na rzekę Canada. Eben Freeman próbował przedstawić wydarzenia poranka w możliwie oględny sposób, ale oczy Betsey z miejsca stały się wielkości i koloru cynowych miseczek.

- Zostaniesz na noc - postanowiła. - Niech Clarke nieco ochłonie. Wyślemy do nich Ebena z wiadomością, żeby się o ciebie nie martwili.

Lyddie uznała, że to dobry pomysł. Niewątpliwie jeszcze bardziej spodobało się to Mehitable. Eben Freeman przyniósł worek, do którego córka zapakowała dwie spódnice Lyddie, dwie koszule, jedną suknię, grzebień do włosów i cztery pary pończoch, zarówno grube na zimę, jak i cienkie na lato.

13

Lyddie źle spała tamtej nocy. W pomieszczeniu pachniało papierem, inkaustem, koniem, tytoniem i przepoconą popeliną. Podejrzewała, że trafił jej się pokój, który zwykle zajmuje Eben Freeman, kiedy składa wizytę swojej siostrze. Hopkinsowie mieszkali z dwiema najmłodszymi córkami, ale przygarnęli również staruszkę, na którą wołano ciotka Goss. Wszyscy jej krewni powymierali, ale tak nazywał ją Eben Freeman, który w dzieciństwie bardzo się przyjaźnił z jej synem. Mąż ciotki Goss wypłynął z Nantucket statkiem wieloryb-nicznym i nie wrócił - krążyły plotki, że żyje na Azorach z kochanką - a jej jedyny syn zmarł kilka lat temu po tym, jak go pobódł byk. Kiedy ciotka Goss stała się niedołączna, Eben Freeman uzgodnił z siostrą i jej mężem, że ją przyjmą pod swój dach, a on będzie im co miesiąc przekazywał pewną kwotę za opiekę nad nią. Ciotka Goss zajmowała malutką sypialnię w północno-wschodnim narożniku, Shubael i Betsey - w południowo-zachodnim, a Lyddie - w południowo-wschodnim. W związku z

tym Freeman nie miał wyboru, tylko musiał się przespać na jednym ze starych łóżek w części poddasza, którą kiedyś zajmowali chłopcy.

Podejrzenia Lyddie potwierdziły się rano, kiedy przed śniadaniem pospiesznie uprzątnięto kilka grubych plików papierów. Na myśl o tym, że stała się przyczyną zamieszania w kolejnym domu, Lyddie ogarnęły wyrzuty sumienia. Pozostali domownicy raczej nie włączali się do rozmowy toczącej się przy stole; obie dziewczyny usługiwały starszym w całkowitym milczeniu. Ciotka Goss była ślepa i głucha, a do tego - głupia. Pochyliła wysuszoną twarz tak nisko nad talerzem, jak to tylko możliwe, i powykęcanymi palcami drobila kawałek chleba. Betsey rozmawiała na różne tematy, które interesowały wyłącznie ją. Freeman skupił się na jedzeniu, od czasu do czasu rzucał jedynie „naprawdę?” albo kiwał głową. Kiedy Betsey zawinęła chleb w ściereczkę, Lyddie powiedziała:

- Dziękuję ci za gościnę, kuzynko. Pójdę sobie, jak tylko spakuję rzeczy.

- Pójdzie pani? - zdziwił się Freeman. - Według mnie to niezbyt rozsądne. Najlepiej jak dotrzyma pani towarzystwa mojej siostrze pod moją nieobecność. Zaraz jadę do Barnstable.

- Do Barnstable! - wykrzyknęła Betsey. - A czemuż to? I kiedy zamierzałeś mnie o tym poinformować?

Freeman próbował dać siostrze znak uniesieniem palca, co zauważyła Lyddie, ale Betsey - nie. Nawet ciotka Goss podniosła głowę i patrzyła to na Ebena, to na Betsey, przypominając małego, brązowego wróbelka szukającego ziarenek.

- Nie powiedziałem ci wczoraj? - zdziwił się Freeman. - Jestem pewien, że to zrobiłem. Wyraźnie pamiętam, jak cię pytałem, co mam ci przywieźć z Barnstable, by ci się odwdzińczyć za twoją gościnność.

- Odwdzięczyć się za moją gościnność! Przecież jesteś moim bratem! Za bardzo mnie rozpieszczasz, co ci często powtarzam. Może jakiś drobiazg. Ostatnio dostałam od ciebie chusteczki, prawda? Bardzo ładne. Znasz mój gust. Nie jestem taka, jak niektóre kobiety z naszej osady. Widziałeś grzebień do włosów pani Smalley? Dla mnie o wiele za wytworny. Ale skoro jedziesz do Barnstable, bądź tak dobry i zabierz paczkę dla Henry'ego.

- Wyszła z pokoju.

Freeman spojrzał na ciotkę Goss, której broda opadła na piersi, jakby kobieta usnęła. Zwrócił się do Lyddie:

- Czasami trudno mi zrozumieć moją siostrę - powiedział. - Na przykład teraz w kwestii tego prezentu. Zdrowy rozsądek podpowiada, żeby znów dać chusteczki. Ale instynkt mi mówi, by kupić jej grzebień do włosów.

- Uważam, że doskonale pan rozumie swoją siostrę.

- Moja żona miała inną naturę. Pod niektórymi względami pani mi ją przypomina. Mówi pani to, co pani myśli.

- Również to, czego lepiej nie mówić. Uśmiechnął się.

- Niewygórowana cena za wierność swoim zasadom. Betsey wróciła z paczką. Eben Freeman wziął ją i wstał.

- Do widzenia, sestro. Do widzenia, dziewczynki. Do widzenia, wdowo Berry. - Spojrzał na ciotkę Goss. Miała otwarte usta, ale zamknięte oczy. Niemniej jednak podszedł do niej i dotknął wargami jej skroni. Staruszka nie otworzyła oczu, ale Lyddie zauważyła, że uniosła sękatą dłoń i poklepała rękę Freemana. Zwrócił się do Lyddie. - Życzę miłego pobytu u mojej siostry.

Jak tylko je opuścił, Betsey znów zaczęła narzekać. Ciężko, bardzo ciężko być samej ze starą kobietą i dwiema chorowitymi dziewczynkami,

mąż i synowie wyjechali, w całej osadzie nie został ani jeden krewnymęczyzna. O ile się orientuje, jej brat miał dużo do omówienia z Winslowem w związku z awanturą o młyński potok, cieszyła się, że Freeman dłużej zabawi w Satucket, a tu proszę, wyjechał do Barnstable. Miała nadzieję, że nie zapomni wstąpić do jej syna i przekazać mu paczkę od niej. Kiedy Betsey ostatni raz wybrała się do Barnstable, żona Henry'ego poczęstowała ją udźcem baranim z rożna. Postanowiła nie narzekać, ale gdy następnego dnia znów podano to samo...

Lyddie wstała.

- Muszę iść - oznajmiła.

- Iść! Co ty mówisz? Nie słyszałaś, co powiedział mój brat?

Powiedział, że masz zostać tutaj. Powiedział, że...

- Muszę iść, kuzynko.

Lyddie udała się do swojego pokoju. Betsey pobiegła za nią i próbowała odwieść zbierającą swój dobytek Lyddie od podjętego zamiaru, ale kiedy się przekonała, że nic nie wskóra, dała sobie spokój. Poszła po kawałek sera i bochenek chleba dla Mehitable w zamian za jajka, które od niej dostała.

Lyddie wyszła, odprowadzana przez paplaninę Betsey i baczne spojrzenie ciotki Goss, która otworzyła oczy jak u wróbla. Ruszyła prosto Drogą Królewską, ale obok Fosterów skręciła nad wodę, by uniknąć ludzi na głównym trakcie, a przy okazji wszelkich pytań. Ziemia była mokra, ale nie rozmiękła, pierwszy prawdziwie słoneczny dzień kwietniowy podniósł Lyddie na duchu. Rozkoszowała się przyjemnym dniem. Przy Point of Rock zobaczyła w kanale słup Bangsa, z którego wyładowywano drewno. Kilku mężczyzn uniosło głowy, kiedy ich mijiała, pozdrowiło ją i wróciło do swojego zajęcia; nie interesowała ich jeszcze jedna gospodyni domowa,

która przysłała z workiem po piasek, by wyszorować podłogi. Skręciła w lewo i poszła ścieżką wzdłuż turzyc za wydmami. Dróżka była nierówna i po przejściu kilku metrów Lyddie poczuła, jak skóra pod gęstymi włosami zebranymi na karku robi jej się wilgotna. Nie zdawała sobie sprawy, że słońce grzeje tak mocno. Nim dotarła do drogi prowadzącej do domu Robbina, spociała się pod pachami, miała mokłą skórę między piersiami i po wewnętrznej stronie ud, ale na szczęście nikogo po drodze nie spotkała.

Lyddie skręciła w stronę osady i po jakimś czasie znalazła się obok domu Cowettów. Zobaczyła Rebeckę Cowett zajęta siewem, pomachała jej, ale się nie zatrzymała. Kiedy dotarła do swojego dawnego domu, okrążyła go i skierowała się prosto do studni. Ciemna woda połyskiwała jak jedwab; Lyddie nabrała wiadro wody i zanim jeszcze dotknęła jej ustami, poczuła zimną słodycz. Napiała się, a potem zanurzyła w wiadrze obie dłonie i spryskała twarz, szyję i ramiona. Pochyliła się, zdjęła buty i pończochy, po czym ochlapała nogi. Stała bez ruchu, aż wietrzyk owiał mokłą skórę. Przeszedł ją dreszcz. Wyciągnęła się na trawie, by słońce ją osuszyło. Kiedy ostatni raz robiła coś tak głupiego, jak wylegiwanie się na słońcu? - zastanawiała się. Zanim stała się na tyle duża, by szyć, szorować i gotować; czyli zanim skończyła cztery latka.

Lyddie długo leżała na trawie nie dlatego, żeby oddawać się słodkiemu lenistwu, ale żeby móc się rozkoszować dwoma światami: wilgotną ziemią pod sobą i ciepłym słońcem w górze. W którym z tych światów mogłaby teraz znaleźć Edwarda? - ciekawa była Lyddie. Ale kiedy się tak zastanawiała, stwierdziła, że razem z utratą wiary w Boga przestała również wierzyć w niebo i piekło. Czy straciła również wiarę w nieśmiertelną duszę Edwarda? Nie, doszła do wniosku. Zbyt wyraźnie czuła go przy sobie. A to rodziło kolejne pytanie: skoro dusza Edwarda nie jest ani w górze, ani w

dole, to gdzie? Czy Edward błąka się po świecie? A jeśli tak, to czy przyjdzie tu, do domowego zacisza, czy też wybierze sobie jakieś ważniejsze miejsce, na przykład pokład słupa albo dom modlitwy, kiedy zbierają się tam wszyscy mieszkańcy osady, albo nawet tawernę, gdzie, jak kiedyś powiedział Edward, oprócz bękartów rodzą się nowe idee? Za mało znała świat mężczyzn, aby bez cienia wątpliwości stwierdzić, jakie miejsce obrałby sobie Edward. Wiedziała jedynie, co ona wybrałaby w takiej sytuacji. Ale to nie stanowiło odpowiedzi na pytanie, ponieważ wybory Edwarda różniły się od jej wyborów. Ona mogła wybierać między jednym czy drugim domem, między jednym czy drugim mężczyzną. Albo zdecydować się na samotność.

Samotność. Słowo to zabrzmiało w jej uszach jak obietnica. Dlaczego musi teraz opuścić dom, który tak głęboko zapisał się w jej sercu? Miała bochenek chleba i kawałek sera, które dała jej Betsey. Starczą na dwa dni, a nawet na trzy, jeśli będzie oszczędzać. Betsey pomyśli, że wróciła do domu Nathana; Nathan, jeśli w ogóle będzie sobie tym zaprzętał głowę, uzna, że została u Betsey. Dwa albo trzy dni w jej dawnym domu, o nic więcej nie prosiła.

Coś spłoszyło trzy wrony. Wyfrunęły z lasu, trzepocząc skrzydłami i kracząc. Lyddie usiadła. Ptaki przycupnęły na zeszłorocznych pędach dyni, ale to, co je skłoniło do ucieczki, nadal nie dawało im spokoju. Krakąły ostrzegawczo, aż Lyddie im uwierzyła. Wstała. Już nie była mokra, ale z całą pewnością miała wilgotną skórę i zeszywniałe stawy. Przeciągnęła się i spojrzała na wrony.

- Sio! - krzyknęła.

Ptaki odleciały z krakaniem. Lyddie wróciła na podwórze, wzięła swój worek i weszła do domu. Powitała ją cisza gęsta jak pudding. I wilgoć.

Miała przemożną chęć na herbatę. Spojrzała na półkę, chociaż niezbyt łudziła się nadzieją, że coś tam znajdzie. Nie zostało na niej nic wartościowego, jedynie trochę naczyń stołowych, solniczka, zniszczona blacha do ciasta, kilka drewnianych deseczek i - zobaczyła ją, chociaż niewiele sobie po tym obiecywała - zardzewiała puszka na herbatę. Podważyła wieczko i dostrzegła na dnie dość starych listków, by starczyły na dzień lub dwa. Poczula, jak unoszą się jej kąciki ust. Sięgnęła po pudełko na hubkę i krzesiwo. Zaczęła krzesać ogień, krzesła i krzesła, ale iskra się nie pojawiła. Nagle ogarnął ją lęk. Sprzeciwiła się zięciowi i prawnikowi. Wzgardziła pomocną dłonią wyciągniętą przez kuzynkę. Nie powinna była opuścić domu Betsey; nie powinna była tu przyjść.

Hubka zajęła się ogniem. Lyddie dołożyła kilka patyków z dna skrzyni na drewno i przykucnęła. Znów się zasapała i spociła jak podczas spaceru. Wzięła wiadro i poszła do studni. Dzień okazał się taki, jak większość ładnych kwietniowych dni: to ciepły i słoneczny, to szary i chłodny. Wrony odfrunęły z ogrodu. Widocznie niebezpieczeństwo minęło i wróciły do lasu, albo to, co je wystraszyło, skłoniło je do wyniesienia się gdzieś dalej. Lyddie nabrała wody ze studni. Kiedy niosła wiadro ścieżką, poczuła ból w ramionach, które już się zdążyły odzwyczaić od pracy. Połowę wody wlała od razu do kociołka, który zawiesiła nad ogniem. Wiadro z resztą wody postawiła obok drzwi, przeznaczając ją do mycia. Była już głodna, ale postanowiła, że jeszcze się wstrzyma z jedzeniem. Czego nie zjesz teraz, zostanie ci na później. Udała się do swojego dawnego pokoju, od wschodu, tego, który według Ebena Freemana mogła użytkować zgodnie z obowiązującym prawem. Nie zostawiła na łóżku nic poza starym kocem, by chronić piernat. Przypuszczała, że będą na nim spali córka Smalleya i jej

nowy mąż, a tymczasem to ona się na nim położy, w ubraniu, pod zatęchłym kocem, sama.

Sama. Ale czemu nie czuła się samotna? Ściągnęła koc z łóżka i wyniosła na dwór, by go wytrzepać i wywietrzyć. Powiesiła go na krzaku ostrokrzewu i wróciła do środka, żeby obejrzyć piernat. Oparł się myszom, ale trzeba go było wrzucić. Też go wyniosła przed dom. Następnie zmiotła mysie bobki, martwe owady i pajęczyny, które zebrały się w kątach. Wtedy poczuła, że jest bardzo głodna. Herbata była gotowa; ponieważ Lyddie nie miała mleka ani cukru, ani nawet melasy, napiła się gorzkiej, ale chleb Betsey był słodki, więc razem bardzo jej wszystko smakowało. Ukroiła cienki klinik sera i rozejrzała się po kuchni. Zauważyła, że zabrano stąd jeszcze kilka rzeczy od czasu, kiedy była tu ostatni raz: zniknęła fajka Edwarda i jego obcęgi, jego muszkiet, zegar. A czemuż by nie? Należały teraz do Nathana. Lyddie ze zdziwieniem stwierdziła, że najbardziej jej żal muszkietu. Edward nauczył ją strzelać z niego na początku ich małżeństwa, po tym, jak banda Irokezów rozwalila drzwi w domu jego brata w Duxbury. Wprawdzie Indianie z półwyspu Cod nigdy nie niepokoili swoich angielskich sąsiadów, ale Lyddie zabiła z tego muszkietu niejednego lisa. Z muszkietem czuła się bezpieczna.

Skończyła posiłek, umyła talerz i kubek, wniosła piernat i koc. Po czym stanęła, nie wiedząc, co dalej.

Kiedyś Lyddie wiecznie coś robiła, ledwo skończyła jedno, a już trzeba się było brać za coś nowego, ale teraz nie miała pudełka na przybory do szycia ani robienia na drutach, nie miała mąki, by coś upiec, nie miała mydła, żeby zrobić pranie, nie miała łoju, żeby sporządzić świece. Nie miała ogrodu, który musiałaby pielnić, krowy, którą musiałaby doić, kur, żeby podbierać im jajka, ani męża, którego musiałaby ubierać i karmić.

Zapał zmrok. Lyddie znalazła trzy świece, ale ponieważ nie miała książki ani robótki, postanowiła, że nie będzie ich marnować. Przysypała ogień, poszła do swojego dawnego pokoju i nie zdejmując ubrania, wsunęła się pod stary koc. Od miesięcy nie czuła się taka zmęczona, ale zamiast usnąć, leżała i słuchała odgłosów domu.

Już zdążyła je zapomnieć. Ten trzask to świdośliwa pod oknem czy wyschnięta wręga łodzi na strychu? A to drapanie - smilaks o szybę czy mysz? Z lasu dobiegł przeraźliwy krzyk sowy - a może konającego królika? Lyddie usiadła na łóżku. Spuściła nogi na podłogę i poczuła pod stopami gładkie deski, które położył Edward.

- Jesteś tutaj? - zapytała szeptem.

Odpowiedział jej suchy grzechot - mógł to być śmiech mężczyzny, mokry kaszel albo zeszłoroczna łuska kukurydzy.

14

Lyddie obudziła się razem z gołębiami karolińskimi. Kiedy szła do wygodki, akurat pojawił się cytrynowo-różowy paseczek na szarym niebie nad wschodnim widnokrzem, w nozdrza uderzył ją cierpki zapach mokrego piasku. W drodze powrotnej do domu zauważyła, że krzewy śliw zakwitły, a wiele nowych pędów przebiło się przez suche liście zaścielające ogród.

Rozpaliła ogień, zaparzyła sobie trochę słabej herbaty i ukroiła cienką kromkę chleba. Potem, sama nie wiedziała dlaczego, bo nie miała nic, co mogłaby zasiać, postanowiła pójść do ogrodu i uprzątnąć zbutwiałe liście. Najpierw udała się do obory. Pachniało w niej starym nawozem i stęchłym sianem, a przez to wszystko przebijał trupi zapach; prawdopodobnie jakiś ptak albo gryzoń złapał się w pułapkę. Widocznie Nathan nie potrzebował nowej łopaty ani siekiery, bo zostawił je dla Smalleya, ale jedyna motyka była złamana. Wzięła ją, a także stary worek, by go podłożyć pod kolana.

Jak tylko Lyddie przyklęknęła, wrony w lasku znów zaczęły krakać; niech kraczą, pomyślała, w tym roku nie będzie ziarna, które mogłyby kraść, ani lnu, który Lyddie mogłaby wyrwać i uprząć z niego nici, ani ogórków, kapusty, dyni, fasoli, w ogóle nic. Czemu więc tak się trudzi?

Lyddie tak rozmyślała, ale jej palce nie zwracały na to uwagi. Najpierw wyrwała suche chwasty, potem przystąpiła do spulchniania

grządek złamaną motyką. Wielkie kęsy ziemi przypominały cukierki z melasy. Musiała rozkruszać glebę palcami.

Lyddie pracowała do pory obiadowej i zdążyła przekopać półtora metra ziemi, kiedy nadjechał Eben Freeman. Sztywno zsiadł z konia; może przez to, a może dlatego, że nie starał się jak zwykle przybrać miłego wyrazu twarzy, Lyddie odniosła wrażenie, że się postarzał, odkąd ostatni raz go widziała.

- Właśnie byłem u Clarke'a, szukając pani - powiedział. - Moja siostra oświadczyła, że wróciła pani do zięcia, ale Clarke stanowczo temu zaprzeczył.

- Więc przyjechał pan tutaj?

- Doskonale wiedziałem, gdzie panią zastanę.

- Bardzo pan domyślny.

- Dziwię się, słysząc w pani ustach takie słowa. Zlekceważywszy moją radę, oszukawszy zarówno mnie, jak i moją siostrę...

- Nie zamierzałam nikogo oszukiwać, panie Freeman.

- A z czego zamierza pani żyć?

- Pańska siostra dała mi chleb i ser dla Mehitable. Przywłaszczyłam je sobie, ale kiedyś na pewno zwrócę to, co zabrałam. A na razie...

- Czy dobrze panią rozumiem? Zraziła pani do siebie wszystkich, którzy mogliby pani zapewnić godziwe utrzymanie, i zamierza pani przeżyć o kawałku chleba i sera? Czy też liczy pani na to, co boskim zrządzeniem wyrośnie na jałowej ziemi?

Wskazał spłachetek u stóp Lyddie. Chciała mu wyjaśnić, że planowała tu pomieszkać tylko dwa, trzy dni, ale jak w takim razie wytłumaczyłaby prace w ogrodzie?

- Znalazł pan prezent dla siostry w Barnstable? - zapytała więc, by zmienić temat.

Sądząc po spojrzeniu, jakim ją obrzucił, równie dobrze mogła go była zapytać, czy znalazł w Barnstable klejnoty królewskie.

- Nie. Miałem co innego do roboty podczas krótkiego pobytu w mieście i spieszyłem się z powrotem, sądząc, że uda mi się teraz rozwiązać...
- Urwał.

Lyddie otrzepała ręce i ruszyła w kierunku domu. Freeman poszedł za nią.

- Zaprosiłabym pana na obiad, ale domyśla się pan, czym mogę pana poczęstować.

- Potrafi pani sobie z tego żartować?

- Tak. - Dopiero teraz Lyddie to sobie uświadomiła. - Mam brudne ręce, boli mnie w krzyżu, ssie mnie w żołądku, ale od miesięcy nie czułam się bardziej sobą. W tej chwili tylko jedno nie daje mi spokoju: w jaki sposób zapłacić Mehitable za chleb i ser, który sobie przywłaszczyłam. I doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że należy się panu ode mnie honorarium za poradę prawną.

- Nic mi nie jest pani winna. Pani mąż z góry zapłacił za wszystkie kwestie, jakie mogłyby wyniknąć w związku z jego testamentem.

- No i bardzo dobrze.

- Bardzo dobrze? Przypuszczam, że teraz miałby ochotę mnie zabić. Przeze mnie zamieszkała pani tutaj sama, skłócona z zięciem...

- Nie ponosi pan odpowiedzialności za to, co zrobiłam, panie Freeman. Chociaż, skoro tak pan podziwia pana Otisa, sądziłabym, że właśnie pan mnie zrozumie.

- A cóż ma z tym wspólnego pan Otis?

- Czy to nie on powiedział, że każdemu człowiekowi przysługuje prawo do tego, by czuć się w domu tak bezpiecznie, jak ksiązę w swoim zamku?

- Miał na myśli mężczyznę. Kobieta to zupełnie co innego.

- Ten pański Otis głosił, że kobiety powinny mieć takie same prawa, jak mężczyźni.

- Mówił również, że takie same prawa powinni otrzymać Murzyni, a jednak nie zwrócił wolności swojemu służącemu. Rozważania pana Otisa są czysto teoretyczne. Nie może pani...

- Dlaczego nie powie mi pan, co mogę zrobić, panie Freeman? Jeśli już musi pan ciągnąć ten temat, odniosłabym z tego znacznie większą korzyść. Czy zgodnie z prawem wolno mi tutaj mieszkać, czy też nie?

- Owszem, prawo zezwala, by pani tu zamieszkała. Ale jest pani zbyt mądrą kobietą, by nie dostrzegać...

- Że niewiele mi przyjdzie z tego prawa? Owszem, widzę to.

Freeman nachmurzył się, wyraźnie dotknięty.

- Proszę mi wybaczyć, że zakłóciłem pani spokój. Do widzenia.

- Do widzenia - powiedziała Lyddie. Mogłaby coś dodać, żeby ich pożegnanie nie było takie chłodne, ale zdaje się, że wraz z odejściem Edwarda straciła umiejętność łagodzenia niesnasek. Pomyślała, że dobrze chociaż, iż powstrzymała się od ostrzejszego komentarza, póki Freeman nie dosiadł konia i nie odjechał.

*

Lyddie właśnie skończyła jeść bardzo spóźniony obiad, składający się z chleba i sera, kiedy znów usłyszała tętent konia. Wyjrzała, rozpoznała swojego zięcia i postanowiła go powitać, stojąc na progu, by przynajmniej nad nim górować. Zdaje się, że to była słuszna decyzja. Zeskoczył z konia i

kroczył ścieżką jak jeleni wypłoszony z lasu, ale im był bliżej, tym bardziej zwalniał kroku, aż w końcu przystanął w pewnej odległości od niej.

- A więc to prawda.

- Nie wiem, o czym mówisz. Jeśli masz na myśli moją obecność tutaj, to tak.

- I zamierza matka tu zostać.

- Nie widzę powodu, czemu nie miałabym zajmować jednej trzeciej domu, na co mi zezwala prawo.

- Torpedując w ten sposób sprzedaż mojej części? Spodziewa się matka, że będę ją karmił i odziewał, kiedy jednocześnie sama skazuje matka moją rodzinę na niedostatek?

- Nie oczekuję niczego, co...

- W takim razie ma matka rację. Ani ja, ani moja żona nie uważamy cię już za matkę. Od tej pory sama sobie radź.

Odwrócił się i ruszył w stronę swojego konia. Nathan zawsze wybierał długonogie wierzchowce, niewątpliwie mając nadzieję, że w ten sposób wyda się wyższy; ale naturalnie niczego to nie zmieniało: nadal był niskim mężczyzną na rosnącym koniu.

Sama sobie radź. Znaczenie tych słów nie dotarło do Lyddie przez resztę dnia i całą noc. Dopiero rano, kiedy wyszła przed dom i zobaczyła stos drewna opałowego, w pełni je zrozumiała. Z daleka stos wyglądał jak dobrze wygotowane kości kurczaka; podeszła bliżej i stwierdziła, że starczy jej opału do października, o ile nie będzie gotowała ani prała. Minęła oczyszczony z chwastów i świeżo skopany kawałek ziemi i pomyślała: mogę zrobić przynajmniej tyle - uprawiać ogródek. Ale zaraz zadała sobie pytanie: a skąd wezmę nasiona?

Lyddie nie wypowiedziała tego pytania w formie modlitwy. Więc to nie Pan Bóg przysłał do niej Rebeckę Cowett, trzymającą na ramieniu koszyk.

- Mąż mi powiedział, że wróciła pani i zajęła się ogrodem - powiedziała. - Późno pani zaczęła, więc pomyślałam, że trochę pani pomogę.

Skąd Indianin wiedział, że Lyddie wróciła? No tak, oczywiście, dym. Ale skąd wiedział, że pracowała w ogrodzie? Lyddie przypomniała sobie wrony w lasku, które zaczęły krakać bez żadnego oczywistego powodu. Czy przyszedł na przespiegi? Nie, odrzuciła to przypuszczenie. Gdyby Sam Cowett chciał poznać jej zamiary, zjawiłby się i powiedział „A więc wróciła pani”, tak jak to zrobił poprzednim razem.

Rebecca Cowett postawiła kosz na ziemi. Lyddie zajrzała do środka i zobaczyła sadzonki kapusty, małe sadzonki dyni i ogórków, młode krzaczki truskawek i kilka cebul. Bardzo ładnie, ale umrze z głodu, nim będą się nadawały do zebrania.

Na wyboistej drodze rozległ się turkot kół i obie kobiety uniosły wzrok. Zaprzężony w wołu wóz, a w nim chłopiec i dziewczynka. Nate i Bethiah. I kufer Lyddie. Zajechali na podwórze przed domem i wysiedli; dziewczynka zaczęła wyładowywać z wozu stos pościeli, a Nate podszedł do kobiet, trzymając w ręku jakąś kartkę.

- Pani wnuki - powiedziała Rebecca. - Nie będę przeszkadzała. Nate wręczył Lyddie złożoną kartkę. Rozpostarła ją.

Matko!

Odsyłam ci *twoje rzeczy*. Nie wiem, dlaczego *to* zrobiłaś, ale *skoro się na to zdecydowałaś, musisz rozumieć, że nie jesteś już mile widzianym gościem w naszym domu.*

Mehitable

- Wdowo Berry?

Lyddie uniosła wzrok. Rebecca Cowett nie odeszła daleko; wróciła i położyła dłoń na ramieniu Lyddie.

- Czy wszystko w porządku, wdowo Berry?

Nate już stał obok wozu, a Bethiah mocowała się z kufrem, jej zwykle blade policzki nabrały rumieńców, chude jak patyczki ręce dziwnie się wykręciły pod ciężarem skrzyni. Nate ujął kufer za rączkę, a dziewczynka stanęła za nim, by go popychać. Lyddie przeniosła wzrok na Indiankę.

- Tak. Dziękuję. Do widzenia.

Lyddie ruszyła w stronę wozu, Indianka poszła razem z nią. Nate zataczając się, niósł do domu kolejny toból, ale Bethiah została przy wozie, bawiąc się należącym do Lyddie pudełkiem na przybory do szycia. Lyddie podeszła do niej i Bethiah upuściła pudełko. Wysypały się z niego na ziemię szpilki, igły, guziki i tasiemki. Lyddie i Rebecca Cowett pochyliły się, a Bethiah uciekła na sam koniec wozu.

Rebecca Cowett, podnosząc guziki i wkładając je z powrotem do pudełka, zaczęła mówić: jakie ładne guziki, potrzebne jej guziki do męzowskiej kurtki, nigdy nie zrozumie, jak mężczyzna może tak nie dbać o ubranie. Lyddie przez cały czas czuła na sobie spojrzenie Indianki, odnosiła wrażenie, że czarne oczy Rebecki pochłaniają ją niczym trzęsawisko.

Lyddie wzięła pudełko i skierowała się do domu. Nate minął ją bez słowa, kazał Bethiah wsiąść na wóz i odjechali.

*

Lyddie pracowała w ogrodzie do zmroku, sadząc roślinki, które przyniosła jej Rebecca Cowett, obsypując ich łodyżki popiołem, którego miała bardzo mało. Wrony odważyły się wrócić i rozprawiały między sobą o przyszłym obiedzie. Lyddie, pracując, rozmyślała nad listem od Mehitable. *Nie wiem, dlaczego to zrobiłaś, ale skoro się na to zdecydowałaś...* Ale kiedy Lyddie na cokolwiek się zdecydowała? Na co się kiedykolwiek zdecydowała?

Owszem, wybrała Edwarda. Usilnie się do niej zalecał daleki kuzyn z Truro, dwa razy w miesiącu osiem godzin spędzał w siodle, żeby się z nią zobaczyć, ale Edward podszedł do niej raz, kiedy wybierała się na spotkanie, wręczył jej kasztana i powiedział: „Miej go zawsze pod ręką. Dobrze jest położyć go na krześle, by się pozbyć głupich zalotników”.

- Nie mam głupich zalotników - ze złością odparła Lyddie.

- W takim razie sama musisz być głupia, bo on z całą pewnością jest największym głupkiem na świecie. Nie ma za grosz rozumu, nie ma poczucia humoru, nie ma nic poza wystającym podbródkiem. Lubisz wystające podbródki? - I wysunął podbródek. Ta część jego twarzy nie była zbyt okazała, ale przez całe spotkanie, jak tylko Lyddie rzucała mu ukradkowe spojrzenie, Edward Berry wysuwał podbródek.

Więc wybrała Edwarda.

Lyddie otrzepała ubranie z ziemi i weszła do środka. W domu się wychłodziło i z ulgą pomyślała o pościeli, którą przywiozły dzieci. Zjadła trochę chleba, z którego została jej już tylko piętka, napiła się wody, posłała łóżko i się położyła, ale znów nie mogła usnąć, tym razem rozmyślając o wnukach. Ledwo je poznała, a teraz obawiała się, że już ich lepiej nie pozna. Może zobaczy je w domu modlitwy albo na drodze, będzie obserwowała z daleka, jak Bethiah zzerają suchoty, a Nate wyjeżdża studiować do Harvardu; Jane z każdym dniem będzie piękniała, aż wyjdzie za mąż, urodzi własne dzieci i jej uroda zwiędnie równie szybko, jak rozkwitła. A Mehitable? Mehitable też będzie rodziła i naturalnie traciła swoje dzieci, nie wiadomo ile, póki śmierć jej nie zabierze. Lyddie ścisnęło się serce, kiedy sobie wyobraziła Mehitable w połogu. W końcu tak ją to zmęczyło, że się zdrzemnęła. Zasypiała i się budziła, i tak do samego świtu, ale wraz z nadejściem dnia zaczęła myśleć rozsądniej. Musi mieć co jeść; to po pierwsze. I musi oddać Rebecce Cowett kosz z należytymi podziękowaniami. Zastanawiając się nad tym, doszła do wniosku, że może uda jej się załatwić obie sprawy podczas jednej wizyty.

*

Drzewa rosnące wokół domu indiańskiego małżeństwa wypuściły liście i w środku zrobiło się mrocznie; Rebecca Cowett zaplotła włosy w długi, lśniący warkocz spływający jej na plecy; ale Lyddie opuściło poprzednie wrażenie, że ich dom niczym się nie różni od domów Anglików, i czuła skrępowanie - Rebecca Cowett musiała namawiać ją do wejścia, by móc zamknąć drzwi do izby. Zaprowadziła Lyddie do stołu, usiadła na najbliższym krześle, a Lyddie wskazała drugie. Lyddie już sobie

postanowiła, że ucieknie stąd możliwie najszybciej; postawiła kosz na stole, ale nie usiadła.

- Przyszłam, żeby oddać pani kosz - powiedziała - i podziękować.

Wczoraj zachowałam się niegrzecznie, tak pospiesznie się z panią żegnając. Postąpiła pani bardzo szlachetnie, pani Cowett.

Rebecca Cowett spuściła głowę, ale milczała, obserwując Lyddie tak, jak ją obserwował jej mąż. Co ci ludzie mają nadzieję dojrzeć, wpatrując się tak uporczywie, zastanawiała się Lyddie. Jaki kolor ma jej skóra od wewnątrz? Lyddie sięgnęła ręką do kieszeni i wyjęła z niej guziki, którymi Rebecca Cowett tak się wczoraj zachwycała.

- Potrzebne są pani guziki do kurtki męża, a mnie nie - stwierdziła. - Potrzebuję natomiast mąki, i masła, i drożdży, i... - Urwała. Za tuzin guzików zapłaciła pięć szylingów, ale zostało ich już tylko osiem. Mogła za nie poprosić o buszel mąki kukurydzianej, funt masła i drożdże, ale o nic więcej.

Indianka wyciągnęła rękę i dotknęła guzików.

- Czy mogę spytać... poróżniła się pani ze swoją rodziną, wdowo Berry?

Nie, nie możesz spytać. Skąpe światło padało zza pleców Rebecki, więc jej skóra wydawała się jeszcze ciemniejsza. W tym domu nie pachniało tak jak w domach Anglików. Lyddie przypomniała sobie pokój Ebena Freemana. Jego zapach był znajomy i pokrzepiający, natomiast ten, chociaż też był mieszaniną zapachu tytoniu i potu... Lecz innego potu, i czegoś jakby sasa-frasu, ale nie sasafrasu... Musi natychmiast stąd wyjść, lecz jak to zrobić? Zmyślenie czegoś zajmie zbyt dużo czasu, szczególnie, że nie miała w tym wprawy; uznała zatem, że najlepiej powiedzieć prawdę.

- Opuściłam dom zięcia bez jego wyraźnego pozwolenia -
oświadczyła.

- Rozumiem. I to go rozgniewało?

- Tak.

Kobieta wstała, nie pytając o nic więcej, i zaczęła krążyć po kuchni, spiżarni i piwnicy. Przyniosła prawie cały buszel mąki kukurydzianej, funt masła, woreczek, w którym - jak się później okazało - było pół tuzina suszonych śledzi, i kilka uncji drożdży, zeskrobanych z dna baryłki na piwo. Włożyła to wszystko do kosza, który Lyddie dopiero co zwróciła, postawiła go obok worka z mąką i ciężko usiadła na krześle.

- Dziękuję - powiedziała Lyddie. - Jestem wielce zobowiązana. Do widzenia.

Wzięła kosz i worek. Akurat kiedy znalazła się obok drzwi, otworzyły się gwałtownie. Odskokczyła i ledwo uniknęła zderzenia z Samem Cowettem.

- Miłego dnia, panie Cowett. Właśnie się pożegnałam z pańską żoną, której złożyłam wizytę. Wymieniłyśmy się produktami i już wychodzę. Miłego dnia.

- Miłego dnia. Chyba że jeszcze pani mało?

- Słucham?

- Jeszcze pani mało „miłego dnia”. Dwa razy je pani powiedziała.

- Proszę zachować drugie na później. Miłego dnia.

Uniósł brew i Lyddie się zapłoniła. Wyszła i ruszyła drogą najszybciej, jak jej pozwalał ciężki kosz, nasłuchując śmiechu za plecami, niepewna, czy w ogóle się rozległ.

Kiedy znalazła się u siebie, rozpałała ogień w piecu i wyrobiła ciasto. Nim wyrosło, płomień przygasł i pozostał jedynie jaskrawo pomarańczowy żar w palenisku; Lyddie wyciągnęła rękę, ale ledwo

doliczyła do dziesięciu, musiała cofnąć dłoń: można wsadzać chleb. Wygarnęła żar z pieca, posypała palenisko mąką i wsunęła bochenki do środka. Zwykle po upieczeniu chleba wsadziłyby do pieca pudding, potem paszteciki, następnie placek i krem budyniowy, bo każda z tych potraw wymagała coraz niższej temperatury; na koniec wsadziłyby na całą noc fasolę. Miałyby zapas wypieków na tydzień. Tym razem musiała poprzestać na dwóch bochenkach chleba. Lyddie nie chciała myśleć, co będzie w następnym tygodniu i później.

16

Herbata i ser się skończyły, Lyddie napoczęła drugi bochenek chleba. Wyjrzała przez okno i zobaczyła kuzynkę Betsey. Szeroko otworzyła drzwi i

Betsey wpadła prosto w jej ramiona. Ku swemu zdumieniu Lyddie zauważyła, że obejmuje swoją kuzynkę serdeczniej, niż to miała w zwyczaju.

- Lyddie! - wykrzyknęła Betsey. - Nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę! Twoja córka nie ma pojęcia, jak sobie radzisz, ale nie ma też ochoty tu przyjść, by się tego dowiedzieć. Powiedziałam: cóż, jeśli nikt nie chce się pofatygować, ja pójdę i zobaczę, co jej dolega.

- Czemu miałyby mi coś dolegać?

- Jak to? Nie przyszłaś do domu modlitwy, więc...

- Dziś jest niedziela?

- Boże, dopomóż mi! Myślałam, że nie żyjesz, a tobie potrzebny jest jedynie kalendarz. - Opadła na krzesło. - Czy mogę prosić o filiżankę herbaty?

- Możesz, ale i tak na nic się to nie zda. Mam jedynie wodę ze studni, chleb i masło.

Betsey uniosła wysoko brwi.

- A więc to prawda. Odprawił cię z kwitkiem.

- Nie odprawił mnie. Sama się wyprowadziłam.

- Czy łoży na twoje utrzymanie?

- Nie.

- Czyli na moje wychodzi. Musisz wrócić do zięcia, kuzynko.

I to natychmiast.

Lyddie wstała.

- Chcesz tej wody? Kromki chleba? A może masz ochotę na suszonego śledzia?

- Suszonego śledzia! Zamierzasz żyć jak Indianie? Czy też specjalnie mi to mówisz w nadziei, że zaopatrzę twoją spiżarnię? Teraz, kiedy Shubael

jest w Kanadzie, a ja od ust sobie odejmuję na wypadek, gdyby jego powrót się opóźnił, albo, nie daj Boże, spotkała go śmierć? Na wszystkim oszczędzam. Przyznaję, że z chęcią bym cię przyjęła pod swój dach, ale tylko gdybyś mogła łożyć na swoje utrzymanie. Bo nie stać mnie, by cię żywić za darmo. Może gdybyś poprosiła swojego zięcia...

- Nie proszę cię, żebyś mnie żywiła albo gościła w swoim domu.

Zamieszkałam tutaj, bo tego chciałam. Poradzę sobie.

- Jak?

Ponieważ Lyddie nie miała na to odpowiedzi, nic nie odrzekła.

- Och, znam cię, kuzynko. Znam cię lepiej niż inni. Mówili, że przesadzam, ale już dawno dostrzegłam twój upór. I dumę. Duma to luksus, na jaki żadna kobieta nie może sobie pozwolić. Musisz udać się do zięcia i poprosić, by ci wybaczył twoje niestosowne zachowanie. Powiedz mu, że zamieszkaż u mnie. Prawdę mówiąc, mój brat tak rzadko teraz przyjeżdża, że pod nieobecność Shubaela brak mi towarzystwa. Jestem prawie pewna, że jeśli poprosisz zięcia, zgodzi się łożyć na twoje utrzymanie, kiedy zamieszkaż u mnie, tak samo, jakby to robił, gdybyś przebywała pod jego dachem. Mój brat płaci pięćdziesiąt funtów rocznie za ciotkę Goss...

- Od mojego zięcia nie dostaniesz nawet pięćdziesięciu szylingów.

- Pięćdziesięciu szylingów? Za pięćdziesiąt szylingów nie wykarmię prosiaka! Co ty sobie wyobrażasz?

- Niczego sobie nie wyobrażam, kuzynko Betsey. Możesz być spokojna. Dziękuję, że mnie odwiedziłaś. I proszę, powiedz mojej córce, że nic mi nie dolega.

- Czy się pomodlimy, zanim wyjdę? Bo nie przyszłaś dziś na nabożeństwo...

- Sama się pomodlę. Do widzenia, kuzynko.

Podpuchnięte oczy kuzynki zrobiły się okrągłe. Betsy najwyraźniej wątpiła, że Lyddie sama się pomodli, ale prawdę mówiąc, jak tylko Betsey wyszła, Lyddie ogarnęły wyrzuty sumienia, kiedy dotarło do niej, jakiego dopuściła się wykroczenia. Padła na kolana i próbowała przeprosić Boga za to, że nie uczciła Dnia Pańskiego, ale kiedy szukała odpowiednio pokornych słów, poczuła coś silniejszego niż wyrzuty sumienia, co zrodziło się w jej trzewiach, potem ogarnęło całe ciało, aż pozbawiło sil wszystkie jej członki.

Lyddie była głodna.

Podniosła się z klęczek i poszła do spiżarni. Odwinęła płótno, w którym były śledzie. Został ostatni. Wzięła go i zaczęła żuć bez apetytu, ale po kilku minutach niemiłe uczucie w żołądku minęło. Odwinęła chleb i zaczęła kalkulować. Jeśli będzie piekła dwa bochenki na tydzień... Ponownie zawinęła chleb. Kuzynka naturalnie miała rację. Lyddie nie pozostawało nic innego, jak iść do zięcia i poprosić go o wybaczenie z nadzieją, że lepiej jej to wyjdzie niż niedawna próba pojednania z Panem Bogiem. Lyddie z niesmakiem spojrzała na resztę suszonego śledzia. Dlaczego, zastanawiała się, ludziom o ciemniejszej skórze tak to smakuje? A może nie? Ale jaki wybór ma niewolnik? A jeśli chodzi o Indian, niewątpliwie jedli ryby dlatego, że było ich dużo i ich zdobycie nie nastęrczało trudności. Bo wolą jeść, niż głodować. Tak samo jak Lyddie woli jeść, niż głodować. I woli jeść śledzie, niż prosić o wybaczenie.

*

Lyddie przeszła na drugą stronę drogi i przedarła się przez gęste zarośla nad młyński potok. Ten odcinek nie był taki ciemny od ryb, jak nieco bardziej w górze, gdzie było ich więcej. Ale po jakimś czasie pojawiły się trzy czy cztery cienie jednocześnie. Lyddie podkasała spódnice i ściskając w ręku siatkę, uklękła nad jedną ze spokojnych zatoczek na

brzegu strumienia. Za pierwszym razem wyłowila jedynie wodorosty, podobnie jak za drugim i trzecim, i kolejnymi, aż przestała liczyć. Usiadła, żeby odpocząć, i przyglądała się strumieniowi. W osłoniętej zatoczce, w której próbowała łapać ryby, śledzie cały czas krążyły bądź płynęły zygzakiem, ale pośrodku strumienia prąd był tak silny, że ryby niemal stały w miejscu. Lyddie weszła na kamień, sterczący z wody, zaczęła na odpowiednią chwilę i zanurzyła ręce. Złapała rybę, wyciągnęła ją, ale ryba szarpnęła się gwałtownie i wyslizgnęła, po czym wleciała prosto do strumienia. Druga uciekła Lyddie, gdy ją wsadzała do worka; trzecią upuściła na spódnicę, tak długo ją przytrzymywała, aż ryba przestała się szamotać, i dopiero wtedy wrzuciła ją do worka. Złapała jeszcze dwie ryby, po czym mokra i wyczerpana usiadła na brzegu.

A więc potrafi łapać ryby. Latem będzie miała w swoim ogrodzie kapustę, a jesienią zerwie jabłka w sadzie i śliwki, które wyrosną na karłowatych krzakach za domem. Na zimę przygotowuje zapas suszonej dyni i fasoli. Lyddie siedziała w lesie, po raz pierwszy rozmyślając nie nad tym, co Pan Bóg odbiera, ale co daje; już miała zacząć się modlić, gdy nagle dotarło do niej, że teraz ma na swoim sumieniu więcej grzechów niż rano: łowiła ryby w niedzielę.

17

Ryby skurczyły się podczas pieczenia i smakowały jak brudne skarpety Edwarda. Jeśli nie chce jeść tego, co prawdziwi biedacy, czyli małży i homarów, musi coś sprzedać. Lyddie chodziła z pokoju do pokoju, starając się wybrać rzeczy, bez których mogłaby się obyć. Choć Mehitable skrupulatnie zwróciła jej pościel i ubrania, nie oddała naczyń

cynowych ani lustra, więc zostały jej tylko stolik i świecznik. Prawie się zdecydowała sprzedać stolik, kiedy usłyszała walenie do drzwi.

- Wdowo Berry!

Otworzyła drzwi i zobaczyła na progu Indianina. Wszystkie mięśnie miał napięte, był już na poły odwrócony, by biec dalej.

- Dostała ataku. Idę po lekarza. Czy może pani przyjść? Lyddie stała bez ruchu przez całą sekundę.

- Proszę iść do niej! - krzyknął.

Lyddie złapała jakieś czyste lniane ściereczki i wyszła. Zanim dotarła do drogi, Indianin już zniknął jej z oczu.

Zastukała w drzwi Cowettów i weszła, nie czekając na odpowiedź. W powietrzu unosił się lekki dym, dom pogrążony był w popołudniowym mroku, a to, co się działo w małej izdebce dla chorych, sąsiadującej z kuchnią, wydawało się na poły nierealne. Kobieta leżała na łóżku, dygocząc, z wywróconymi oczami, z zaciśniętymi zębami, z napiętymi mięśniami. Prześcieradło, które ją przykrywało, było oślizgłe od wymiocin. Lyddie zsunęła prześcieradło i dotknęła dłonią czoła kobiety. Było rozpalone. Poszła po zimną wodę ze studni, zmoczyła ściereczkę i zaczęła wycierać skórę kobiety.

Stopniowo drgawki ustały. Rebecca Cowett przestała zaciskać usta, ale nadal leżała sztywna, z zamkniętymi oczami.

- Pani Cowett?

Jęknęła. Oddychała tak płytko, że jej piersi ledwo się unosiły i opadały. Lyddie znalazła kubek, przytrzymała głowę Rebecki i pomogła kobiecie się napić. Potem znowu ją położyła. Indianka jęczała przy każdym ruchu. Lyddie poszła do kuchni i zaczęła szukać na półkach brandy, ale nie znalazła żadnego alkoholu. Czyżby Indianin wszystko wypił? Albo, nie

chcąc wystawiać się na pokusę, dobrze ukrył alkohol? Lyddie pociągnęła nosem. Coś się gotowało, coś tłustego, aromatycznego i smakowitego. Zajrzała do garnka. Potrawka. Z wielkimi kawałkami ciemnego mięsa, fasolą, ziemniakami, cebulą i marchewką. Lyddie wróciła do izdebki i siedziała przy łóżku chorej, póki nie wrócił Sam Cowett z doktorem Fesseyem.

Indianin podszedł do łóżka i uklęknął.

- Beck - powiedział. - Beck.

Rebecca uniosła na chwilę powieki, a potem je znów zacisnęła, jakby poczuła ból. Doktor Fessey wszedł do izdebki. Z marnym skutkiem leczył wszystkie dzieci Lyddie, więc już od dawna darzyła go mieszanymi uczuciami. Teraz, widząc, z jaką powagą pomarszczony lekarz skinął jej siwą głową, zrobiło jej się głupio, że go tak krytycznie oceniała. Wstała i ustąpiła mu miejsca. Postawił torbę na podłodze i usiadł. Odkrył pacjentkę i osłuchał jej serce i płuca, zajrzał do gardła i uszu, pomacał szyję i brzuch. Przy każdym dotknięciu Rebecca jęczała, ale nie otwierała oczu.

Usiadł prosto i spojrzał najpierw na Lyddie, a potem na Indianina.

- Od jak dawna źle się czuje?

- Od kilku dni.

- Na co się skarżyła?

- Na ból głowy. Okropny ból głowy. Przeszkadzało jej światło i hałas. Bolał ją kark. Nie chciała jeść. Dziś wymiotowała. A potem dostała ataku.

Fessey skinął głową.

- Panie Cowett, pańska żona ma zapalenie opon mózgowych. Nie wolno jej nic robić, musi odpoczywać. Trzeba jej zapewnić spokój i troskliwą opiekę. Powinien pan posłać po kogoś.

- Sam się nią zaopiekuję.

Lekarz spojrział sceptycznie na Lyddie.

- Cóż, dobrze. Zostawię trochę laudanum na ból głowy. Dwadzieścia kropli na uncję brandy, nie więcej. Może pan co trzy godziny spróbować ją poić herbatką z kocimiętki i przykładać kataplazmy z cebuli na stopy, by wyciągnąć gorączkę. Wolno jej jeść tylko pokarmy płynne. Rozumie pan?

Indianin spojrział na niego. Lekarz spojrział na Lyddie. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małą buteleczkę.

- Tylko dwadzieścia kropli. Zapamięta pan? Indianin nie odpowiedział. Lekarz nachylił się do Lyddie.

- Dobrze, że pani przyszła. Zanim pani wróci do siebie, proszę przygotować kataplazmy. - Wstał. - Zajrzę jutro. Do widzenia, panie Cowett. Do widzenia, wdowo Berry.

Jak tylko lekarz wyszedł, Sam Cowett oświadczył:

- Nie mam brandy.

- Ja też nie - powiedziała Lyddie. - Popilnuję pańskiej żony, a pan niech pójdzie po brandy.

- Ja z nią zostanę. - Podeszedł do półki, wziął z niej puszkę, wyjął kilka monet i wręczył Lyddie. Gałgankiem zmoczonym przez Lyddie zaczął obmywać ciało żony z taką czułością, że Lyddie aż się zaczerwieniła. Pospiesznie wyszła. Na podwórzu przeliczyła monety. Trzy szylingi. Od dawna nie miała w ręku takiej sumy pieniędzy.

Do sklepu Searsa było z półtora kilometra. Lyddie przebyła tę odległość tak szybko, jakby jechała na koniu. Weszła do sklepu. Caleb Sears uniósł wzrok, spuścił, znów uniósł. Po chwili powiedział:

- Dobry wieczór, wdowo Berry.

- Dobry wieczór - odparła Lyddie. - Poproszę kwaterkę brandy.

Sears się nie poruszył

- Czy nastęcza to jakieś trudności? - spytała Lyddie.

Sears chrząknął.

- Nie. Tak. Jest pewien problem natury finansowej. Pani zięć...

Lyddie sięgnęła do kieszeni i rzuciła monety na ladę.

- Jeśli mój zięć nie jest w stanie regulować swoich należności, chętnie mu pomogę.

- Nie, nie, wdowo Berry - gwałtownie zaprzeczył Sears. - Chciałem tylko powiedzieć... Absolutnie nie ma potrzeby... Powiedziała pani: pół kwaterki?

- Powiedziałam: kwaterkę.

Wyszedł pośpiesznie i wrócił z dwiema butelkami. Wziął jedną monetę z lady, a pozostałe odsunął.

*

Po powrocie Lyddie zobaczyła zamiast brudnego prześcieradła czyste, Cowett siedział z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i patrzył na swoją żonę.

- Boli ją. - Wskazywał głowę żony. - Kiedy ją dotykam, wzdraga się.

- Może najlepiej zostawić ją samą. - Lyddie wzięła kubek, wlała do niego nieco brandy, odmierzyła kropelki, podeszła do łóżka chorej i dała znak Indianinowi, by uniósł głowę żony.

Rebecca otworzyła oczy i przez pół sekundy spoglądała na Lyddie, nim znów je zamknęła.

- Masz, Beck, napij się - powiedział Cowett. Wypiła i Cowett znów ją położył.

Lyddie poszła do kuchni i wyciągnęła rzadkie płótno oraz miseczkę. Chochelką nabrała nieco potrawki i precedziła ją do miseczki, starając się nie zwracać uwagi na smakowity zapach jedzenia. Wróciła do izdebki,

podala Indianinowi miseczkę, ale kiedy chciał ją od niej wziąć, ręka mu zadrżała.

- Panie Cowett - zwróciła się Lyddie do Indianina - proszę mi pozwolić nakarmić pańską żonę, a pan niech idzie do kuchni i sam też zje trochę potrawy.

Ku zaskoczeniu Lyddie, posłuchał jej. Odnosiła wrażenie, że długo go nie było, ale kiedy wrócił, ręce mu już nie drżały. Wstała i wyjęła z kieszeni resztę. Indianin wskazał palcem monety.

- To dla pani.

- Nie.

- To nawet mniej, niż się należy za pół dnia opieki nad chorą.

- Nie, nie mogę przyjąć tych pieniędzy.

- Wstydzi się pani?

- Nie stać mnie na wstyd, panie Cowett. Ale dziś jedynie odpłaciłam się pańskiej żonie za jej dobroć.

Spojrzał na nią.

- A więc to prawda? Clarke zostawił panią własnemu losowi? Lyddie nie odpowiedziała. Wyszła z izdebki, zeszła do piwnicy

Cowettów i wyniosła z niej resztę zimowych zapasów cebuli. Pokroiła cebule, włożyła do dwóch ściereczek przyniesionych z domu i przyłożyła je do stóp chorej. Sam Cowett ani na chwilę nie odrywał wzroku od twarzy żony, albo od łóżka, albo od podłogi, albo od tego, w co się wpatrywał z takim natężeniem.

Rankiem Lyddie stwierdziła, że stan Rebecki Cowett niewiele się poprawił. Ale jej mąż bardzo się zmienił: oczy mu się zapadły, twarz miał pobrużdżoną, włosy w nieładzie, płócienna koszula była poplamiona wymiocinami żony, a może bulionem albo brandy, albo wszystkim po

trochu. Kiedy Lyddie podeszła do łóżka Rebecki, wstał i wpatrywał się w jej twarz, jakby chciał z niej wyczytać, jak się czuje jego żona.

- Zauważył pan jakieś zmiany? - spytała.

- Miała drugi atak. Słabszy. - Wskazał laudanum.

- Mówi coś?

- Mamrocze. Jęczy. Nic nie widzi, patrzy na mnie jak na powietrze.

Lyddie dotknęła ręką czoła Rebecki i odniosła wrażenie, że jest chłodniejsze. Pomacała prześcieradło. Wilgotne.

- Trochę wypociła gorączkę. Jeśli ma pan świeżą pościel, zmienię pościel.

Cowett wskazał komodę w drugim pokoju. Lyddie otworzyła jedną z sześciu szuflad i znalazła tylko jedną zmianę; trzeba będzie zrobić pranie. Lyddie zastanawiała się, czy można byłoby zwrócić się do jakiejś Indianki z wioski o pomoc. Wprawdzie rzadko widywała Cowettów, ale nigdy nie zauważyła, by zadawali się z innymi Indianami. Przypomniała sobie też, jak oświadczył lekarzowi: „Ja się nią zajmę”.

Lyddie znów spojrzała na Sama Cowetta i doszła do wniosku, że mężczyzna długo tak nie pociągnie.

- Najlepiej będzie, jak się pan trochę zdrzemnie, a ja posiedzę przy pańskiej żonie - powiedziała Lyddie. - Nie może pan sobie teraz pozwolić na chorobę.

- A pani nie może sobie pozwolić na kolejny dzień pomagania za darmo. Jeśli pani zostanie, musi pani przyjąć zapłatę.

Lyddie się zawahała.

- Zjem obiad.

Spojrzał na nią i skinął głową. Po minucie zapytał:

- Czy ona umrze?

- Najlepiej zapytać o to doktora Fessey'a.
- Pytam panią.
- Nie wiem.
- Ale może umrzeć?
- Jest bardzo chora. Wstał i podszedł do drzwi.
- Gdyby mnie wołała...
- Obudzę pana. Wyszedł z izdebki.

Lyddie czekała, aż doszedł ją odgłos rozciągających się lin w łóżku i głuchy stuk butów rzuconych na podłogę. Dopiero wtedy wstała i poszła do kuchni.

Potrąka.

18

Lekarz przyszedł w południe i razem z Samem Cowettem pojawili się w izdebce chorej.

- Wdowa Berry! - powiedział doktor Fessey, jakby zaskoczony, że kobieta wciąż tu jest. Spojrzał na pacjentkę, pomacał jej szyję, zmierzył puls. Podniósł jedną powiekę chorej.

- Non compos mentis, prawda?

Lyddie spojrzała ukradkiem na Cowetta; twarz mu pociemniała, rzucił lekarzowi gniewne spojrzenie.

- Wątpię, czy jest przytomna - powiedziała pospiesznie Lyddie. - Nic nie mówi, nie rusza się. Kiedy ją dotknąć, wzdraga się. Ale już nie ma ataków ani torsji. Dostaje krople.

Lekarz spojrzał z ukosa na Lyddie.

- Widzę, że jest pani dobrze zorientowana w sytuacji.

- Pan Cowett zatrudnił mnie do opieki nad żoną. Lekarz odwrócił się do Indianina.

- Mogę powiedzieć, że pańska żona jest w dobrych rękach, panie Cowett. Ma pan szczęście. No cóż, wszystko jest tak, jak można się było spodziewać...

- Czy ona umrze? - przerwał mu Cowett.

Lekarz przez kilka chwil bębnił palcami w ramę łóżka, potem wsunął dłonie między guziki kamizelki.

- Cóż, mój zacny człowieku, muszę powiedzieć: tak, chyba umrze. Przykro mi to mówić, ale skoro pan zapytał, czuję, że moim obowiązkiem jest panu odpowiedzieć. Nie można jej pomóc w żaden inny sposób niż tak, jak to robi wdowa Berry. Ale jeszcze nie stawiałbym na niej krzyżyka. Musi pan wiedzieć, że w takich przypadkach często spotykają nas miłe niespodzianki. Ciało pilnie strzeże swoich tajemnic. Opadła gorączka. Powiedziałbym, że to dobry znak. Ale pańska żona znajduje się w stanie, który można nazwać majaczeniem w śpiączce. To nie rokuje pomyślnie. Jednakowoż...

- Jak długo?

Lekarz pochylił się, ujął rękę Rebecki i ją puścił. Chora zacisnęła powieki i się skrzywiła.

- Widzi pan? Wciąż reaguje na ból. Jest nadzieja...

- Jak długo?

- Tydzień. Może dwa. Nic nie możemy zrobić poza tym, co już wcześniej zaleciłem. Proszę po mnie posłać, jeśli będę potrzebny.

Ponieważ Sam Cowett milczał, Lyddie się odezwała:

- Dobrze. Dziękujemy.

Lekarz dał znak Lyddie. Odprowadziła go do drzwi. Nachylił się do niej i szepnął:

- Proszę na siebie uważać, wdowo Berry. Nie ma ani odrobiny nadziei, że biedaczka wyzdrowieje, a kiedy umrze, trudno przewidzieć, co zrobi jej mąż. O ile się orientuję, naraziła się pani na gniew swojego zięcia, ale jeśli mogę coś radzić, biorąc pod uwagę naszą wieloletnią znajomość...

- Będę na siebie uważała - przerwała mu Lyddie. - Dziękuję. Wróciła do izdebki. Sam Cowett siedział i wpatrywał się w swoją żonę.

- A więc tydzień albo dwa.

- Tak.

- Muszę uszczelnić i wysmołować łódź. Ostatni sezon połowów wielorybów był ciężki.

- To czemu się pan nie bierze do roboty? Już powiedziałam, że mogę czuwać przy chorej.

- Za zapłatą.

- Tak, za zapłatą. Nie wracajmy do tego. Zapewniam pana, że skończyłam z filantropią.

Zrobił minę, która - Lyddie sama nie wiedziała, dlaczego - przywiodła jej na myśl Ebena Freemana.

Ustalili, że dostanie wyżywienie i dwa szylingi dziennie albo równowartość w produktach.

Lyddie chciałyby móc powiedzieć, że przejmuje się stanem Rebecki Cowett i że to zaprzęta jej umysł, ale jednocześnie nie mogła przestać

myśleć o jedzeniu. Oprócz potrawki znalazła resztki pieroga z indykiem i słodkiej leguminy, i mleko, suszone ryby i mięso, i suszoną dynię, i pikle, i sos jabłkowy, i smaczny, pożywny chleb żytni, i osełkę masła, i cały ser, i kbiałkę jaj, i herbatę, świeżą, czarną herbatę, i puszkę ciasteczek korzennych. Indianin przed wyjściem zjadł pieróg z indykiem, ale Lyddie nałożyła sobie potrawki, wybierając z niej tłuste kawałki mięsa i warzywa, a wywar zostawiając dla Rebecki. Posmarowała masłem grubą pajdę ciemnego chleba, zaparzyła sobie mocnej herbaty, do tego zjadła ciasteczka korzenne polane sosem jabłkowym, i uznała, że została suto wynagrodzona za opiekę nad chorą tego dnia, a także następnego.

Indianina nie było przez trzy godziny. Wrócił po południu, ale stan jego żony nie uległ zmianie. Cowett nie poszedł ponownie na brzeg. Nie położył się spać. Zapłacił Lyddie za czuwanie nad żoną funtem sera, funtem masła i pół tuzinem jaj.

19

Następnego dnia Indianin znów wyruszył do pracy nad brzeg morza, chociaż padał ulewny deszcz. Po powrocie do domu przebrał się w suche ubranie i zaraz przyszedł do chorej żony. Ponieważ Lyddie musiała mu jeszcze zdać relację z całego dnia, a była już pora kolacji, postawiła talerz z chlebem, masłem i serem i czekała. Początkowo z izdebki nie dochodziły żadne odgłosy, ale niebawem usłyszała głęboki, niski głos Cowetta. Tak pieszczotliwie zwracał się do żony, że Lyddie aż poczuła się zażenowana.

- Beck? Beck. Obudź się. Cisza.

Pojawił się w kuchni i spojrzał na talerz.

- Nie było mowy o tym, żeby mi pani podawała jedzenie.

- Proszę się nie martwić, nie każę sobie za to dodatkowo zapłacić.

- Właśnie martwi mnie to, że mi pani za to nie policzy.

- W takim razie dobrze, proszę to uwzględnić i dać mi za opiekę nad chorą i podanie kolacji uncję herbaty.

Wstał, nasypał na serwetkę dwie uncje herbaty i podał jej przez stół.

- Proszę odstawić talerz i powiedzieć mi, jak się dziś czuła.

- Przykro mi, panie Cowett, ale nie dostrzegłam żadnej zmiany w jej stanie. Wciąż przelyka. Najgorsze, co można powiedzieć...

- Najgorsze. Przecież nie powiedziała pani, co najlepsze. Bo to, co najlepsze, jest zarazem najgorszym. Leży tam i cierpi...

- Ale przelyka. Pije krople. Zostało już mało brandy, więc jeśli chce pan, żebyśmy czuwała przy chorej, kiedy pan pójdzie do sklepu...

- Nie. - Wstał i wyjął kilka monet z puszkki na pieniądze. - Niech pani pójdzie.

Lyddie poczuła się dotknięta. Nie jest jego służącą ani dziewczyną na posyłki.

- Niech pani pójdzie - powtórzył i tym razem usłyszała w jego głosie obawę, co mógłby zrobić, gdyby dostała się w jego ręce butelka brandy.

Lyddie wzięła monety. Sam Cowett wrócił do izdebki i usiadł przy łóżku chorej. Lyddie widziała jedynie jego barczyste plecy i słyszała, jak w kółko powtarza: Beck. Beck. Beck. Coraz głośniej.

Wyszła.

Wciąż padał deszcz, ale Lyddie nawet była z tego rada. Też czuła się, jakby miała gorączkę, jej skóra była napięta i gorąca, nie mogła zebrać myśli. Czy będzie tak siedział przez całą noc i powtarzał imię żony? - zastanawiała się. Gdyby to Edward leżał chory, co by zrobiła? To samo, pomyślała. Raz, kiedy Edward wypłynął podczas sztormu, stała w

ciemnościach na brzegu i wykrzykiwała jego imię, aż usłyszała własne głupie słowa, zawrócone przez wiatr. Była zaskoczona, ile pretensji brzmiało w jej głosie. Jakby Edward mógł przewidzieć pogodę albo wysłać wiadomość do niej, albo zapewnić im równie dostatnie życie, pracując na łodzi. Kiedy Edward w końcu wrócił do domu, przemarznięty i przemoczony, pilnowała się, żeby go nie dotknąć. Tamtej nocy, kiedy setny raz próbowała się wygodnie ułożyć w łóżku, Edward położył jej na ramieniu ciężką rękę.

- Moja droga - powiedział - podczas mojej nieobecności zajmujesz się wszystkim, domem i dzieckiem, i moimi sprawami, ale kiedy wracam, znów możesz tym obarczyć mnie. Pozwól, że ja się będę rzucał i wiercił, a ty śpij.

- To niemożliwe. Nie możesz tak nagle wziąć latarnię, a mnie zgasić jak świecę.

Edward wsparł się na łokciu.

- O co ci chodzi?

- Musiałam kupić nową krowę, bo nasza się pochorowała. Nie starczy pieniędzy na zapłacenie podatku.

- Zapłacę podatek z tego, co zarobiłem na tranie.

- A co by było, gdybyś nie wrócił z tranem? Co by było, gdybyś w ogóle nie wrócił?

- Shubael wie, co ma zrobić w takiej sytuacji.

- A czy ja również nie powinnam tego wiedzieć?

- Dlaczego zaprzątasz sobie głowę rozmyślaniami o takich sprawach?

- A jak sądzisz? Muszę się przygotowywać na twoje wyjazdy z domu, potem przygotowywać się na wypadek, gdybyś nie wrócił, a kiedy wracasz, muszę to wszystko odsunąć na bok i...

- Ach! Teraz wszystko rozumiem. Wolałabyś, żebym nie wracał.

- Nie - powiedziała Lyddie. - Ale może trochę mniej bym się martwiła o twój podatek, gdybym wiedziała, jakie instrukcje zostawiłeś Shubaelowi.

- Cóż, chyba tak. Rzeczywiście widzę teraz, że tak będzie lepiej. Ale uwierz, nigdy mi nie przeszło przez myśl, że siedzisz tutaj i martwisz się moim podatkiem... No cóż, moja droga, skoro się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. Od tej pory razem będziemy się martwić. A więc w razie, gdybym nie wrócił, co może się zdarzyć tylko wtedy, jeśli łódź, którą pływam, też nie wróci, Shubael będzie łożył na twoje utrzymanie z mojego udziału w jego słupie.

- W słupie Shubaela!

- Jeśli ja i moja łódź zatoną, co ci przyjdzie z udziałów w niej? Dlatego wykupiłem dodatkowo udziały w słupie Shubaela. Odziedziczy je po mojej śmierci i będzie mógł je odsprzedać, by mieć na utrzymanie twoje, naszej córki i kolejnych dzieci, które do tego czasu spłodzę. A skoro już o tym mowa, jeśli zamierzasz jeszcze się wiercić i rzucać na łóżku, może zrobimy to razem?

Tamtej nocy poczęli dziecko, a może następnej lub kolejnej, a potem Edward wyjechał, a dziecko urodziło się martwe. Lyddie jeszcze trzy razy poroniła i straciła jeszcze trójkę dzieci. Została im tylko Mehitable. Tamtego dnia, kiedy Lyddie wyszła podczas sztormu na brzeg, trzymała malutką Mehitable w ramionach. I chociaż dobrze opatuliła córeczkę, i tak włoski jej pociemniały od deszczu, a policzki zrobiły się czerwone z zimna. Przez brak rozwagi Lyddie malutka Mehitable mogła się pochorować. Ale nic się jej nie stało, dorosła i poślubiła mężczyznę, który wygrzewał się przy kominku i pozwalał, by inni wyżyli za niego w morze. Niewątpliwie gdyby któryś z synów Lyddie dorósł, razem z ojcem wyżywałby w morze, więc dobrze

przynajmniej, że los oszczędził Lyddie cierpień Rebecki Cowett, której syn spadł z olinowania w Hatteras.

Lyddie dotarła do sklepu, bez przeszkód kupiła brandy, odniosła ją Cowettowi, który nadal siedział przy żonie, ale już milczał, wzięła swoją herbatę i poszła do siebie. Koło domu dojrzała wysoką postać Ebena Freemana. Stał skulony w drzwiach do obory.

Wybiegł jej naprzeciw.

- Wielki Boże, wdowo Berry, przemokła pani do suchej nitki. I nic dziwnego, spaceruje sobie pani w tym okropnym deszczu, jakby to był pierwszy słoneczny dzień kwietniowy. - Wziął od niej to, co niosła, i wepchnął ją przez drzwi do jej własnego domu.

- Co skłoniło panią do wyjścia w taką pogodę? Lyddie mu powiedziała.

- I pani się nią opiekuje? Dlaczego Cowett nie zwróci się do babki Hall albo do którejś z Indianek?

- Pan Cowett wygląda na zadowolonego z moich usług.

- Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało... Po prostu wydało mi się dziwne, że poprosił właśnie panią.

- Poprosił mnie, ponieważ muszę jeść. - Odpakowała herbatę.

- To moja dzisiejsza zapłata. Czy mogę pana poczęstować? Freeman spojrzał na czarne listki, a potem na Lyddie.

- Chce pani powiedzieć, że...

- Zięc przestał łożyć na moje utrzymanie, zgodnie z pańskimi przewidywaniami.

- Moimi przewidywaniami! Nie przewidziałem tego, że przestanie łożyć na pani utrzymanie. To jest... - Urwał.

Lyddie uznała, że jak na człowieka, który zarabia na życie płynnością wymowy, Freeman zbyt często się zacina.

- Herbaty? - powtórzyła.

- Tak. Dziękuję. Muszę... - Znow spjrzał na herbatę. - Muszę przyznać, że Indianin hojnie pani płaci. Czarna herbata kosztuje teraz trzy szylingi za uncję.

Lyddie poczuła, że się czerwieni, ale nie wiedziała: ze wstydu czy z gniewu. Dlaczego Indianin nie miałby jej dobrze płacić? Krzątała się po kuchni, parząc herbatę, rozmowa się rwała. W końcu wypili herbatę i Freeman wyjawiał cel wizyty.

- Jest pani zdecydowana tu zostać, wdowo Berry?

Lyddie rozważała kilka wersji wyczerpujących odpowiedzi, ale ostatecznie zdecydowała się na krótką.

- Tak - powiedziała.

- Naturalnie ma pani takie prawo...

- A mój zięć postępuje wbrew prawu. Ale już dawno doszliśmy do wniosku, że nic nie można na to poradzić.

- Nic podobnego! Uzgodniliśmy, że istnieje inny sposób postępowania, który, jak wszystko teraz na to wskazuje, zdecydowanie pani odrzuciła wbrew moim radom i zaleceniom. Wyjaśniwszy to sobie...

- Możemy się pożegnać i rozstać bez urazy. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Przez twarz prawnika przebiegł cały szereg grymasów, nim ostatecznie pojawiła się na niej nowa i trochę przerażająca mina. Pochylił się na swoim krześle.

- A ja mam inną nadzieję, wdowo Berry. Usilnie starałem się spełnić życzenia pani męża. Ponieważ to już zamknięty rozdział, chciałbym

przedstawić własne pomysły. Jeśli mi wolno powiedzieć, chociaż bardzo szanowałem pani męża... - Urwał. - Zawsze widział w ludziach tylko dobre strony. Zgłosiłem mu swoje zastrzeżenia. Lecz teraz możemy wszystko naprawić. Oto moja propozycja...

Ale Lyddie nie usłyszała dokładnie, na jaki pomysł wpadł Freeman, bo skupiła się na jego wcześniejszych słowach. Tak, Edward zawsze widział w ludziach same dobre strony - zaufał Nathanowi we wszystkich sprawach jej dotyczących, tak jak kiedyś zaufał Shubaelowi. Chociaż teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, nie mogła mieć o to do niego pretensji. Postąpił tak, jak postąpiłaby większość mężczyzn. Podzieliła się z nim swoimi zmartwieniami dotyczącymi chorej krowy, niezapłaconego podatku, a on próbował jej tego oszczędzić w przyszłości.

- Wdowo Berry?

- Przepraszam. Zamyśliłam się.

- Czy wybaczy mi pani moją ciekawość, jeśli zapytam, o czym pani myślała?

- Myślałam o Edwardzie.

- Ach. No tak. Naturalnie. Wstał.

- Muszę już iść. Jeszcze o tym porozmawiamy. Proszę przekazać Cowettowi, że życzę jego żonie szybkiego powrotu do zdrowia.

20

Lyddie spotkała się z Indianinem nazajutrz i wysłuchała jego relacji o pacjentce, której stan niewiele się zmienił. Łódź była już oczyszczona, uszczelniona i gotowa do połowu dorszy; Cowett zamierzał łowić ryby trzy godziny przed przypiływem i trzy godziny po nim - gdyby pływał dłużej, to albo osiadłby na piaszczystych mieliznach, albo musiałby pozostać na pełnym morzu do następnego przypiływu.

Kiedy Sam wyszedł, Lyddie dała Rebecce kilka łyżek mleka i kropelki, umyła ją i zmieniła jej pościel. Oddechy Rebecki Cowett były takie płytkie, że Lyddie ledwo je wyczuwała. Chora nie otwierała oczu i nie reagowała na dotyk ani głos, ale Lyddie i tak do niej mówiła, opowiadała jej o pogodzie, o tym, co się dzieje w jej domu i ogrodzie, w czym doskonale się orientowała, bo teraz przejęła również większość obowiązków związanych z prowadzeniem gospodarstwa.

Akurat była przed domem, rozkładała na krzakach świeżo upraną pościel, by słońce ją wybieliło, kiedy nadeszła kuzynka Betsey. Lyddie zaprosiła ją do środka i patrzyła z lekkim rozbawieniem, jak Betsey

ostrożnie przekracza próg, tak samo jak kiedyś Lyddie. Teraz dom Cowettów znała równie dobrze jak własny.

Betsey przyniosła trochę puddingu oraz piwo z miętą polej i szalwią; twierdziła, że to środek który w kilka godzin leczył wszystkie dolegliwości jej dzieci. Zajrzała przez drzwi do izdebki i spojrzała na Rebeccę Cowett. No i wtedy się zaczęło. Dobry Boże. O, błogosławiony Panie. Czy jest jakaś nadzieja? Wątpię. Bardzo wątpię. Czy reaguje? Nie. Widzisz, nie zwraca uwagi na mój głos ani dotyk ręki. I jaka jest mizerna! Czy je? Powinna jeść. Ciekawa jestem, jak długo... ? Ach, już niedługo. Całkiem niedługo. Chociaż pamiętam małego Stephena Cobba, przez całe dwa tygodnie leżał z zapaleniem opon mózgowych, a był o połowę chudszy od tej biedaczki.

Lyddie pozwalała Betsey mówić, zadawać pytania i samej na nie odpowiadać, aż w końcu kuzynka usiadła na krześle, które Lyddie jej przyniosła.

- Dobra z ciebie chrześcijanka - powiedziała wreszcie Betsey. - Dobra z ciebie chrześcijanka, że tu przychodzisz.

- Znam lepszą - odparła Lyddie i wskazała izdebkę. Betsey prychnęła.

- Cóż, może przychodziła do domu modlitwy, ale ciekawa jestem, czy opiekowałyby się tobą z takim oddaniem?

- Gdyby mój mąż płacił jej tyle, co Sam Cowett płaci mnie...

- Płaci ci? No, no.

Betsey umilkła, na jej twarzy malowało się zakłopotanie. Wiele Indianek pracowało w domach Anglików albo oddawało dzieci do terminu, by się czegoś nauczyły, ale czy ktokolwiek słyszał, żeby biała kobieta pracowała u Indianina?

Betsey wciąż łamała sobie nad tym głowę, kiedy wszedł Sam Cowett. Zerwała się na równe nogi. Lyddie wyjaśniła, że Betsey przyniosła pudding,

i poczuła ulgę, kiedy Sam Cowett podziękował jej grzecznie, nie wspominając ani słowem, że jego żona nie je pokarmów stałych. Betsey z kolei wygłosiła zgrabną mowę o pobożności chorej, przypomniała Lyddie, by pamiętała o niedzieli, i opuściła progi domu znacznie pewniejszym krokiem, niż w nie wstępowała.

Lyddie i Sam Cowett spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się jednocześnie, chociaż Lyddie nie potrafiła wytłumaczyć, co było tego powodem. Obydwoje szybko spoważnieli, ale i tak poczucie obcości, które między nimi panowało, częściowo ustąpiło miejsca pewnej poufałości.

Cowett poszedł do izdebki żony, a Lyddie przystąpiła do szykowania posiłku. Po chwili Cowett wrócił i usiadł za stołem. Pomarańczowy ogień na palenisku zabarwił jedną część jego twarzy, a zielono-fioletowe światło późnego popołudnia, wpadające przez okno, oświetlało drugą; majaczył przed nią jak jakiś dziki, pomalowany, pogański bożek, a jednak widziała głównie głębokie bruzdy na policzkach, napięte mięśnie szyi, przygarbione ramiona.

- Co nowego? - zapytał.

- Nic, jeżeli chodzi o pańską żonę. Natomiast jeśli chodzi o krowę, obawiam się, że straciła mleko. Jutro kupię trochę mleka w sklepie Searsa.

- Po co tyle zachodu? Moja żona i tak już wkrótce umrze. Ponieważ Lyddie nie mogła temu zaprzeczyć, siedzieli w milczeniu.

- Czy tak się pani czuła, zanim znaleźli jego ciało? - spytał w końcu Cowett. - Jakby zmarł, a zarazem nie zmarł? Jakby żył, a jednocześnie nie żył?

Miał na myśli Edwarda. Ale w przeciwieństwie do pytania, zadanego niedawno przez Freemana, które zmusiło ją, by zajrzała w głąb umysłu Edwarda, teraz musiała zajrzeć w głąb siebie.

- Coś w tym rodzaju - przyznała. - Wiedziałam, że nie żyje, ale nie wierzyłam w jego śmierć. Chociaż nie wierzyłam również, że żyje. Poczułam... ulgę, kiedy go zobaczyłam.

Cowett skinął głową.

- I jakbym umarła. Poczułam się, jakbym umarła. - Lyddie nachyliła się nad stołem. - Panie Cowett, pańska żona żyje. Może pan z nią rozmawiać. Nie odpowiada panu ani na pana nie patrzy, ale niewykluczone, że pana słyszy. Może ma pan jej do powiedzenia jeszcze wiele rzeczy, które chciałaby usłyszeć. Ja chciałabym... Ja miałam... Wiele rzeczy...

- Może je pani powiedzieć swojemu bogu, a on powtórzy je na ucho pani mężowi. Czy nie wierzycie, że tak jest?

Lyddie wstała.

- Ja w to nie wierzę. Dobranoc. - Skierowała się do wyjścia.

- Wdowo Berry?

Odwróciła się.

- Na jutro starczy mleka, które jest w dzbanku. Proszę przynieść trochę świeżego mleka, kiedy przyjdzie pani pojutrze.

Widząc na twarzy Lyddie konsternację, roześmiał się.

- A więc jednak zapomniała pani o niedzieli?

- Ale jak pan sobie poradzi?

- Skoro pani jutro nie pracuje, ja też nie będę pracował. Może się pani pochwalić w domu modlitwy, że nawróciła pani jednego poganina. - Znow się roześmiał.

21

Lyddie obudziła się pełna niepokoju, jak wtedy, kiedy chorowało któreś z jej dzieci. Dlaczego? - pomyślała. Dlaczego? A potem sobie przypomniała. Spotkanie w domu modlitwy. Wstała, załatwiła się do naczynia nocnego, porządnie umyła twarz, szyję i ręce, wyjęła najlepszą suknię i czystą parę pończoch. Trochę czasu poświęciła na szczotkowanie włosów, a potem próbowała spiąć je szpilkami, by nie opadały na twarz i by ukryć je pod czepkiem. Rzadko nosiła czepek, co było powodem troski jej córki; potraktowała to teraz jako prezent dla Mehitable, że dokłada tyle starań, by go wcisnąć na głowę. Podeszła do studni i zajrzała do niej.

Zobaczyła nieznajomą kobietę, arogancką i wymizerowaną.

Lyddie wyszła na drogę, bryza od morza łagodziła niezbyt palące promienie słońca. Przepiórka wyleciała z lasu i przemknęła tuż przed Lyddie, chcąc odpędzić ją od piskląt. Lyddie przyspieszyła kroku i po jakimś czasie usłyszała za sobą znajome pogwizdywanie, matczyne „wszystko w porządku”.

Szła ku Drodze Królewskiej, myśląc o Mehitable. Jakie niebezpieczeństwa czyhają na jej córkę, a Lyddie nie ma przy niej, by jej bronić? Odpędziła od siebie złe myśli. Mehitable nie potrzebowała teraz matki, prawdę mówiąc, nigdy jej zbytnio nie potrzebowała. Nie chorowała, jak jej

bracia i siostry, i właściwie nic jej specjalnie nie trapiło. Kroczyła uparcie przez swój mały świat, kiedy dorosła, sama wybrała sobie męża, nie zwierzała się nikomu, jak jej z nim jest, i - Lyddie mogła tylko przypuszczać - ukradkiem opłakiwała ojca. Ale Lyddie musiała przyznać, że jej córka sprawiała wrażenie zadowolonej z męża, którego sobie wybrała, chociaż ten wybór od początku aż do tej pory zastanawiał Lyddie. Mehitable prawie nie знаła Nathana, kiedy zgodziła się go poślubić. Gdy Clarke poprosił Edwarda o zgodę, Edward powiedział jedynie: „Niech Bóg was błogosławi. Życzę wam szczęścia”, ale potem spytał Lyddie: „Co o tym sądzisz?”.

Zaczęła od wyrażenia obaw w związku z tym, że Mehitable jest jeszcze taka młoda, ale Edward odparł: „Lepiej, jak się z nią ożeni, zanim stanie się taka uparta, jak ty”.

Kiedy Lyddie się nie roześmiała, powiedział: „No, no, kobieto, Nathan zapewni jej dostatniejsze życie, niż ja kiedykolwiek zapewniłem tobie”.

Lyddie nadal pozostała chmurna, pochylił się więc i musnął ustami jej zmarszczone czoło. „Nie ma drugiego tak szczęśliwego małżeństwa jak nasze. Jeśli moja córka nauczyła się od ciebie rozsądku, Clarke może się uważać za prawdziwego szczęściarza, tak jak ja codziennie dziękuję za swoje szczęście. Nie martw się, moja droga. Uda im się”.

Uda się. Rzeczywiście Mehitable radziła sobie nieźle. Lyddie nie wiedziałyby, jak postępować z kimś takim jak Nathan Clarke. Czyżby Edward lepiej od niej znał ich córkę?

Lyddie pomyślała o czekającym ją spotkaniu w domu modlitwy. Nie postawi zięcia w niezręcznej sytuacji i nie usiądzie w jednej ławce z rodziną, ale przynajmniej zobaczy Mehitable; oceni jej stan zdrowia, jeśli nie umysłu, i to jej będzie musiało wystarczyć.

Lyddie weszła na Drogę Królewską i zaczęła pokonywać wzniesienie; dołączyła do tych, którzy zdążali na piechotę do domu modlitwy, i gdyby nie zwracała uwagi na rzucane jej spojrzenia i milczenie poprzedzające zbyt wylewne pozdrowienia, ta niedziela nie różniłaby się niczym od dawniejszych.

Lyddie weszła do domu modlitwy i zajęła miejsce na galerii pośród innych kobiet. Wyteżała wzrok, by nasycić się widokiem córki. Twarz Mehitable była różowa i pełna, przez cienki angielski batyst prześwitywały jej pulchne, silne ramiona. Po pewnym czasie Lyddie zorientowała się, że inni spoglądają w jej stronę, jej obecność w domu modlitwy została zauważona. Ludzie tręcali się łokciami i odwracali głowy. Jeśli ktokolwiek potrzebował kolejnego dowodu, że zerwała z rodziną, to go miał jak na dłoni, widząc wdowę siedzącą oddzielnie. Lyddie poczuła dziwną lekkość na duszy, a może w sercu; jakie znaczenie ma to, co ci ludzie wiedzą albo myślą? Nie przejmowała się tym. Siedziała i pozwalała im gapić się na siebie, aż w końcu nawet jej zięć odwrócił się na swojej ławce w części sali, przeznaczonej dla mężczyzn. Lyddie spuściła głowę; Nathan usiadł prosto; tłum znów zafalował.

Wielebny Dunne mówił o synu marnotrawnym, na którego powitanie ojciec kazał zabić utuczone cielę; Lyddie patrzyła przed siebie, skupiona, ale nic nie słyszała.

Miała nadzieję, że uda jej się opuścić dom modlitwy, nie narażając swojej rodziny na dodatkowe przykrości, ale w drzwiach zrobił się zator i nie mogła iść, a ci, którzy wstali z ławek, napierali z tyłu. Kiedy na prawo od niej zrobiło się luźniej, Nathan Clarke przepchnął się do przodu. Zobaczył ją, odwrócił się do pana Mayo i ostentacyjnie przyjął zaproszenie, by czas między nabożeństwami spędzić u niego. Mehitable znalazła się po

drugiej stronie obu mężczyzn, razem z Nate'em, Jane i Murzynką Hassey. Tylko buzia Bethiah rozkwitła jak kwiat tuż obok babki, ale ktoś szybko odciągnął dziewczynkę, Lyddie nie wiedziała kto.

Wyszła i skierowała się prosto na zachód, do domu. Z południa wiał lekki, wilgotny wietrzyk; niebo koloru brudnej pościeli wisiało nisko; wkrótce spadnie deszcz. Odkąd ostatni raz szła tą drogą, zakwitły bzy przed domem Judaha Snowa i kasztany wzdłuż pobocza. Właśnie o tym myślała Lyddie: o pogodzie, o kolejnej porze roku; utuczone cielę w ogóle nie zaprzętało jej uwagi, gdy nagle przypomniała sobie jałówkę Edwarda i nie mogła o niej zapomnieć. Dlaczego? Czy krowa stała i blokowała drogę innym, bardziej posępnym myślom, czekającym w zakamarkach umysłu Lyddie, czy też biedne stworzenie martwiło się, że nikt się o nie odpowiednio nie zatroszczy, jak to się stało z krową Cowettów, i straci mleko? Jakakolwiek była tego przyczyna, Lyddie wciąż miała krowę przed oczami, co zmusiło ją do obejrzenia się wstecz, zamiast spoglądania przed siebie, powrotu do utuczonego cielęcia z kazania pastora, do zaróżowionych policzków córki, zdziwionego spojrzenia Bethiah, południowej wizyty Nathana u pana Mayo.

I nagle Lyddie doznała olśnienia. Do tej pory krowa już się ocieliła; prawdę mówiąc, cielę już wypuszczano na łąkę; cielę naturalnie stanowiło własność Nathana, podobnie jak krowa, ale zgodnie z ostatnią wolą Edwarda Lyddie mogła czerpać korzyści z krowy, podobnie jak miała prawo do zapasu siana na zimę, by wykarmić zwierzę. A teraz Jane dwa razy dziennie opróżniała wymiona krowy z mleka, które należało się Lyddie. Najbliższe godziny rodzina Clarke'a spędzi albo u pana Mayo, albo w domu modlitwy, reszta mieszkańców osady będzie albo w domu modlitwy, albo schroni się

gdzieś przed deszczem, który właśnie zaczął rozsypywać małe, ciemne monety na jasnym pyle drogi.

22

Murzyn Jot właśnie wychodził z obory, kiedy pojawiła się Lyddie. Myślała, że uda jej się przyjść niepostrzeżenie i zabrać krowę, ale zapomniała o Jocie i o tym, że nie jest tak żarliwym chrześcijaninem, jak jego żona.

- Dzień dobry, Jot.
- Dzień dobry.
- Przyszłam po swoją krowę. Jot zmarszczył czarne czoło.
- Pan Clarke jest w domu modlitwy.
- Tak, właśnie go spotkałam.
- Czyli że wie o krowie?

Lyddie rozważyła różne wersje odpowiedzi, mniej czy bardziej prawdziwe, i w końcu powiedziała:

- Wie, że ta krowa mi się należy.

Jot wytarł ręce o spodnie z samodziału. Deszcz jeszcze nie rozpadał się na dobre i Murzyn wyraźnie miał ochotę na dłuższą pogawędkę. Ale Lyddie się spieszyła.

- Nie chcę ci przeszkadzać w pracy - powiedziała.
- Dziś niedziela.

- Masz rację, Jot, i z całą pewnością nie podjąłabym się takiego zadania dziś, pod nieobecność pana Clarke'a, gdybym była tutaj mile widzianym gościem.

To Jot rozumiał. Jego czoło się wygładziło.

- A więc chce ją pani teraz zabrać?

- Tak, teraz.

Jot odwrócił się i wszedł do obory. Przyszedł z kawałkiem sznurka i w gęstniejącym deszczu skierował się na łąkę. Kiedy wrócił, szła za nim spokojnie krowa Edwarda. Podał Lyddie postronek, ale ona zawahała się, nagle uświadomiwszy sobie, że cała wina za jej postępowanie spadnie na Jota.

- Chyba wstąpię do domu i zostawię list dla swojego zięcia - powiedziała i zanim Jot zdołał cokolwiek postanowić, weszła do środka.

Dom wyglądał jak w każdą niedzielę: domownicy byli nieobecni, ogień przysypany, wszystkie mniej pilne zajęcia domowe odłożono do następnego dnia. Lyddie weszła do kuchni i pierwsze, co zobaczyła, to swój cynowy kufel z przykrywką. Zastanawiała się, czy zabrać tylko krowę, czy też wszystko, co do niej należy. Doszła do wniosku, że skoro się już zebrała na odwagę, to nie zatrzyma się w pół drogi. Wzięła kufel, odszukała swoje talerze i łyżki, ale była zmuszona pogodzić się z tym, że nie uda jej się zabrać kociołka. Znalazła w spizarni dwa worki po mące, włożyła do nich swój dobytek, a potem wmaszerowała do gabinetu zięcia. Usiadła za jego biurkiem, by poszukać papieru i pióra, kiedy jej wzrok padł na znajomy przedmiot: stary portfel, w którym Edward trzymał ważne dokumenty. Lyddie wyciągnęła rękę i dotknęła sfatygowanej skóry; wciąż była mięsista. Wyjęła portfel z przegródki, otworzyła go i wyciągnęła pierwszy dokument z wierzchu.

Niech wszyscy tu obecni zaświadczą, że ja, Sachemus, wódz Satucket, z uwagi na wielką miłość i szacunek, jakimi darzę swojego wieloletniego serdecznego i dobrego przyjaciela, Jonathana Berry'ego, któremu jestem bardzo zobowiązany za liczne wyświadczone przez niego przysługi, z własnej, nieprzymuszonej woli przekazuję tę część mojej ziemi, którą potocznie nazywa się starym indiańskim polem, na wschodnim brzegu rzeki Satucket, zastrzegając dla siebie i dla moich dzieci oraz dzieci moich dzieci po wsze czasy prawo zbierania drewna na ogrodzenie i opał. Na potwierdzenie tego składam swój podpis i pieczęć.

Poniżej słów Wódz z *Satucket* był prosty znaczek, przypominający literę V, a obok - nazwiska dwóch świadków, *Stephen Paige* i *Willyium Freeman*, oraz data, 13 października 1676 roku. Niżej widniał dopisek

Wyżej wymieniony Sachemus stawił się 8 stycznia 1679 roku i potwierdził, że dobrowolnie dokonał tej darowizny... i że już dawno temu przekazał wspomnianą ziemię wyżej wymienionemu i bardzo mu przykro, że jego przyjaciel Jonathan Berry miał w związku z tą transakcją kłopoty.

W obecności Thomasa Freemana, asyst.

Jonathan Berry. Pradziadek Edwarda. Lyddie znów spojrzała na koślawę V. Stary wódz naturalnie nie sporządził własnoręcznie tego dokumentu. Nie przypuszczała również, by w pełni rozumiał zawilości prawniczego języka. Ale z pewnością objaśniono mu treść dokumentu, zanim go podpisał; z pewnością musiał wiedzieć, co to znaczy „darowizna”, w przeciwnym razie oczekiwałby jakiegoś wynagrodzenia. A czy dopisek nie był kolejnym dowodem jego intencji? Wyniknęła jakaś kwestia dotycząca własności ziemi i wódz pofatygował się ponownie do sądu, by potwierdzić, że naprawdę podarował ziemię Jonathanowi Berry'emu. Ale czemu w ogóle się jej pozbył?

Lyddie wsadziła dokument z powrotem do portfela, a portfel umieściła znów w przegródce. Wyjęła z szuflady arkusz papieru i zamoczyła pióro.

Panie Clarke, aby pana nie niepokoić, skorzystałam z okazji, by odebrać swoją własność. Poza kilkoma przedmiotami, których moja córka przez przeoczenie mi nie oddała, wzięłam krowę należącą do mojego męża, do której mam prawo zgodnie z jego ostatnią wolą. Zgodnie z powyższą wolą oczekuję jesienią dostawy siana na zimę dla bydłęcia.

Z poważaniem, Lydia H. Berry

Wyszła na dwór. Jot stał z krową w oborze. Lyddie wręczyła mu worki, a on bez pytania zarzucił je krowie na grzbiet.

- Zostawiłam swojemu zięciowi list z wyjaśnieniem - powiedziała. - Nie wspomniałam w nim o twojej obecności. Bardzo możliwe, że cię tutaj nie było, bo gonieś klacz mojego zmarłego męża. Znana jest z tego, że przeskakuje przez płoty.

Wystarczyła mu sekunda, by pojąć aluzję. Skinął głową. Lyddie wyprowadziła krowę z obory. Deszcz rozpadał się na dobre. Krowa dreptała za nią, to przystając, to ruszając dalej; zatrzymywała się za każdym razem, kiedy naczynia kuchenne zadzwoniły w worku. Lyddie wkrótce się przekonała, że kiedy się odwraca i ciągnie za postronek, zwierzę zapiera się kopytami i ani drgnie, ale jeśli Lyddie stoi, spoglądając przed siebie, jakby sama postanowiła się zatrzymać, krowa wkrótce rusza dalej.

Lyddie udało się nie napotkać nikogo na Drodze Królewskiej, ale na skrzyżowaniu z drogą prowadzącą nad morze szczęście ją opuściło. Zobaczyła jakiegoś chudego starca kuśtykającego w jej stronę; kiedy podszedł bliżej, okazało się, że to nie żaden staruszek, tylko Silas Clarke, brat Nathana. I nie tyle kuśtykał, co się zataczał z wiadomego powodu. Wyprostował się na jej widok i uchylił kapelusza.

- Dzień dobry pani.

- Dzień dobry, panie Clarke.

- Cóż takiego pani ciągnie za sobą?

- Krowę.

- Krowę! Powiedziała pani: krowę?

- Tak powiedziałam.

- A co takiego jest w workach? Mąka, prawda? Była pani we młynie, tak?

Lyddie niewyraźnie skinęła głową.

- No, no! Krowa. I worek mąki. A czy wolno zapytać, jak się ma pani rodzina?

- Bardzo dobrze. A pańska?

- Ach, smutna historia z moją rodziną. Żona znów ode mnie uciekła. Jakiś czas temu się obudziłem i stwierdziłem, że ich nie ma.

- Zdaje mi się, że widziałam pańską żonę i dzieci w domu modlitwy.

- W domu modlitwy! No, no! To już niedziela? Dałbym sobie głowę uciąć, że od poprzedniej upłynęły zaledwie dwa dni. A mogę zapytać, jak się ma pani rodzina?

- Bardzo dobrze, panie Clarke, jak już powiedziałam. Teraz, jeśli mi pan wybaczy...

- A pani mąż z pewnością znów wypłynął w morze? Czy też zrezygnował z tego niebezpiecznego zajęcia? Chyba słyszałem coś...

- Zrezygnował. Proszę mi wybaczyć, ale widzi pan, krowa mnie ciągnie.

- W takim razie proszę pozwolić, że będę pani towarzyszył, pani Berry. A więc pani mąż zajął się mleczarstwem zamiast pływać po morzu? To wielce rozsądne zrezygnować z pływania po morzu, ale jeśli się

rezygnuje z pływania po morzu, trzeba się zająć czymś innym, na przykład mleczarstwem. Proszę pozwolić, że pani pomogę. - Silas Clarke wyrwał postronek z rąk Lyddie i zaczął ciągnąć zwierzę na wschód, krowa chciała iść na zachód, a Lyddie zaszła ją od północy, by odzyskać kontrolę nad sytuacją. Tego było za wiele dla biednego bydła. Zaczęło wierzgać i podskakiwać, aż worki się rozwiązały i naczynia cynowe potoczyły się po drodze we wszystkie strony.

Silas puścił sznur i się gapił.

- Zdawało mi się, że powiedziała pani „mąka”. Nie powiedziała pani „mąka”? To mi nie wygląda na mąkę. Nic a nic. Przecież to naczynia. A proszę spojrzeć tutaj, to piękny, duży kufel. Bardzo ładny kufel. Leży na drodze! To się nazywa szczęście! -I ruszył w złym kierunku, a raczej w dobrym, jeśli przyjąć, że zmierzał do tawerny.

Na nieszczęście dla Lyddie krowa postanowiła podreptać za nim, a co gorsza, Lyddie nie udało się jej złapać aż do samej gospody. Tam zwróciła na siebie uwagę dwóch braci Grayów i karczmarza, Elkanaha Thachera, oraz trzech nieznanomych, sądząc po ubiorze, marynarzy. Mokra i zabłocona Lyddie wzbudziła wesołość obcych, ale bracia Gray wyszli spod okapu, stanęli po obu bokach krowy i Lyddie udało się w końcu chwycić postronek.

Podziękowała im, zawróciła, zebrała naczynia i powlokła się do siebie. Zaprowadziła krowę do obory, weszła do domu, rozpałała ogień, by zaparzyć herbatę, wzięła wiadro i poszła do studni. Dwa pierwsze wiadra wody przeznaczyła dla krowy, ale trzecie trafiło do kociołka. Do tego czasu zdążyła przemoknąć do suchej nitki. Rozwiązała taśmy i pozwoliła, by spódnica zsunęła się na podłogę, potem zdjęła koszulę i włożyła luźną, flanelową suknię, odpowiedniejszą raczej na zimowe chłody. Powiesiła mokre ubrania na belce nad kuchnią.

Herbata smakowała wybornie. Lyddie ukroiła sobie pajdę chleba kukurydzianego, który upiekła z mąki od Indianina, i posmarowała ją masłem. Siedziała wielce z siebie zadowolona, chociaż odczuwała lekkie wyrzuty sumienia. Ale w pewnej chwili pomyślała: skąd te wyrzuty sumienia? Z pewnością nie z powodu krowy i Jota, ani Silasa, ani mężczyzn w gospodarstwie... Znów spojrzała na chleb i doznała olśnienia: dziś od wielu dni po raz pierwszy nie widziała się ze swoim sąsiadem Indianinem.

Lyddie obudził zapach wytapianego tłuszczu. Pomyślała o Edwardzie, nie żywym, tylko martwym, i o ciężkim powietrzu, które wisiało nad osadą przez wiele tygodni po tym, jak utonął. Szybko zjadła śniadanie, wydoiła krowę, wyprowadziła ją i uwiązała, zadowolona, że pójdzie do Cowettów ze skopkiem świeżego mleka dla Rebecki. Kiedy znalazła się bliżej wody, zauważyła maszt, sterczący nad karłowatymi zaroślami. Serce jej się ścisnęło na ten widok. Czy to łódź Edwarda? Czy jest na niej bezpieczny?

Sam Cowett wyjaśnił jej, że to szkuner Setha Cobba, który właśnie wrócił z drugiego rejsu na południe z baryłkami pełnymi tłuszczu, ale tylko z połową pierwotnej załogi, bo reszta popadła w kolizję z prawem w Charlestown. Lyddie powiedziała Indianinowi, że chyba spotkała nowych członków załogi wczoraj przed gospodą. Zrelacjonowała swoją przygodę z krową, starając się, by cała historia wypadła zabawnie, ale nie rozśmieszyła nią Sama Cowetta. Kiedy wyszedł z domu, udała się do izdebki Rebecki z kubkiem mleka i łyżką. Jak zwykle uniosła kobiecie głowę, ale kiedy wlała jej do ust łyżkę mleka, popłynęło jej ono po policzku. Lepiej podparła głowę Rebecki i spróbowała ponownie; biała strużka popłynęła po brodzie. Spróbowała jeszcze trzy razy, a potem zrezygnowała i zrobiła to, co radziła Samowi Cowettowi: zaczęła do niej mówić. O Edwardzie.

- Nie był bardzo roslým mężczyzną - powiedziała. - Nie mógł się równać z pani mężem. Ale miał dość krzepy, żeby podnieść komodę na pościel, i mnie, i trumny naszych dzieci. Osobiście zaniósł je na cmentarz. Potem zawsze starał się splodzić kolejne dziecko, a może w tym znajdował pocieszenie. Za każdym razem gdy wypływał w morze, pragnęłam takiego samego pocieszenia, czasami tak bardzo, aż mnie ogarniał lęk.

Ale nie, nie powie o tym Rebecce. Próbowwała pomyśleć o czymś innym, lecz wciąż powracała do tego samego, począwszy od ich pierwszego razu, zanim się jeszcze pobrali, od dnia, kiedy posadził ją na siodle za sobą i pojechali do Eastham, żeby poinformować brata Edwarda, że dali na zapowiedzi i w przyszłym miesiącu się pobiorą. Przez całą drogę czuła jego twarde plecy pod kurtką i słony pot, a kiedy przycisnęła mu twarz do pleców, słyszała jego dudniący głos. Myślała: zostanie moim mężem. Całe moje szczęście wżyciu będzie zależało od charakteru tego człowieka. Czy dobrze go oceniłam?

W Eastham nie zastali brata Edwarda, który dokądś się wybrał z całą rodziną. Zajrzeli do stodoły. Wozu nie było, a boks dla konia stał pusty. Ale coś w tej całkowitej pustce stodoły albo drożdżowym zapachu wilgotnego siana i zwierzęcia, albo wspomnieniu ich fizycznej bliskości podczas jazdy na koniu, a może w samej sile obietnicy, jaką właśnie sobie złożyli nawzajem, sprawiło, że ciągnęło ich do siebie, aż znaleźli się za blisko, by się widzieć, i mogli się jedynie dotykać. W jednej chwili stali skromnie, a w następnej ona zadarła spódnice, a on spuścił spodnie. Początkowo Lyddie pomyślała, że Edward zrobił to chyba nie tak jak należy, bo nic nie poczuła, tylko lekki ból i dziwne odrętwienie, ale potem przeszedł go dreszcz, z ust wyrwał mu się zduszony krzyk, a jej minęło odrętwienie, złapała go z całych sił, żeby jej nie uciekł, i wkrótce stwierdziła, że wszystko jest tak, jak trzeba.

Naturalnie podczas ich długiego małżeństwa zdarzały się takie chwile, kiedy Edward nie wypływał w morze, a Lyddie nie biegała od chorego dziecka do spalonego chleba i mieli czas na długie pieszczoty, ale od tamtego dnia w stodole nigdy serce nie biło jej mocniej niż wtedy, kiedy robili to na chybcika.

Lyddie zwinęła brudną pościel Rebecki Cowett i wyniosła ją z izdebki. Na chwilę wyszła przed dom, by poczuć we włosach wietrzyk.

Grzech popełniony w sercu nie jest tak wielki, jak grzech popełniony naprawdę, pomyślała. Ktoś powinien to powiedzieć wielebnemu Dunne'owi.

Indianin przyszedł, zataczając się ze zmęczenia, i spojrzał na wymizerowaną, wstrząsaną dreszczami postać w łóżku, a potem na Lyddie, po raz kolejny próbującą bezskutecznie wlać w chorą odrobinę mleka.

- Nie przetyka - powiedziała Lyddie.

Wyszedł. Lyddie umyła Rebeccę i wygładziła pościel. Kiedy Cowett wrócił, patrzył tylko na Lyddie.

- Jak długo? - zapytał.

- Od rana. Nic nie...

- Jak długo będzie się jeszcze męczyła? Chcę wiedzieć, jak długo będzie się jeszcze męczyła.

Lyddie przyjrzała się kobiecie na łóżku, jej sterczącym kościom, jej cienkiej skórze. Pomyślała o swoim najmłodszym synu, który, gdyby żył, byłby w wieku młodego Nate'a. Zmarł na krup, kiedy miał pięć lat. Przestał jeść w poniedziałek, a ona codziennie przesuwiała palcami po jego żebrach i wmawiała sobie, że nie sterczą bardziej niż poprzedniego dnia, że jego oddechy nie stają się płytsze, aż w niedzielę raz głębiej nabrał powietrza w płuca i nastąpił koniec. Ale on był chłopcem, małym chłopcem...

- Nie wiem, panie Cowett. Ale sądzę, że już niedługo. Indianin wyszedł z izdebki i podszedł do stołu, na którym Lyddie przygotowała dla niego posiłek. Odsunął talerze na bok i postawił dwa kubki. Wziął butelkę brandy i nalał do każdego kubka miarkę alkoholu.

Powinnam już pójść, pomyślała Lyddie.

Wziął swój kubek i wskazał głową drugi. Wypił, w drugiej ręce ściskając butelkę.

Lyddie stała bez słowa, wpatrując się w dłoń obejmującą butelkę. Kiedy palce mu pobielwały, powiedziała:

- Jeszcze jest jej pan potrzebny.
- Już niczego nie potrzebuje.
- Pozwoli pan, żeby leżała brudna?
- Pani może się nią opiekować.
- Nie przez całą noc.
- Boi się pani, co ludzie powiedzą?

Pomyślała: boję się pana, ale nagle jej lęk zniknął. Ścisnął butelkę w rękę, by stała na stole, a nie, żeby ją unieść do ust. Wzięła swój kubek i pociągnęła łyk. Poczowała się tak, jakby ktoś jej położył ciepłą dłoń na zimnym sercu. Sięgnęła po butelkę. Przysunął ją w jej stronę. Nalała do kubka odrobinę brandy, a potem odstawiła butelkę na podłogę, gdzie jej nie widział ani nie mógł po nią sięgnąć.

Indianin jeszcze przez minutę zaciskał dłoń w pięść, a potem nagle rozprostował palce.

- Nie mam nikogo - powiedział. - Nikogo poza nią.
- Ma pan siebie, panie Cowett. I sąsiadkę, gdyby jej pan potrzebował. I może jeszcze syna, jeśli żyje.

- Tak pani rachuje? Że jest was troje? Pani, pani sąsiad, pani córka? Lyddie już miała przytaknąć, ale coś w zapadającym zmroku sprawiło, że straciła ochotę na dalsze kłamstwa.

- Owszem, zaczęłam liczyć na siebie - oświadczyła. - I kiedy znalazłam się w potrzebie, przekonałam się, że mogę liczyć na swojego

sąsiada. A ponieważ moja córka zażyczyła sobie, bym trzymała się z dala od jej domu, z jej strony nie oczekuję niczego.

- Tak samo jak ja nie spodziewam się, że mój syn żyje.

- A więc możemy liczyć na tyle samo osób.

- Nie, wdowo Berry. Jestem lepszy, jeśli chodzi o sąsiadów. Lyddie pożegnała się i skierowała do wyjścia.

- Proszę wziąć butelkę, wdowo Berry - zawołał za nią.

*

Lyddie poszła do domu drogą wokół lasu, niepewnie stawiając kroki w półmroku. Najpierw towarzyszyło jej piszczenie przepiórki, a potem zastąpił ją gołąb karoliński: biedna Beck, biedna Beck.

Od morza wiał zimny wiatr. Z radością przestąpiła próg własnego domu i zobaczyła Nathana Clarke'a, siedzącego za jej stołem. Spojrzał na nią, a potem na butelkę brandy, którą trzymała w ręku.

- Widzę, matko, że Indianin płaci ci tym, co sam najwyżej ceni. Ale ciągle ci mało i musisz się uciekać do kradzieży krów.

- Kradzieży? Nie.

- W gospodzie nieźle się ubawili, oglądając moją teściową i jej krowę. Sprawia ci przyjemność robienie przedstawienia z siebie i wystawianie mnie na pośmiewisko?

- Możesz podziękować swojemu bratu za przedstawienie, a sobie za to, że ludzie się z ciebie śmieją. Ja jedynie odebrałam to, co mi się słusznie należy.

- A więc winisz mojego brata. Nie wystarczy ci, że zniszczyłaś jego szczęście rodzinne?

- Ja zniszczyłam?

- Jego żona schroniła się teraz u mnie i nie zamierza wrócić do swojego domu, póki on tam będzie mieszkał. Chciałem ją odesłać, ale płakała i lamentowała, aż moje własne dzieci się za nią ujęły. Nabiłaś im do głów, że ich kuzyni mogą zostać zamordowani we śnie.

- Cóż, zwolnił się mój pokój. Możesz w nim umieścić tę piątkę biednych dzieci.

Nathan zerwał się z krzesła.

- Twój pokój! A więc uważasz, że to teraz twój pokój? Że wszystko jest twoje? Nic nie jest twoje, ani pokój, ani dom, ani ta przeklęta krowa, ani jedzenie, które tak bezceremonialnie odbierasz od ust czwórce moich własnych dzieci, by nim nakarmić piątkę dzieci mojego brata!

- Cóż, w takim razie odeślij dzieci razem z ich matką, a przyjmij pod dach swojego brata Silasa, skoro ci nie przeszkadza, że lata, wymachując nożem.

Nathan wstał i nachylił się do niej.

- Pożałujesz, że ze mną zadarłaś. Możesz nasłać na mnie swojego prawnika, żeby wiercił mi dziurę w brzuchu, ale to i tak niczego nie zmieni. Ten dom należy do mnie, tamten dom należy do mnie, krowa należy do mnie...

- Ale ja mam prawo do jej mleka. Podobnie, jak do korzystania z jednej trzeciej domu. Prawdę mówiąc, panie Clarke, dziwię się, że chcesz, bym zamieszkała pod twoim dachem, a także temu, że człowiek tak majątny jak ty nie może się pogodzić z utratą jednej małej krowy, którą...

- Do diabła z krową! Ale, na Boga, nie pozbawisz mnie mojej własności, i gwizdzę na groźby Freemana!

Wymaszerował z domu. Lyddie odetchnęła głęboko, przygarbiła się, ale zaraz się wyprostowała. Krowa. Rzuciła się do drzwi, lecz Nathan

skierował się prosto do konia i wykonawszy kilka podskoków, zdołał w końcu go dosiąść. Zawrócił wierzchowca i zobaczył ją na progu. Lyddie uniosła rękę, by mu pomachać. Spiął konia ostrogami i jednocześnie ściągnął wodze, więc biedne zwierzę nie miało wyboru, tylko kręciło się w kółko, aż jego pan odzyskał panowanie nad sobą, a co za tym idzie - nad wierzchowcem. Kiedy odjechał, Lyddie w końcu się odprężyła, póki nie pomyślała o swojej córce, czekającej na tego człowieka na drugim końcu drogi. I wtedy ogarnął ją przemożny strach. Czego może się jeden brat nauczyć od drugiego? Czy Nathan Clarke pojawi się w domu tak rozsierdzony zachowaniem teściowej, by mścić się na żonie? Albo na własnych dzieciach? Jane i Nate mają dość rozumu, by nie wchodzić mu w drogę, ale Bethiah jest zupełnie bezbronna. Ona pierwsza najszybciej wyprowadzi go z równowagi swoim kaszlem, swoją niezgułowatością, swoją głupią paplaniną... Lyddie drgnęła.

Powiedział: czwórkę. Czwórkę własnych dzieci. Jaka ona głupia. Ten przewlekły katar żołądka zimą, ta krągła twarz i ramiona Mehitable... Jej córka jest w ciąży i jeśli policzyć miesiące od kataru żołądka zimą, w dobrze zaawansowanej ciąży.

24

Lyddie przyśniły się jej zmarłe dzieci. Kiedy się obudziła rano, sprawdzonym sposobem pozbyła się sennych obrazów, ale zaraz przed

oczami stanęła jej krowa. Jej zięć nie zostawi tak tej sprawy; trzymać zwierzę bez nadzoru na łące to prosić się o jego stratę. Wstała, umyła się i ubrała, wzięła trochę herbaty, chleba i masła. Poszła do obory, wydoiła krowę, tym razem przelała mleko do własnych baniek, zaniosiła je do spiżarni i przykryła płótnem. Na myśl, że ponownie zacznie robić sery, poczuła się tak, jakby świat po długim czasie przestał stać na głowie.

Potem zabrała krowę ze sobą do Cowetta i zostawiła ją razem z jego jałówką. Podeszła do drzwi domu i zapukała. Nikt jej nie odpowiedział. Pchnęła drzwi, znów ogarnięta dawnym lękiem. Pamiętała, że w domu była druga butelka brandy.

- Halo! - zawołała. Cisza.

Zajrzała do Rebecki. Jej twarz była napięta, a ciałem wstrząsały dreszcze. Proszę, Boże, jak najszybciej skróć jej męki, pomyślała Lyddie, a potem uświadomiła sobie, że właśnie po raz pierwszy od śmierci Edwarda pomodliła się do Boga.

Lyddie wyszła z izdebki i usłyszała stęknienie dobiegające z południowej izby. Podeszła do drzwi i zobaczyła gołą łydkę, długie, błyszczące udo, pośladek. Cofnęła się.

- Panie Cowett! - zawołała.

Usłyszała chrzęst łusek kukurydzy, skrzypienie lin. Podeszła bliżej do drzwi i zobaczyła, że przykrył się kocem i usiadł, oczy miał szkliste. Zostawiłaby go, żeby się wyspał, gdyby nie kobieta w sąsiedniej izbie.

- Panie Cowett? Źle się pan czuje?

- Tak - wychrypiał.

- Cóż, w takim razie oporządczę pańską żonę i pójdę sobie, żeby pan wydobrzeał.

Zdażyła umyć i ubrać Rebecę, nim pojawił się na progu. Włożył płócienną koszulę, tak spraną, że materiał zrobił się cienki jak gaza, i spłowiąłe bryczesy. Kurczowo trzymał się framugi drzwi i patrzył na swoją wstrząsaną drgawkami żonę.

- Zaczęło się w nocy. Czuwałem przy niej, ale nie mogłem nic zrobić, by jej ulżyć. Patrzeć na coś takiego... - Urwał, bo dostał ataku kaszlu.

Lyddie odwróciła się gwałtownie. Twarz i widoczny pod rozchełstaną koszulą tors Indianina błyszczały od potu.

- Panie Cowett? Coś panu dolega?

- Już mówiłem. - Jego głos był chropowaty jak tępą piłą. Lyddie podeszła do niego i położyła mu dłoń na czole.

- Ma pan gorączkę. Boli pana gardło? Skinął głową i znów zakaszłał. I gra w piersiach.

- Panie Cowett - powiedziała - noc w noc czuwał pan przy żonie, a w dzień pan pracował. Przemęczył się pan i zapadł na zdrowiu. Musi pan teraz odpocząć. Niech pan wraca do łóżka.

Wyjrzał przez okno, oceniając położenie słońca.

- Czekają na mnie ludzie na łodzi.

- Chętnie przekażę im wiadomość. Nie może pan dziś wypłynąć na połów. Jest pan osłabiony. Widzi pan, jak pan stoi?

Rzeczywiście, opierał się o framugę drzwi, a kiedy próbował stanąć samodzielnie, zachwiał się. Lyddie podeszła do niego i ujęła go pod ramię. Pozwolił, żeby zaprowadziła go do kuchni, ale nie dalej. Opadł na krzesło.

- Co mam im powiedzieć? - spytała go Lyddie. Znów spojrział na słońce.

- Proszę powiedzieć Jabezowi Grayowi... Proszę mu powiedzieć, żeby ściągnął swojego bezużytecznego brata i zabrał go ze sobą. Proszę mu

powiedzieć, by oświadczył swemu bratu, że jeśli odmówi, to przyjdę do niego z wiosłem.

- Powiem mu, żeby sprowadził swojego brata.

- Inaczej przyjdę z wiosłem. Proszę mu powtórzyć.

Lyddie poszła do studni po wodę, napełniła nią najmniejszy kociołek i powiesiła nad ogniem. Rozgarnęła żar, dołożyła świeżych polan i poszła do ogródka ziołowego Rebecki. Wykopała korzeń bodziszka, wyrwała kilka młodych cebul, zerwała garść mięty, krwawnika, werbeny, kocimiętki i szałwi.

Wróciła do domu, wrzuciła korzeń i zioła do kociołka, żeby się zagotowały, cebule odłożyła, by zrobić z nich później kataplazm, i udała się na brzeg.

*

Krowa uniosła łeb, kiedy Lyddie ją mijała, a po chwili wróciła do jedzenia siana. Lyddie zeszła drogą nad wodę, która była gładka i biała jak tafla szkła. Jeszcze nie skończono rozładunku szkunera Cobba. Stał na kotwicy, czekając na odpływ. Wypatrzyła Jabeza Graya i trzech pozostałych członków załogi, Simeona Cooke'a oraz dwóch Indian, kręcących się w pobliżu łodzi, spoglądających to na słońce, to na nieruchomą taflę wody.

Lyddie przekazała wiadomość, pomijając tylko część o wiosle, i Jabez Gray poszedł po swojego brata. Kobieta słyszała za sobą dudniące głosy pozostałych mężczyzn, wyłowiała imię swoje i Sama Cowetta; niewątpliwie Jabez Gray też to usłyszał, bo nagle zaczął paplać niczym kuzynka Betsey.

- A więc, wdowo Berry, jak sobie pani radzi ostatnio? Sądzę, że całkiem dobrze. Jeśli o mnie chodzi, to muszę powiedzieć, że tak sobie. A wszystko przez wiatr. A jest go albo za dużo, albo za mało. Albo stoimy w miejscu, albo niemal wywraca łódź, a sytuacja zmienia się w ciągu jednej... -

Nagle urwał, niewątpliwie myśląc, tak jak Lyddie, o innym zbyt wietrznym dniu, kiedy wywróciła się łódź.

- Panie Gray - zwróciła się do niego Lyddie. - Zdaje się, że jednocześnie pomyśleliśmy o tym samym. Czy mógłby mi pan powiedzieć, co spotkało mojego męża?

Gray odwrócił wzrok, chrząknął i splunął. Nie patrząc na nią, zaczął:

- Jego łódź się wywróciła, wdowo Berry. Jego łódź się wywróciła, jak każda łódź może się wywrócić, wystarczy gwałtowny podmuch wiatru i wysoka fala, łódź się wywraca i człowiek wypada za burtę. Widzieliśmy, jak jego łódź się wywróciła. Sam Cowett stał za sterem, natychmiast podpłynęliśmy, znaleźliśmy się obok nich w ułamku sekundy. Rzuciliśmy linę i wyłowiliśmy ich jednego po drugim, wszystkich z wyjątkiem pani męża, wdowo Berry. Wszystkich z wyjątkiem pani męża. Sam Cowett w końcu zanurzył w wodzie wiosło, narażając nas wszystkich na pewne niebezpieczeństwo, pani mąż uchwycił się wiosła i Sam przyholował go całkiem blisko, ale potem nie wiem, co się stało, wdowo Berry. Po prostu nie wiem. Wydawało się, że go ma. Wydawało się, że mocno go trzyma. Ten Indianin jest duży i silny jak wół. Wyciągnął rękę i złapał pani męża za kurtkę. Wyciągnął go z wody i widziałem, jak Edward oddycha, widziałem, jak porusza się jego klatka piersiowa. Był ranny w głowę, wdowo Berry, ale żył. Oddychał. Odwróciłem się, żeby naprowadzić naszą łódź na kurs, a kiedy znów spojrzałem, już nie zobaczyłem pani męża, wdowo Berry. To wszystko, co mogę pani powiedzieć. Pochłonęła go woda.

Ruszyli dalej, milcząc, aż dotarli do domu Cowetta, gdzie się rozstali, Jabez Gray poszedł do wioski, a Lyddie skręciła ku drzwiom. W domu pachniało miętą, szałwią i chorobą. Pomyślała, co by się stało, gdyby mąż umarł przed żoną, i doszła do wniosku, że niewiele by to zmieniło, bo nadal

opiekowałyby się Rebeccą, póki biedaczka by nie umarła, co już pewnikiem niebawem nastąpi. Ale co będzie, jeśli żona umrze, kiedy jej mąż jest taki chory? Bała się tego, bo знаła to z własnego doświadczenia, wiedziała, jaka silna jest pokusa, by się poddać, kiedy człowiek zostaje sam jak palec.

Przypomniała sobie słowa Indianina. Nie mam nikogo poza nią. Zdumiała ją jego wypowiedź. Dlaczego? Bo jest Indianinem, a ciemnoskórzy nie potrafią tak opłakiwać zmarłych jak biali? Czy ponieważ jest mężczyzną, a mężczyzna nie jest tak bardzo uzależniony od kobiety, jak kobieta jest uzależniona od mężczyzny na mocy prawa i zwyczaju? Czy też dlatego, że jest Samem Cowettem i robi to, na co ma ochotę?

W domu panowała cisza. Lyddie podeszła wolno najpierw do jednych drzwi, potem do drugich. Oboje chorzy z zamkniętymi oczami leżeli na łóżkach. Miała wolną chwilę, by zastanowić się nad swoim położeniem. Oto jest sama, opiekując się dwojgiem ludzi, obok których mieszkała, ale o których niewiele wiedziała jeszcze miesiąc temu. W pewnej chwili Sam Cowett uniósł powieki.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Pan Gray zrobił to, o co go pan poprosił.

- Na razie.

Lyddie naląła do kubka herbatki ziołowej i podała mu ją. Wróciła do kuchni i pokroiła cebulę, by obłożyć nią jego stopy, co wyciągnie gorączkę.

Kiedy owijała mu nogi, powiedział:

- Będę musiał pani teraz zapłacić podwójnie.

- Nie ma różnicy, czy się pielęgnuje jednego chorego, czy dwoje.

- Niech pani korzysta z okazji, póki pani jeszcze może.

- To znaczy z pańskiej choroby? Nie mam takiego zamiaru, panie Cowett.

- W takim razie jest pani inna od swoich przodków.

- Od moich przodków?

- Kiedy pojawiliście się tutaj wy, Anglicy, uznaliśmy, że przywieźliście choroby w swoich sakach i wypuściliście je, byśmy powymierali. Potem doszliśmy do wniosku, że ma to związek z waszym bogiem, który musi być potężniejszy od naszych bogów, skoro może z taką łatwością uśmiercić tylu ludzi, by zrobić miejsce dla swoich wyznawców. - Cowett dostał ataku kaszlu.

Kiedy minął mu atak, Lyddie zapytała:

- Skoro wasi przodkowie tak myśleli, dlaczego pomagali moim przodkom, nie szczczędząc trudów?

- Bo wasi mieli strzelby i zbroje. Moi przodkowie chcieli ich użyć przeciwko Narragansettom. Aż zdobyli tak dużo broni, że postanowili przepędzić waszych. Ale im się nie udało.

- Nazywa ich pan swoimi przodkami, panie Cowett, a przecież Indianie z półwyspu Cod nie walczyli z Anglikami.

- Ponieważ Anglicy sprowadzili kaznodziejów, którzy nam powiedzieli, że ich bóg jest naszym bogiem i kieruje zarówno ich losem, jak i naszym. Moja żona wierzyła w to. I nadal wierzy. Po śmierci pójdzie do waszego nieba.

- A pan nie?

- Robię, co chcę. Biorę to, co niesie mi los, lub nie. Nie przejmuję się tym.

Lyddie wydało się to niepozbawione sensu, a jednak się wzdrygnęła. Cowett dopił ziółka. Lyddie wzięła od niego kubek i wstała, żeby odejść, ale zatrzymał ją.

- Nie mówię tego bez przyczyny, wdowo Berry. Mam prośbę. Jeśli umrę...

- Nie umrze pan, panie Cowett.

- Jeśli umrę przed nią...

- Będę się opiekowała pańską żoną, panie Cowett.

Tylko machnął ręką, słysząc te słowa, jakby o tym wiedział i bez pytania.

- Chciała być pochowana na waszym cmentarzu. Dopilnuje pani tego?

- Dopilnuję. Ale uznam to za złośliwość z pana strony, jeśli nadal specjalnie będzie pan narażał na szwank swoje zdrowie tylko po to, by na koniec zostawić mnie z całym tym kłopotem na głowie. Proszę się teraz położyć spać.

Zamrugnął powiekami i zamknął oczy.

*

Sam Cowett zasypiał i budził się, przez sen mówiąc o żonie, cmentarzu, kuzynie - Indianinie. Dwa razy usłyszała imię Edwarda, raz wykrzyczał je gwałtownie, raz wyszeptał.

Ale wkrótce po brzasku, kiedy Jabez Gray wstąpił po drodze nad morze, był przytomny. Gray nie zdradził swojego zaskoczenia na widok Lyddie w domu Indianina o tak wczesnej porze i pospieszył do pokoju Cowetta. Lyddie słyszała strzępki relacji Graya i poleceń Indianina. Podniosło ją na duchu, że głos Indianina jest taki silny.

Tylko jego umysł pozostał słaby. Tak się przynajmniej Lyddie wydawało, bo za każdym razem, kiedy zaglądała do jego pokoju, cofał się coraz bardziej w czasie, aż w południe znów zaczął mówić o ich przodkach, co wywoływało u niego wielkie wzburzenie. W końcu Lyddie, pragnąc zmienić temat, spytała, dlaczego jedni Indianie pozostali w tuerus nad

stawami, podczas gdy inni, jak chociażby on, przeprowadzili się do takich samych domów, w jakich mieszkali Anglicy.

Ale Cowett miał trudności z udzieleniem odpowiedzi również na to pytanie i po jakimś czasie Lyddie się zorientowała, że nie tyle stara się znaleźć wyjaśnienie dla niej, ile dla siebie. Zaczął od wymieniania po kolei Indian i tego, jak któremu się powiodło wśród białych; odmalował świat, o którego istnieniu Lyddie do tej pory nie miała pojęcia. Dowiedziała się na przykład, że Hassey, żona Jota, nie była niewolnicą, tylko służącą kontraktową, pół Murzynką, pół Indianką. Dowiedziała się, że matka „białej” pani Hale, babka „białego” Lota Oakleya i prababka wszystkich „białych” Morrisów były w rzeczywistości Indiankami. Czyżby to kolejny powód powolnego zanikania ludności indiańskiej? Lyddie zauważyła jednak, że Cowett nie przedstawił ani jednego przykładu Indianina, który poślubiłby Angielkę.

Nazajutrz Lyddie stwierdziła, że posłanie Sama Cowetta jest mokre, gorączka Indianinowi opadła, był na tyle silny, by bez pomocy pójść do izdebki żony. Spojrzał na jej wycieńczone, wstrząsane dreszczami ciało, nasłuchiwał jej płytkich oddechów i tyle uczuć przebiegło przez jego twarz, że Lyddie miała pewne trudności, by za nimi nadążyć: szok, obrzydzenie, ulga, że wciąż żyje, współczucie, że wciąż żyje, a na koniec ślepy gniew. Odwrócił się, wyrwał się Lyddie, poszedł do kuchni i walnął pięścią w stół.

- Dlaczego wasz bóg jej nie zabiera? - krzyknął. - Dlaczego zadawała sobie tyle trudu, by w niego wierzyć, skoro on w ogóle nie przejmuje się jej losem?

- Sama zadaję sobie to pytanie - powiedziała Lyddie. - Wiem jedynie, że...

Odwrócił się do niej.

- Proszę iść do domu. Proszę nas zostawić. Nie jest mi pani teraz potrzebna. Może nie jestem wystarczająco zdrowy, by łowić ryby, ale mam dość sił, żeby się nią zająć.

Lyddie uznała, że nie ma innego wyjścia, tylko spełnić jego życzenie.

Najpierw poszła na łąkę po krowę, a potem przez las do siebie. Po dwóch dniach nieobecności bardzo się ucieszyła na widok własnego domu, nawet bez dymu unoszącego się z komina. Zaprowadziła krowę do obory, dobrze ją napoiła, otworzyła drzwi do domu i stanęła jak wryta.

Izbę ogołociono ze wszystkiego.

25

Albo prawie ze wszystkiego. Lyddie natychmiast się domyśliła, czyja to sprawa, kiedy zobaczyła, co zostało - garnek, kociołek żelazna patelnia na nóżkach, trójnóg, noże, łyżki, dzieża do ciasta, solniczka, szufla i szczytce, cynowe talerze, naczynia ceramiczne, lichtarze, drewniane cebrzyki, duży kołowrót, mały kołowrotek, gręplarka, czochra, pudełko na

przybory do szycia, nożyczki, kanki na mleko, formy do sera, maselnica, dwa łóżka, przyrząd do naciągania lin, cała pościel, toaletka, komoda - wszystko, co wniosła Edwardowi w posagu. Nie było stołu i krzeseł w kuchni, kredensu, biurka i krzesła Edwarda, a także pióra i kałamarza, stolika, świecznika, krzeseł, stołu i komody w izbie paradnej. Nathan musiał mieć w ręku spis i ściśle się go trzymać, zostawił jej posag, a wszystkie pozostałe sprzęty zabrał, co do jednego.

Lyddie stała w kuchni i spoglądała na pustą izbę, zastanawiając się, jaki człowiek przez zwykłą złośliwość zabiera rzeczy, na które nie ma miejsca i które nie są mu potrzebne, ale potem przyszła jej do głowy inna myśl. Nathan Clarke chciał, by wyniosła się z tego domu, żeby mógł go sprzedać. Najszybszym sposobem wykurzenia jej stąd było zagłodzenie jej, a najszybszym sposobem zagłodzenia - zabranie wszystkiego, co mogłaby wymienić lub sprzedać. Rozejrzała się dookoła. Niebawem będzie się musiała poddać.

*

Lyddie spędziła dzień, starając się najlepiej, jak potrafiła, umeblować dom. Przyniosła ze stodoły dwie stare beczki, zniosła ze strychu kilka desek i zrobiła z tego stół. Wyszukała stare skrzynki, by ustawić w nich naczynia, postawiła balię do góry dnem, by służyła jej za krzesło. Przerwała pracę, kiedy światło złagodniało, i zjadła resztki puddingu. Kiedy odstawiała pustą miskę, ogarnął ją lęk. Jeśli Indianin mówił poważnie i już nie potrzebuje jej pomocy, na jak długo starczy Lyddie tych kilka monet? Pomyślała wtedy o Ebenie Freemanie i jego ostatniej wizycie. Ciekawa była, czy słyszał, że zabrała swoją krowę, i jak to przyjął. Uznała, że niezbyt zaprzętał sobie głowę jej sprawami. Ale nie rozmyślała zbyt długo co o tym wszystkim sądził Freeman. Była wyczerpana psychicznie i fizycznie. Powłokła się do

swojego pokoju, zdjęła buty i pończochy, odwiązała spódnicę, padła na łóżko i zasnęła, nim zaczęła się czymkolwiek zamartwiać, białymi czy Indianami.

*

Lyddie przespalała poranne trele ptaków i pierwszy brzask; po przebudzeniu wielce ją zaskoczyła jasność dnia i to, jak ją ona podniosła na duchu. Od razu pomyślała o Samie Cowecie. Naturalnie musi do niego pójść, żeby zobaczyć, jak sobie radzi, bez względu na to, czy jej zapłaci czy nie, czy będzie ją chciał widzieć czy nie. Bardzo możliwe, że popadł w stan znacznie gorszy od tego, w jakim go zostawiła, i jego żona pozbawiona jest opieki. Jedząc i ubierając się, myślała, co powiedzieć, by nie rozzłościć Indianina. Ale w miarę spożywania posiłku narastał w niej gniew. Pójdzie tam i zaproponuje to, co zaproponowałyby każda chrześcijanka. Jeśli Cowett znów odtrąci jej pomocną dłoń, odejdzie tak, jak przyszła, i niech oboje idą do diabła.

Zbyt energicznie zapukała do drzwi; otworzył jej z nieprzeniknioną miną. Postanowiwszy sobie, że nie da mu się zastraszyć, niemal zaczęła na niego krzyczeć.

- Przyszłam zobaczyć, jak się czujecie. Jak ona się czuje. Nie jako pielęgniarka, ale sąsiadka. Czy wpuści mnie pan, czy też z sąsiadami także postanowił pan zerwać stosunki?

Stał bez ruchu, przyglądając się jej. Lyddie postanowiła, że policzy do trzech i odejdzie, ale kiedy doszła do „dwa”, cofnął się i wskazał ręką w kierunku izdebki swojej żony. Lyddie przeszła przez kuchnię do małego pomieszczenia i spojrzała na łóżko.

Pochowawszy czwórkę dzieci i męża, od razu się zorientowała, co widzi. Otworzyła usta, ale Cowett uniósł rękę.

- Może sobie pani oszczędzić słów i modlitw. Nic dla mnie nie znaczą.

- Chciałam zapytać, czy chce pan, żebym ją przygotowała do pochówku.

Skinął głową. Po chwili powiedział:

- Na waszym cmentarzu.

- Porozmawiam z Dunne'em.

Sama umyła i ubrała zmarłą. Zostawiła Cowetta, stojącego nad ciałem, spoglądającego na nie, jakby to była jakaś wielka układanka, którą uda mu się złożyć z powrotem, jeśli uważnie obejrzy poszczególne elementy.

Lyddie znalazła wielebnego Dunne'a za stodołą, gdzie wykopywał pniak. Jego kamizelka leżała na ziemi, mokra od potu koszula zrobiła się przezroczysta. Zobaczył Lyddie i się uśmiechnął, niewątpliwie zadowolony, że ma okazję, by odłożyć łopatę.

- Wdowa Berry! Ogromnie się cieszę, że panią widzę! Zamierzałem wstąpić do pani na pogawędkę. Martwi mnie kilka spraw... No, no, nic takiego, żeby robić taką wystraszoną minę. Zapraszam do środka na herbatę.

- Mam mało czasu, panie Dunne. Przysłał mnie tu pan Cowett. Jego żona właśnie zmarła.

Pastorowi zrzęda mina, ale Lyddie odniosła wrażenie, że nie tyle z powodu śmierci Rebecki, ile straconej okazji napicia się herbaty. Szybko jednak się zreflektował i jego oblicze przyoblekło się w należną powagę.

- Cóż, w takim razie musimy się za nią pomodlić.

- Jej mąż pragnie czegoś więcej. Chce, by uhonorować jej wiarę i pochować na cmentarzu przykościelnym.

- Naprawdę? Zdziwia mnie. Przypuszczam, że to pani tak na niego wpłynęła, wdowo Berry.

- Nie mam z tym nic wspólnego. Wynika to z jego wielkiej miłości do żony, z jego pragnienia, by spełnić jej życzenie.

Pastor pogardliwie wydał usta.

- Ach tak. Cóż, wolałbym widzieć u niego mniej miłości, a więcej wiary.

- Jest człowiekiem głębokiej wiary, panie Dunne. Chociaż może nie wierzy w to samo, co pan. Czy możemy pochować panią Cowett jutro rano?

Pastor skinął głową.

Lyddie odwróciła się, by odejść.

- Wdowo Berry! Zatrzymała się.

- Słyszę, co ludzie gadają. Pan Bóg też to słyszy. Pan jest z tymi, którzy są z nim.

- Być może - powiedziała Lyddie. -I stąd cały kłopot.

*

Lyddie i Sam Cowett siedzieli przez pierwsze godziny wieczoru po obu stronach umytych zwłok Rebecki Cowett. Lyddie nie zmówiła żadnej modlitwy i uznała, że to najgorszy z jej ostatnich występków. Próbowiła nie raz, nawet zaczęła poruszać ustami, ale potem zrobiła błąd i otworzyła oczy, kiedy usłyszała prychnięcie, dobiegające z naprzeciwka.

- Tak się pani boi nie zmówić modlitwy? - spytał Cowett.

- Nie boję się.

- Boi się pani. Widzę to tak wyraźnie, jakby padało na panią światło wielu lamp. Uważa pani, że jedna tchórzliwa modlitwa ją zbawi? Czy też mizdrzy się pani do swojego boga przez wzgląd na siebie? A może wciąż nie daje pani spokoju los duszy pani męża?

Lyddie wstała i wyszła.

Jasna, niepełna tarcza księżycy wisiła nad laskiem, więc Lyddie mogła iść szybko, ale światło umożliwiło komuś innemu jeszcze szybszy marsz. Wkrótce usłyszała za sobą głos Indianina.

- Wdowo Berry. Nie odwróciła się.

- Wdowo Berry. - Dogonił ją i złapał za ramię, poczuła na skórze jego gorące palce, ale nie wiedziała, czy to ona jest taka zimna, czy on taki rozpalony. - Nie chciałem pani obrazić - powiedział. - Zwłaszcza pani.

- Proszę mnie puścić, panie Cowett.

- Jeśli pani teraz odejdzie, będzie mi bardzo wstyd.

- Nie bardziej, niż mnie jest wstyd za pana.

- Nie chciałem zawstydzić pani ani nikogo. Chciałem jedynie ulżyć pani cierpieniom.

- Raczej sobie.

- To jedno i to samo. I właśnie to wywołuje pani gniew. To jedno i to samo, a uważa pani, że się różnimy.

- Niech pan wraca, by czuwać nad żoną, panie Cowett. To ostatnia rzecz, którą może pan dla niej zrobić.

- Moja żona nie żyje, wdowo Berry. Już zrobiłem dla niej wszystko, co mogłem. I pani mąż nie żyje. Obydwoje przestali się już nami przejmować. Pora, żebyśmy wzięli z nich przykład.

Przybrał taki ton, jakim się zwracał do swej chorej żony, i ten łagodny głos sprawił to, co nie udało się szorstkim słowom. Lyddie poczuła się tak, jakby była zrobiona z rzadkiego ciasta, które może się rozpuścić w wodzie - w wodzie, która wypełniła płuca Edwarda, a teraz, w końcu, popłynęła z jej oczu. Otarła twarz, a Cowett się odwrócił, by mogła się wyplakać bez świadków. Tak przynajmniej początkowo przypuszczała. Ale kiedy się odwracał, w świetle księżycy dostrzegła, że jemu też oczy błyszczą od łez.

Tacy sami?

26

Stali nad grobem z pochylonymi głowami: Lyddie, Eben Freeman z siostrą, dwaj bracia Grayowie, garstka żeglarzy akurat przebywających na łądzie, mała grupka Indian. Wielebny Dunne zmówił modlitwy; grudki ziemi rzucono na trumnę Rebecki; pastor przypomniał im o powinnościach wobec Boga w niedzielę, która wypadła następnego dnia; rozeszli się dwójkami, trójkami, czwórkami, Eben Freeman towarzyszył Lyddie.

- Zdziwiła się pani, że nie przyszedł? - spytał.

- W pierwszej chwili tak - powiedziała Lyddie. - Ale po zastanowieniu się już nie. Bardzo nie lubił religii swojej żony.

- A jednak pochował ją na cmentarzu.

- Takie było jej życzenie.

Dotarli do drogi; Lyddie spodziewała się, że Freeman skręci w lewo i pójdzie za swoją siostrą, ale skręcił w prawo razem z nią. Spojrzała na niego pytająco.

- Muszę zejść do niego - wyjaśnił. - Mam coś do załatwienia.

- Aha. W takim razie mogę pana prosić, żeby mu pan przekazał, iż jego żona została pochowana jak należy?

- Naturalnie, że pani może.

Jakiś czas szli w milczeniu, nim powiedział:

- Zdaje się, że się zaprzyjaźniliście.

- Zostaliśmy dobrymi sąsiadami - odparła, ale w jej własnych uszach zabrzmiało to jakoś nieprzekonująco. Fałszywie. -I przyjaciółmi.

- Wdowo Berry, proszę mi wybaczyć. Może dmucham na zimne, zamierzając pani o tym powiedzieć, ale wiem co nieco o stylu życia tego Indianina, a ponieważ nikt inny nie może pani służyć radą...

- Zostałam dobrze poinformowana o jego pociągu do alkoholu.

- Do alkoholu, tak, i... nie tylko. Przestrzegam panią przed... Nie wiem, jak to powiedzieć... Wdowo Berry, kiedy kobieta nazywa siebie przyjaciółką takiego mężczyzny, naraża się na pewne niebezpieczeństwo. Z pewnością rozumie pani, co mam na myśli.

- Owszem. I dziękuję panu za przestrogi, panie Freeman. W przeciwnym razie, jak pan powiedział, zdana byłabym wyłącznie na siebie. Freeman przystanął gwałtownie na środku drogi.

- Przepraszam, wdowo Berry, nie chciałem sugerować, że... - Znów zabrakło mu słów. Ruszyli w milczeniu. W końcu powiedział: - Chciałbym zamienić z panią słówko na inny temat, jeśli pani pozwoli.

- Naturalnie.

- Nieco posunąłem sprawę naprzód, wdowo Berry.

- Jaką sprawę?

- Pani.

- Moją!

- Tak. Przygotowałem dokumenty i pani zięć wkrótce otrzyma wezwanie do sądu.

- Nie rozumiem. Przygotował pan dokumenty w moim imieniu?

- W rzeczy samej.

- Przecież pana nie wynajęłam. O nic pana nie prosiłam. Niczego nie oczekiwałam.

- A przecież coś się pani należy, wdowo Berry. Wezwę go przed sąd za pogwałcenie warunków ostatniej woli pani męża. Jeśli mnie zmusi, będę się domagał, by zrobił to, do czego jest zobowiązany, ale przypuszczam, że kiedy otrzyma dokumenty, sama groźba wystarczy, by spełnił warunki testamentu Edwarda.

- Panie Freeman. - Dotarli do jej domu. Albo miejsce, gdzie się znajdowali, albo ostry ton jej głosu sprawiły, że prawnik znów się zatrzymał, ale ponieważ Lyddie nie zamierzała go zapraszać do swojego ogołoczonego ze sprzętów mieszkania, stali na drodze. - Nie mam pieniędzy na sądy ani temu podobne. Nie mogę sobie pozwolić...

- Proszę się nie niepokoić, wdowo. Jak już wcześniej powiedziałem, pani mąż wynajął mnie...

- Mój mąż nie żyje, panie Freeman. Rozmawia pan teraz ze mną. I proszę mi nie próbować wmawiać, że został pan sownie wynagrodzony w przeszłości za to, co mógłby pan dla mnie zrobić w przyszłości, bo to bzdury...

- Nie będę się sprzeczał, kto mówi większe bzdury, wdowo Berry. Beze mnie nic pani nie wywalczy od Clarke'a. Nie wezmę od pani tych niewielkich pieniędzy, które udało się pani zdobyć od Cowetta dzięki swojemu czarowi osobistemu...

Czarowi osobistemu? Twarz i szyję Lyddie pokrył głęboki rumieniec. Przypomniała sobie kupy, siki i wymiociny, które sprzątała, by zasłużyć na zapłatę, przypomniała sobie gniew, trwogę i samotność, jakie musiała znosić dzień po dniu. Uczciwie zapracowała na wynagrodzenie i dalej będzie w taki sposób zarabiała na życie. Jeśli poradziła sobie jakoś bez Clarke'a, poradzi sobie również bez Freemana.

- Panie Freeman, dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił do tej pory - oświadczyła. - Ale teraz proszę pana, by odtąd przestał pan cokolwiek dla mnie robić.

- Moja droga wdowo...

- Zwalniam pana, panie Freeman. Rezygnuję z pańskich usług. Nie wiem, jak to się fachowo nazywa. Zanim cała okolica zacznie mówić, że „czarem osobistym” wymusiłam na panu jakąkolwiek pomoc. Żegnam pana.

Lyddie poszła do siebie, aż kipiąc ze złości, i złość ta nie opuszczała jej do końca dnia. Ale kiedy zapadła ciemna noc, owładnął ją strach. Przyśniło jej się, że była sama na morzu w łodzi wielorybniczej Edwarda, przycumowanej linami od dziobu i od rufy do jakiejś niewidzialnej skały czy nabrzeża, czy może innego statku. Łódź była jednak na tyle blisko brzegu, że Lyddie widziała tłum, machający do niej i coś wykrzykujący, chociaż nie słyszała, co. Wzięła nóż i po kolei przecięła liny. Spodziewała się, że przyływ skieruje łódź ku brzegowi, ale zerwał się silny wiatr i porwał ją na pełne morze. Ludzie na lądzie stawali się coraz mniejsi, ich nawoływania ucichły. Lyddie pomyślała, by wyskoczyć za burtę i

spróbować dopłynąć do brzegu. Znała ludzi, którzy umieli pływać, ale sama nie opanowała tej sztuki. Postanowiła więc zostać na pokładzie łodzi. Po pewnym czasie druga łódź wielorybnicza odbiła od brzegu i skierowała w jej stronę. Za sterem stał Sam Cowett, sternik, a Shubael Hopkins, Edward i dwaj bracia Gray wiosłowali. Podpłynęli bliżej i Edward krzyknął, żeby skoczyła na pokład ich łodzi, ale nie puścił wiosła, by jej pomóc. Akurat wtedy, kiedy zdecydowała się skoczyć, łódź zboczyła z kursu i Lyddie wpadła do wody. Łódź odpłynęła, ale Sam Cowett wyciągnął wiosło ku niej. Już miała się go chwycić, kiedy uniósł je i z całych sił uderzył ją w głowę. Zanurzała się coraz głębiej, las zielonych wodorostów owinał się wokół jej nóg i wciągał ją jeszcze niżej, a pośród nich siedział Edward i się uśmiechał.

- Wiedziałem, że nie umiesz - powiedział.

- Czego nie umiem? - zapytała.

- Pływać. -I przemienił się w długą, białą istotę z płetwami, pół rybę, pół węża, która wijąc się i poruszając płetwami w wodzie, zniknęła w mroku.

Lyddie obudziła się z bijącym sercem, z trudem chwytając powietrze. Wciąż widziała każdą twarz ze swojego snu, słyszała każde wypowiedziane słowo. Odrzuciła koc i usiadła na skraju łóżka, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Ale wiedziała, że póki będzie pamiętać obrazy sennych majaków, póty się nie uspokoi. Doszła do wniosku, że może szybciej zapomni o koszmarze, kiedy nie będzie siedziała tak bez ruchu. Wstała, przeszła przez kuchnię do tylnych drzwi i wyszła na podwórko. Niebo było czarne jak węgiel, tylko gdzieniegdzie migotała pojedyncza gwiazda. Powietrze pachniało solą. Gdzieś w oddali wył wilk za daleko, by się go bać. Poczwała pod stopami zimne kamienie, zeszła na pokrytą rosą trawę i zrobiło jej się jeszcze zimniej. Mogła już teraz dostrzec na tle nie tak ciemnego

nieba ciemniejszy zarys lasu, stodoły, daszku nad studnią i wygodki. Odwróciła się i zobaczyła czworokąt komina nad pochyłością dachu. Ten obraz świata realnego przyniósł jej pocieszenie. Stała, aż rzeczywistość wyparła z jej umysłu senne mary, wróciła do domu i położyła się do łóżka.

Rano szczegóły snu się zamazały, ale nadal nie opuszczał jej lęk, póki nie przypomniała sobie gniewu i słów, które były jego przyczyną. Tak, jest przyjaciółką Cowetta. I jako przyjaciółka pójdzie zobaczyć, jak jej sąsiad sobie radzi.

Lyddie umyła się, ubrała i poszła, ale nie drogą, tylko na skróty, przez lasek.

Otworzył jej drzwi. Koszula zwisała mu luźno, włosów nie zaplótł w warkoczyk, oczy miał podpuchnięte, ale wiedziała, że nie wyglądał tak z powodu brandy: stracił żonę, Lyddie przyszła wcześniej, żeby zdążyć przed nabożeństwem, był chory, od dawna nie przespał porządnie całej nocy. Na jego twarzy dostrzegła jeszcze coś: ucieszył się i zdziwił na jej widok.

Lyddie rozejrzała się po domu. Panował w nim bałagan: na podłodze leżał stos ubrań, na palenisku poniewierały się skorupy naczyń, stół zastawiony był brudnymi talerzami i miskami. Nie dostrzegła jednak butelki ani kufla.

- Dobrze się pan czuje? - spytała.

- W miarę. - Odwrócił się i zaprosił ją do środka. Odsunął talerze i miski, po czym usiadł ciężko, jakby dopiero co wrócił z długiej wędrówki. Potarł skronie.

Jest zakłopotany czy pragnąłby się napić? - zastanawiała się Lyddie.

Wzięła talerz i miskę i zaniósła je do cebrzyka.

- Wciąż zamierza pani u mnie pracować? - zapytał.

- Niektóre rzeczy robi się bez zapłaty, panie Cowett, w ramach przysługi sąsiedzkiej.

Obserwował ją.

- W takim razie co pani powie, jeśli zapłacę sąsiadce szylinga i sześć pensów za zmywanie naczyń i sprzątanie domu?

Lyddie się uśmiechnęła.

- Zgoda.

Wskazał ubrania na podłodze. Lyddie dopiero teraz zobaczyła, że należały do Rebecki.

- To też może pani zabrać.

Wziął z półki puszkę, wyjął z niej monety, położył na stole, złapał swój brezentowy worek i wyszedł.

Lyddie najpierw poskładała ubrania i wsadziła je do dwóch worków: dwie koszule, dwie halki, trzy fartuchy, cztery pary pończoch, dwie spódnice, dwie flanelowe suknie, batyst, perkal, wełniany szal, trzewiki, pantofle, mitenki, rękawiczki - wszystko zgodne z angielską modą, niczym nieróżniące się od tych, które miała Lyddie. Sprzątnęła ze stołu, zmyła naczynia, zamiotła potłuczone skorupy i wyszła, żeby je wyrzucić na kupę gnoju. Na samym wierzchu stosu muszli i kości leżały inne pozostałości po Rebecce: prawie pusta puszka jakiegoś balsamu, rozdarta chusteczka, dziurawe pończochy, pusta buteleczka po laudanum. Wszystko to świadczyło o staraniach Indianina, by pozbyć się tego, co mogłoby mu przypominać o żonie. Tak, pomyślała Lyddie, Sam Cowett zostawi zmarłych w spokoju.

Lyddie wróciła do domu, by zabrać swoją zapłatę, i dopiero kiedy poczuła w dłoni monety, przypomniała sobie: nie tylko nie poszła na nabożeństwo, ale jeszcze pracowała w niedzielę.

Wzięła worki i udała się do siebie. Wsadziła ubrania Rebecki na samo dno komody, w której trzymała odzież. Wyjęła monety z kieszeni i pomaszerowała do izby paradnej, do biurka Edwarda. Dopiero wtedy sobie uświadomiła, że biurko zabrano, a razem z nim pieniądze, które schowała w jego szufladzie.

27

Pokonując krótki odcinek dzielący jej dom od domostwa Nathana, Lyddie nie widziała drogi ani drzew, ani domów, ani nieba; nie widziała nic poza szarym murem gniewu przed oczami, dopóki nie znalazła się przed domem zięcia. Zastukała do drzwi. Otworzyła jej Hassey. Lyddie przyglądała jej się tylko tak długo, by dostrzec to, co mogła zauważyć już wcześniej: zamiast mahoniowej skóry - ciemnobrązową, zamiast płaskiego, szerokiego nosa - wąski, haczykowaty, zamiast łagodnych, brązowych oczu - czarne, błyszczące.

- Chcę się zobaczyć z moim zięciem - powiedziała Lyddie. Hassey przepuściła ją bez słowa.

Lyddie weszła do środka. Rodzina siedziała w paradnej izbie, Nathan czytał na głos Biblię. Lyddie zobaczyła sterczący brzuch Mehitable i nie mogła od niego oderwać wzroku. Nathan zatrzasnął książkę i wstał.

- Czy nie wyraziłem się jasno? Nie jest tu matka mile widzianym gościem.

- Nie przyszedłem tu w gości. Przyszedłem po siedem szylingów i sześć pensów, zabranych mi razem z biurkiem Edwarda. Były w szufladzie.

- W szufladzie niczego nie było.

- W takim razie pozwól, zięciu, by bystrzejsze oczy poszukały monet, bo z całą pewnością tam były.

- Dobrze, matko, sprawdzę jeszcze raz, jeśli tego chcesz. - Nathan opuścił izbę.

Lyddie zwróciła się do córki:

- Dobrze się czujesz?

- Tak jak widzisz. - Spuściła wzrok, a potem spojrzała na nią. - A ty, matko?

- Nie jestem nieszczęśliwa. Chciałabym tylko... Wrócił Nathan i wręczył Lyddie teczkę z listami.

- Z twoich rzeczy znalazłem tylko to, matko.

- W szufladzie było siedem szylingów i sześć pensów. W mieszku z brązowej skóry, z białym koralikiem na sznureczku.

- Przykro mi, ale nie znalazłem pieniędzy. Może ten matki sąsiad...

- Dostałam je od mojego sąsiada. To była zapłata za opiekę nad chorą. Możesz sobie wziąć biurko, krzesło i kredens, ale nie wolno ci brać tego, co zarobiłam, pielęgnując chorą.

- Ciekawe. Zastanawiam się, jak to regulują przepisy prawa. Gdyby ojciec żył, zarobione przez matkę pieniądze należałyby do niego, ale skoro na mnie ciąży obowiązek karmienia matki i ubierania, jeśli masz jakieś dochody...

- Mój mąż nie żyje, panie Clarke, a jak wszyscy dobrze wiemy, ani mnie nie żywisz, ani nie ubierasz. Te pieniądze są moje.

- Może Jot... - zaczęła Mehitable.

- To na pewno nie Jot - przerwała jej Lyddie. - Spójrz na uśmiezek swojego męża, a zobaczysz w nim każdy mój pens.

- Żegnam, matko - powiedział Nathan. Podszedł do swojego krzesła, wziął z niego Biblię i usiadł.

- Nie spodziewałam się tego - oświadczyła Lyddie. - Naprawdę się nie spodziewałam, że okradniesz matkę swojej żony i będziesz się kpiąco uśmiechał w obecności jej i swoich dzieci. Przykro mi, naprawdę bardzo mi przykro, że takiemu ojcu, jak ty, urodzi się kolejne dziecko.

- Och! - zawołała Mehitable. - Matko, jak możesz?

- Moje panie, proszę! - powiedział Nathan. Odwrócił strony Biblii. - Czytaliśmy Księgę Izajasza, ale chyba możemy teraz coś przeczytać ze świętego Pawła. „Kobiety mają na tych zgromadzeniach milczeć”. Mogę dodać: „Kobiety mają milczeć przez całą niedzielę”. Lyddie zwróciła się do Mehitable.

- Córkko, powiem ci tylko tyle: nie winię ciebie za jego postępowanie i proszę cię, żebyś ty nie winiła mnie za jego czyny.

Wyszła z izby i opuściła ich dom, po czym skierowała się na drogę. Usłyszała za sobą kroki i się odwróciła, łudziła się, że zobaczy Mehitable. Ale to Bethiah biegła ku niej. Lyddie złapała ją i mocno przytuliła. Dziewczynka wyrwała się jej i zniknęła, jakby w ogóle jej tu nie było.

*

Pośrodku prowizorycznego stołu stał kubek z szylingiem i sześcioma pensami. Wokół niego Lyddie kładła to wszystko, co mogłaby sprzedać: biały półmisek, dwa szylingi; cynowy talerz, dziesięć szylingów; brązowy

kubek, jeden szyling; imbryk do herbaty, jeden szyling i sześć pensów... Lyddie przerwała swoje zajęcie. Mogła sprzedać wszystko, co miała, jeść ze stołu, pić z trzewika, a i tak pieniądze szybciej się skończą, niż ona umrze. Koniec końców będzie musiała jakoś zacząć zarabiać na życie, więc czemu nie zrobić tego od zaraz i zatrzymać swój dobytek?

Zarabiać na życie. Pomyślała o znanych sobie kobietach, które się na to zdecydowały: wdowa Baker prowadziła karczmę, ale Lyddie wyobraziła sobie reakcję Nathana Clarke'a, gdyby w tym celu wykorzystwała jego dwie trzecie domu. Wdowa Crosby w Eastham prowadziła tawernę, ale tylko dlatego, że robił to też jej mąż; kiedy umarł, radni pozwolili jej się tym zajmować, póki kilka miesięcy później nie poślubiła swojego najlepszego klienta. Teraz on prowadził interes, a ona tylko usługiwała gościom. Wdowa Selew, której mąż w testamencie pozwolił do końca życia korzystać z całego domu, urządziła sklep w izbie od frontu, ale żeby otworzyć sklep, trzeba najpierw mieć pieniądze na zakup towaru. Inne samotne kobiety w mieście, wdowy i stare panny, mieszkały przy swoich rodzinach i zarabiałały na życie przedzeniem, tkaniem albo opieką nad chorymi, ale Mehitable nie prosiła Lyddie o takie przysługi, a przy cenie funta wełny w sklepie Searsa, wynoszącej szylinga i cztery pensy, Lyddie musiałaby przeznaczyć na jej zakup wszystkie swoje pieniądze, by zgręplować wełnę, uprząść ją, zrobić z niej na drutach parę mitenek w nadziei, że uda jej się je sprzedać za dwa szylingi. Położyła się do łóżka, nie posunąwszy się ani trochę naprzód, a prawdę mówiąc, cofnąwszy się znacznie w porównaniu z tym, gdzie była rankiem.

*

Lyddie obudził słony zapach łach podczas odpływu. Dokuczliwy głód sprawił, że pozbyła się resztek dumy. Włożyła swoją najbardziej znoszoną

spódnicę, wzięła motykę i worek, w którym przyniosła do domu ubrania Rebecki, i udała się na brzeg. Niebo było szare, a plaża zupełnie pusta, na co po cichu liczyła Lyddie. Usiadła na kłodzie wyrzuconej przez morze, zdjęła buty i pończochy, przeciągnęła spódnicę między nogami i wsunęła ją za pasek. Brodziła w wodzie i chodziła po łachach, rozgrzebując dołki, jak najbiedniejsi Indianie. Nie miała pojęcia, jakie stworzenie kryje się w jakiej jamce, ale po dwudziestu minutach wygrzebała z piasku sześć małży na obiad. Wyprostowała się i zobaczyła, że woda szybko przybrała wokół łachy. Żeby teraz dotrzeć na brzeg, Lyddie musiała przejść przez wodę sięgającą jej do ud. Weszła do wody. Silny prąd szarpnął jej podkasaną spódnicą, materiał wydał się na podobieństwo włoka. Lyddie straciła równowagę i się przewróciła. Porwał ją prąd, pozbawiając czucia. Woda była zimna i głębsza, niż przypuszczała. Mokre ubranie wciągało ją silniej, jak Edward w wodorostach w jej śnie. Opła się wody. Zaczęła uderzać rękami i na chwilę jej twarz znalazła się nad wodą, by zaraz jeszcze głębiej się zanurzyć. Energiczniej uderzała rękami, ale znów zanurzyła się głębiej. Wiedziała, że to już koniec, koniec wszystkiego, lecz po uldze, trwającej mgnienie oka, odrzuciła taki koniec. Nie umrze przez sześć małży. Nie odejdzie z tego świata, póki się nie przekona, że jej córce nic na nim nie grozi. Nie pozwoli, żeby Nathan Clarke zrobił, co mu się podoba, z domem, który kiedyś był jej.

Usłyszała krzyk od strony brzegu. Zaczęła mocniej uderzać rękami, krzyk stał się głośniejszy. Dzięki niemu odzyskała orientację co do kierunków. Odpoczywając chwilę, zanurzyła się i dotknęła nogą dna. Odbiła się od niego, ale nie zgodnie z prądem wody ani pod prąd, tylko pod pewnym kątem do niego. Znów poczuła dno i znów się odbiła, aż pokonała głęboki odcinek.

Sam Cowett i Jabez Gray z trudem brnęli przez wodę w jej stronę.

- Przecież to wdowa! - zdziwił się Cowett.

- Jasna cholera! - zaklął Gray. Ujęli ją pod ramiona i wyciągnęli na brzeg. Opadła na tę samą kłodę, na której poprzednio przysiadła. Owinęli ją w jakieś worki, które znaleźli na łodzi, i zasypali pytaniami. Jak długo była w wodzie? Czy skostniała z zimna? Czy opiała się wody? Czy może iść?

Ale ani jeden, ani drugi nie zapytał jej, co robiła w wodzie.

Lyddie wyłoniła się ze swojego pokoju ubrana we flanelową suknię i wełniane pończochy, włosy spływały jej na plecy jak wodorosty. Jabez Gray już poszedł, Sam Cowett siedział na beczce i przyglądał się przedmiotom leżącym na stole.

Zaproponowała mu herbatę i chleb, ale podziękował. Czują głód, ale przede wszystkim była wyczerpana. Wstał, a ona ciężko usiadła na beczce. Cowett rozejrzał się i zobaczył na skrzyni, postawionej do góry dnem, butelkę brandy. Wysypał monety z kubka, nalał sporą miarkę alkoholu i podał Lyddie. Pociągnęła jeden łyk, potem drugi.

- Jeśli myśli pan, że rzuciłam się do morza za mężem, to się pan myli - powiedziała. - Wybrałam się na małże. Zajrzałam do każdej jamki, ale znalazłam tylko sześć.

Cowett podszedł do kuchni, wziął łopatę piekarską, wygładził warstewkę popiołu i narysował coś, co przypominało dziurkę od klucza.

- Musi pani szukać takich jamek.

- Dziękuję. Zapamiętam na przyszłość.

- I proszę pamiętać o przyływach. Teraz są kwadraturowe. To nie najlepsza pora na zbieranie małży.

Lyddie pociągnęła jeszcze jeden łyk brandy. Zaczęła się rozgrzewać w środku, ale nie na zewnątrz.

- Zamierza pan tu zostać? - zapytała.
- Póki pani skóra nie nabierze normalnego koloru.
- To może pan sprawdzi, czy w stodole nie ma jeszcze jednej beczułki.

Wyszedł i nie było go jakiś czas. Kiedy wrócił, na każdym ramieniu dźwigał krzesło z oparciem.

- Nie są mi potrzebne. Potrzebna mi kobieta do gotowania i sprzątania.
- W zamian za dwa krzesła?
- Krzesła pani pożyczam. Za gotowanie i sprzątanie zapłacę szylinga

dziennie.

Ktoś zastukał do drzwi. Cowett wstał i je otworzył. Diakon Smalley cofnął się, zaskoczony. Cowett spojrzał na Lyddie.

- Co pani na to, wdowo Berry? Proponuję szylinga dziennie za wyszykowanie mnie rano do pracy.

- Zgoda - powiedziała Lyddie. Cowett wyszedł.

Diakon patrzył za nim, a potem spojrzał na Lyddie.

- A więc wciąż pani u niego pracuje.

- Tak, bo muszę coś jeść.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, zauważył butelkę brandy na stole i przyjrzał się uważniej Lyddie.

- Jest pani chora?

- Przemokłam. Dziś rano spotkała mnie na brzegu niemiła przygoda. Proszę usiąść, panie Smalley. Napije się pan herbaty?

- Nie, dziękuję. Przyszedłem z polecenia pastora. Nie była pani na nabożeństwie.

- Nie. Zatrzymały mnie inne sprawy.

- Już kilka razy opuściła pani nabożeństwa, wdowo Berry.

- To prawda.

- My... pastor, ja i pozostali ojcowie kościoła... Bardzo się martwimy pani prowadzeniem się, wdowo Berry.

- Jeśli wasza troska ogranicza się do tego, że nie byłam na nabożeństwie...

- Dotyczy nabożeństw, dotyczy pani braku szacunku dla zięcia, dotyczy pani znajomości z tym Indianinem.

Lyddie odstawiła kubek. Poczowała, że jest wystarczająco rozgrzana, i to wcale nie za sprawą brandy.

- Może pan powtórzyć ojcom kościoła, że udzielił mi pan ostrej reprimendy, jeśli chodzi o nieobecność na nabożeństwach. W przyszłości postaram się ich nie opuszczać. Może im pan powtórzyć, że skoro zainteresowali się moim brakiem szacunku dla mojego zięcia, to niech jednocześnie się zainteresują tym, że nie honoruje swoich obowiązków wobec mnie. Może im pan powtórzyć, że moja znajomość z Indianinem to nie ich interes. Czy jeszcze coś?

- O tak, i to bardzo dużo. Naraża się pani na wielkie niebezpieczeństwo w tym życiu i następnym, jeśli nadal będzie pani żyła bez Boga, jeśli nadal będzie pani trwała w swoim uporze, jeśli nadal będzie się pani zadawała z poganami.

- A ja widzę głównie niebezpieczeństwo śmierci z głodu.

- Może pani w każdej chwili wrócić do zięcia, o ile podpisze pani stosowny dokument. W jego domu może pani jeść do syta. Trzyma panią tutaj wyłącznie duma.

- A więc to nie ojcowie kościoła pana przysłali, tylko pan Clarke? Ależ naturalnie, przecież chciał pan kupić ten dom dla swojej córki. Cieszyłby się pan, gdyby mieszkała tak blisko pana, prawda?

- Moje interesy z Clarkiem to nie pani sprawa.

- Tak samo, jak moje interesy z nim to nie pańska sprawa. I moje interesy z panem Cowettem.

- Jestem diakonem. Przyszedłem tutaj wczesnym rankiem, drzwi otworzył mi pan Cowett, jakby był u siebie, a pani przebywała w jego obecności w nader swobodnym stroju.

Lyddie wstała.

- Przebywam w nader swobodnym stroju, jak to pan określił, również w pana obecności. Lepiej, jak pan sobie stąd pójdzie, zanim to też rozniesie się po okolicy.

Na twarzy diakona pojawił się ciemny rumieniec.

- Ostrzegłem panią, wdowo Berry. Wyszedł bez pożegnania.

Lyddie naląła sobie jeszcze brandy i się napiła.

28

Lyddie gotowała Indianinowi potrawki, piekła pierogi i chleb, zamiatała podłogi i zmywała naczynia, karmiła kury w zamian za jajka, zaproponowała, że zreperuje mu ubrania w zamian za trzy nioski, a za pranie dodatkowo liczyła sobie szylinga i sześć pensów. Wizyta diakona wywołała odwrotny skutek do zamierzonego; w ogóle przestała chodzić do domu modlitwy, ale nie pracowała w niedziele, aż w którąś sobotę Cowett powiedział. „Zapłacę pani dodatkowo dwa szylingi, jeśli przyjdzie pani jutro”. Lyddie wyraziła zgodę i czuła się jedynie bogatsza o dwa szylingi.

Mijały dni i tygodnie, minął maj i nadszedł czerwiec. Zakwitły kaliny. Truskawki zrobiły się czerwone. Przyszedł Eben Freeman. Stojąc, rozejrzał się, potem usiadł i znów się rozejrzał, po chwili wstał i wyrzucił z siebie gwałtownie:

- Wdowo Berry, musi pani wiedzieć, co gadają ludzie w okolicy.
- Co gadają, panie Freeman?
- Nie domyśla się pani? Nie chodzi pani do domu modlitwy, unika pani rodziny i przyjaciół, od miesiąca z górą zadaje się pani wyłącznie z tym Indianinem, więc uważają... Wielki Boże, cóż innego mogą uważać?
- Naprawdę nie wiem.
- Że pani i ten Indianin... Krążą plotki że nachodzi tu panią...
- Wie pan to od diakona Smalleya?

- Trąbią o tym wszyscy w okolicy! Moja siostra mi mówiła. Młynarz mi mówił. Gadają o tym w tawernie.

- Cóż, w takim razie widocznie to prawda.

- Nic pani nie zrobi, żeby sobie pomóc, wdowo Berry?

- Czego pan ode mnie oczekuje, panie Freeman? Zapewnienia, że nie zległam z Indianinem? Ma je pan. Czy to wystarczy?

Gapił się na nią.

- Bardzo się pani zmieniła, wdowo Berry. Bardzo się pani zmieniła.

Nie wiem, co powiedzieć.

- Ani ja, co powiedzieć panu. I jeśli przysłał tu pana mój zięć, by mnie pan nakłonił do zrezygnowania z pracy u pana Cowetta...

- Miałby mnie tu przysłać pani zięć? Tak mnie pani ocenia?

- A jak mam pana oceniać, panie Freeman, dowiedziawszy się przed chwilą, o co mnie pan podejrzewa?

Umilkł, ale wkrótce znów zaczął mówić, tym razem spokojniej.

- O nic pani nie podejrzewam, wdowo Berry. Zawsze panią szanowałem i nigdy nie mógłbym nic złego o pani pomyśleć. Nie powinienem tak z panią rozmawiać. Przyszedłem jedynie, żeby panią ostrzec przed ich złymi zamiarami.

- Cóż mogą mi zrobić? Chyba że mi zakażą zadawać się z panem Cowettem, jedyną osobą, która mnie zatrudniła.

- Nie rozumie pani? Gdyby zrezygnowała pani z pracy, wytrąciłaby im pani oręż z ręki. Są inne sposoby, by miała pani z czego żyć. Jeśli mi pani pozwoli, bym na drodze sądowej zmusił pana Clarke'a do łożenia na pani utrzymanie...

- I pozostać pana dłużniczką, a co miesiąc wyklócać się z Clarkiem o należne mi drewno na opał i żyto? Już pan zapomniał? Sam mi pan opisał, jak by to wyglądało.

- Nie ma pani innego wyjścia.

- Mogę pracować u pana Cowetta. I wolę liczyć na Cowetta, niż na Clarke'a.

- Liczyć na Cowetta! Nie zna pani tego człowieka. Nie wie pani, czym się kieruje. Chowa stare i nowe urazy. Pozwala, by nim rządziły.

- A ja uważałam pana za jego przyjaciela.

- On nie ma tutaj przyjaciół.

- W takim razie jest nas dwoje.

- Mnie to pani mówi?

Lyddie nic nie odpowiedziała. Freeman wstał.

- Moja siostra czeka na relację o pani położeniu. Nie będzie ona wesola. Widzę teraz, że pozwoliła pani Indianinowi, by sprowadził panią na złą drogę. Tak czy inaczej, wywiera na panią zgubny wpływ. Żegnam panią, wdowo Berry.

- Do widzenia, panie Freeman.

Kiedy wyszedł, Lyddie siedziała, na poły zawstydzona, na poły rozsierdzona, wstyd napędzał gniew, oba te uczucia zmagaly się w niej. Toczyła wewnętrzną walkę. Czy Freeman naprawdę był jej przyjacielem? Jaką musi mieć o niej nędzną opinię, skoro powiedział to, co powiedział, o Cowecie? Ale jego wcześniejsza troska i stawanie w jej obronie? Nawet dziś: usłyszał, co o niej gadają w okolicy, ale zamiast w to uwierzyć i trzymać się od niej z daleka, przyszedł, żeby ją ostrzec. A może częściowo uwierzył i pojawił się u niej, by usłyszeć, jak temu zaprzecza? Nawet jeśli tak, sam fakt, że ją odwiedził, świadczył, że ma więcej odwagi od innych,

łącznie z jej córką. A skoro już mowa o Mehitable, jakie ona zajmowała stanowisko w tej sprawie? Już raz uwierzyła mężowi, a nie jej. Lyddie nie miała podstaw, by zakładać, że teraz jest inaczej. Ale po tej ostatniej wizycie Ebena Freemana może głupotą z jej strony jest mu wierzyć. Lyddie ze zdumieniem stwierdziła, że ta druga konstatacja sprawiła jej niemal taki sam ból, jak pierwsza.

Lyddie ponownie poszła do Cowetta zebrać pranie, które zostawiła na trawie, by słońce je wybieliło. Indianin właśnie wrócił z połowów, weszła więc za nim do domu, żeby mu przygotować kolację. Długie, złote snopy światła słonecznego wpadły za nią przez drzwi i rozświetliły wyszorowaną podłogę. Zapach sasafrasu, nie sasafrasu był wyjątkowo silny i Lyddie stwierdziła, że działa na nią uspokajająco. Cowett opowiadał o pięknym dniu na morzu i nadziejach, jakie wiązał z jutrem. Kiedy odłożył swój worek, spojrzął na nią raz, a potem drugi.

- Dobrze się pani czuje?

Lyddie skinęła głową. Postawiła na stole pieróg z mięsem.

Cowett wskazał jedzenie.

- Zje pani ze mną?

Lyddie skorzystała z zaproszenia.

*

Kilkakrotnie przyjmowała zaproszenie do wspólnego zjedzenia kolacji. Przez kilka tygodni jadła, sprzątała po posiłku i zaraz potem wychodziła. Ale pewnego wieczoru pod koniec czerwca ociągała się z wyjściem. Rozmawiali o Indianach. Spytała go o indiańskich bogów. I jego odpowiedź oczarowała ją. Dwoma największymi byli Kiehtan i Hobamock, pierwszy z nich był bóstwem stwórczym, drugi - demonem zła. Kiehtan stworzył niebo, ziemię

I morza, a także wszystko, co żyje. Wszyscy Indianie narodzili się z jednego mężczyzny i jednej kobiety, tak jak wierzą chrześcijanie, ale Indianie modlą się do Hobamocka i jemu składają dary, by go sobie zjednać - stąd przekonanie chrześcijan, że Indianie czczą diabła. Hobamock był potężniejszym bóstwem; to on zsyłał albo nie rany, susze i choroby. Lyddie zapytała, gdzie mieszkają ci bogowie, czy Indianie mają własne wyobrażenie nieba i piekła. Cowett powiedział, że jest taka kraina na zachodzie, gdzie udają się zarówno dobrzy, jak i źli ludzie, ale źli są potem skazywani na wieczną wędrówkę. A za jakie grzechy ludzi czeka wieczna tułaczka? Cowett wymienił wśród nich cudzołóstwo, ale potem dodał, że bez względu na to, czy są sobie poślubieni, czy nie, zarówno kobieta, jak i mężczyzna w każdej chwili mogą porzucić swojego towarzysza i spróbować szczęścia z innym.

- To kiedy uważa się, że popełnił grzech? - chciała wiedzieć Lyddie.

- Kiedy próbują szczęścia z innymi, zanim rozstaną się z poprzednim towarzyszem.

Lyddie zastanowiła się nad tym. W każdej osadzie na półwyspie Cod wybuchały skandale, w Satucket również: Abigail Gray zaszła w ciążę, kiedy jej mąż pływał na morzu; Keziah Doane i Winslow Myrick porzucili swoich małżonków, by zamieszkać razem w Yarmouth; chociaż temu zaprzeczano, krążyły plotki, że najmłodszy z Cobbów spłodził dziecko z Sarą, Murzynką należącą do rodziny. Ale Lyddie przypuszczała, że ją uważają za pierwszą Angielkę w tych stronach, która związała się z Indianinem. Próbowwała oceniać różne naganne zachowania zgodnie z indiańskim pojmowaniem dobra i zła, i jedno wiedziała z całą pewnością: że nie dopuściła się grzechu cudzołóstwa, bo nie próbowała szukać szczęścia z

innym przed rozstaniem z dotychczasowym towarzyszem życia. Jeśli potraktować śmierć małżonka jak rozstanie.

Lyddie uniosła wzrok i zobaczyła, że Cowett ją obserwuje. Zapłoniła się. Powiedział, jakby potrafił czytać z rumieńców, tak jak z książki:

- Słyszała pani, co o nas mówią. Skinęła głową.

- Martwi to panią?

- Trochę.

- Na tyle, by przestała pani do mnie przychodzić?

- Ludzie już gadają. Co teraz da to, że przestanę tu przychodzić?

Skinął głową.

Po minucie powiedziała:

- Pan się tym nie przejmuje. Wzruszył ramionami.

- Nie mam nic do stracenia.

Lyddie się zastanowiła. A co ona ma do stracenia? Straciła córkę i ostatniego przyjaciela. Spojrzała przez stół. Ostatniego przyjaciela wśród białych.

Wstała, żeby wrócić do siebie, i Cowett poszedł za nią. Ostatnie promienie słońca oświetlały wierzchołki drzew w lasku. Lyddie wskazała drzewa.

- A więc podzielił pan las? Skinął głową.

- Żałuje pan tego?

Podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach. Obrócił ją na wschód.

- Tam jest potok Namskaket. - Obrócił ją na południe. - Tam Wielki Długi Staw. - Obrócił ją na zachód. - A tam Sauquatuckett, albo jak wy mówicie, rzeka Satucket, albo Kamienny Potok, albo Młyński Potok. - Jeszcze raz ją obrócił. - A na północy jest zatoka. Mój pradziad sprzedał to

wszystko Anglikom za pięćdziesiąt osiem funtów. Więc czemu mam się przejmować połową lasku?

Lyddie nie odpowiedziała. Prawdę mówiąc, ledwo mogła oddychać. Cowett wciąż trzymał dłonie na jej ramionach, jakby zapomniał, że je tam położył, i niewątpliwie się zapomniał, myślał, że stoi na podwórzu ze swoją żoną, jak Lyddie mogła sobie wyobrażać, że stoi teraz z Edwardem. Ale nie, nigdy nie będzie mogła wziąć tego Indianina za Edwarda. Czowała, jaki jest potężny, nawet kiedy go nie widziała, czowała zapach sasafrasu, którego nigdy nie czowała u Edwarda. Nie powinien był jej dotykać. Ale przede wszystkim to ona nie powinna mu pozwolić się dotknąć. Lecz nadal stała tu jakby wrosła w ziemię, wstrzymawszy oddech, ponieważ od tak dawna nie czowała ciepła męskich dłoni na swojej skórze, od tak dawna nikt jej nie dotykał, ani biały, ani Indianin.

Największym wysiłkiem woli odsunęła się od niego. Powiedziała, nie odwracając się:

- Ale pański pradziad zatrzymał ten kawałek ziemi.

- Owszem.

- I podarował jego część pradiadowi Edwarda. Dlaczego? Cowett milczał.

- Muszę już iść - powiedziała Lyddie. Weszła między drzewa. Zawołał za nią, jakby nic się nie stało:

- Bardzo mi smakował pieróg.

- Dziękuję - odkrzyknęła mu Lyddie.

Lyddie mało spała i nazajutrz zjawiła się u Sama Cowetta późno, kiedy już wyszedł. Pospiesznie doprowadziła dom do porządku, przygotowała na kolację zimny pieróg z mięsem, chleb, trochę pikli i wróciła do siebie, nie czekając na niego.

Kiedy skończyła piec na swoje potrzeby, wzięła ze stodoły siekiere Edwarda i poszła do lasu, żeby się przekonać, czy da radę narąbać drewno na zimę. Na ziemi leżał kawałek starego płotu, zaczęła go rąbać siekiere. Kiedy zrobiła sobie przerwę, żeby odsapnąć, usłyszała czyjeś kroki. Odwróciła się. Sam Cowett szedł między drzewami w jej stronę.

Wziął od niej siekiere, szybko porąbał płot, potem jeszcze dwa małe, złamane przez wiatr drzewa i pomógł jej ułożyć drwa na skraju lasu, najbliżej jej domu.

Kiedy skończył, powiedziała:

- Mam świeżo upieczone babeczki z bakaliami, zapraszam w rewanżu za narąbanie drewna. - Skierowała się do domu, ale złapał ją za łokieć, by ją zatrzymać.

- Niektóre rzeczy robi się bez zapłaty, w ramach przysługi sąsiedzkiej.

- Cóż, w takim razie dziękuję.

Wciąż trzymał ją za ramię, a potem przesunął palec w zagłębienie w zagięciu łokcia. Jakaż była naiwna, wyobrażając sobie, że uznał, iż w lasu nic się nie wydarzyło. To, że miała białą skórę, nie przeszkodziło mu dostrzec w niej ponętnej kobiety, tak jak jej nie przeszkadzała jego smagłość. Wciąż trzymał palec w zagłębieniu jej łokcia, dając jej jasno do zrozumienia, że wyłącznie od Lyddie zależy, dokąd teraz pójdą. Jeśli skieruje się w jedną stronę, coś się wydarzy, jeśli w drugą - do niczego nie dojdzie. Czowała bijący od Indianina zapach sasafrasu i pragnęła nade wszystko, by ten zapach ją odurzył, by te dłonie dotknęły jej ciała, tak jak dotykały ciała Rebecki. Co ją powstrzymywało? Bóg? Edward? Diakon Smalley i wielebny Dunne? Z pewnością nie Bóg. Szybkość, z jaką wyrzekła się Boga, zaszokowała ją. Najpierw przestała się modlić, później - chodzić na nabożeństwa, potem w ogóle przestała przestrzegać świąt, a

skoro Bóg nie potrafił jej powstrzymać, czy mogłoby się to udać diakonowi Smalleyowi albo wielebnemu Dunne'owi? Ale co z Edwardem? Nie. Jeśli Edward w ogóle przejmował się teraz tym, co robi Lyddie, w co wątpiła, właśnie to zrozumie lepiej niż inne jej czyny. Więc jeśli Edward jej nie powstrzymywał, to kto?

Eben Freeman. Jego imię pojawiło się w jej głowie nie wiadomo skąd, ale nie chciało jej opuścić. Powiedziała mu, że nie zległa z Indianinem, a on jej uwierzył.

Lyddie się odsunęła. Cowett przez chwilę zaciskał dłonie na jej ramieniu, na tyle długo, by obudził się w niej dawny lęk, a potem ją puścił.

Lyddie leżała, nie mogąc usnąć. Wstała, obeszła dom, znów się położyła. Kiedy w końcu usnęła, przyśniło jej się, że łowi śledzie w potoku. W pewnej chwili usłyszała czyjś krzyk. Niósł się nad drzewami i wzdłuż potoku. Mehitable rodzi. Lyddie pospieszyła do domu Clarke'a, ściskając wijącą się rybę. Wokół łóżka jej córki stały kobiety, po które posłał Nathan: kuzynka Betsey, Patience Clarke, babka Hall. Lyddie starała się dostać do łóżka, ale kobiety tworzyły mur, stojąc ramię przy ramieniu. Krzyki Mehitable przeszywały uszy Lyddie, szczypały skórę, wypełniały jej płuca, ale następująca po nich cisza była jeszcze gorsza. Lyddie знаła tę ciszę, znała sztywne karki kobiet, patrzących na martwego noworodka. Odepchnęła kuzynkę Betsey i pochyliła się nad łóżkiem. Mehitable leżała blada, nieruchoma. Na prześcieradle między jej nogami leżał żywy noworodek, czarnowłosy, o kasztanowej skórze. Kobiety pokazały palcami Lyddie.

- To twoje dziecko. Wszystkie wiemy, że to twoje dziecko. Bo zległaś z Indianinem.

Lyddie wzięła maleństwo na ręce. Mehitable wstała z krzykiem, wyciągając ręce do dziecka. Lyddie się pochyliła, żeby jej dać noworodka, ale zorientowała się, że ma w dłoniach rybę, a nie dziecko. Odwróciła się. Noworodka trzymał Sam Cowett, mieli takie same rysy twarzy, taki sam kolor skóry.

- Powiedz im - zwróciła się do niego Lyddie. - Powiedz im, że tego nie robiliśmy.

- Nie słyszałaś, co mówił wasz pastor? - odparł. - Grzech popełniony w sercu jest równie wielki, jak grzech popełniony naprawdę.

- Oddaj mojej córce jej dziecko - powiedziała Lyddie.

- Nie mogę. Twoja córka nie żyje.

Lyddie odwróciła się gwałtownie i zobaczyła, że Mehitable rzeczywiście jest sina i bezwładna.

Lyddie obudziła się, przepełniona strachem. Leżała nieruchomo, złana potem, aż poczuła ogarniającą ją złość. Nie pozwoli się sterroryzować własnym myślom. Mehitable żyje. Ale w tym śnie bała się nie tylko o Mehitable. Jej lęk budził również Sam Cowett. I nieistotne, czy bała się jego, czy siebie, czy tego, do czego niebawem między nimi dojdzie. Tylko jedno może położyć kres wszystkim lękom, prawdziwym czy wyimaginowanym.

Lyddie wyjrzała przez okno na różowo-szare słońce i próbowała sobie przypomnieć, kiedy będzie przyływ. Odrzuciła prześcieradło, wstała, włożyła spódnicę na koszulę, zawiązała troczki, poszukała butów i pończoch. Przyczesła włosy i spięła je szpilkami w drodze do wygodki. Tak pilno jej było spotkać się z Indianinem, że nawet nie zjadła śniadania.

Otworzył jej Cowett. Nie włożył jeszcze butów, nie wsunął koszuli do spodni.

- Nie mogę dłużej u pana pracować - oświadczyła, odwróciła się, wyszła i było po wszystkim.

*

Lyddie miała teraz czas zająć się domem, bo kiedy doglądała gospodarstwa Cowetta, zaniedbała własne. Zebrała łuski kukurydzy przechowywane w stodole od zeszłej jesieni i na nowo wypchała swój materac. Postanowiła uwarzyć beczułkę piwa. Zamarynowała ogórki. Wysprzątała dom od piwnic po dach. Wynajdywała sobie kolejne zajęcia i dzięki temu nie myślała o Cowecie, ale wieczorem, tuż przed zaśnięciem,

zawładnął nią całkowicie, czuła go wszystkimi zmysłami. Widziała, jak ją rozszyfrowuje swoimi czarnymi oczami, czuła bijący od niego zapach sasafrasu, słyszała jego głęboki, spokojny głos: „Niektóre rzeczy robi się bez zapłaty”, czuła dotyk jego ręki. Kiedy jednak się przespała, zrozumiała: wszystkie te szalone myśli dowodzą jedynie, że słusznie zrobiła, zrywając z nim wszelkie więzy.

Następnego ranka Lyddie usiadła ze swoją puszką z monetami i policzyła, ile zarobiła: dwa funty, cztery szylingi i osiem pensów. Na jak długo jej to wystarczy? Lato przetrwa bez większych kłopotów, ale co będzie w zimie? Samo siano dla krowy pochłonie wszystkie oszczędności. Właściwie to Clarke powinien dostarczyć jej siano, ale liczyła na to, że je od niego dostanie, tak jak na mannę z nieba. Będzie musiała znaleźć jakieś źródło dochodów.

Lyddie przyszedł do głowy pewien pomysł, kiedy udała się do spiżarni, by przewrócić sery - dwa ulubione sery Edwarda, z szałwią, już dojrzały, a nawet Betsey przyznawała, że Lyddie jest niezrównana, jeśli chodzi o produkcję serów. Mogła dostać po szylingu za ser. Starannie zawinęła jeden i wybrała się do sklepu Searsa.

Siostry Myrick stały przed sklepem, pogrążone w rozmowie, jakby mieszkały na przeciwnych krańcach osady, a nie w tym samym domu. Na widok Lyddie starsza z nich spojrzała na nią nawet dość przyjaźnie i spytała, jak sobie radzi.

- Całkiem dobrze - powiedziała Lyddie. - A panie?
- Też - odparła młodsza z sióstr. - A co słyhać u pani Indianina?
- U mojego Indianina?
- Och, wie pani, o kogo mi chodzi... Tego potężnego, budzącego lęk...

Wołają na niego Sam. Tego, u którego pani pracuje.

- Już nie pracuję u pana Cowetta.

- Nie? Chociaż właściwie się nie dziwię, że to słyszę. Nie wiem, jak pani z nim wytrzymała. To taki gwałtownik.

- Nie zauważyłam tego.

- Kiedy sobie popije...

- Widziałam go tylko raz pijanego, kiedy rozpaczał po śmierci żony. Rozmawiałam z nim o tym, powiedział, że skończył z piciem.

- Rozmawiała pani z nim! - Siostry spojrzały na siebie. - No cóż, łączyły was bliskie stosunki. A może powinnam powiedzieć „łączyły was bliskie stosunki”?

- Ponieważ jest moim sąsiadem, mam nadzieję, że wciąż pozostaniemy w przyjaznych stosunkach. Proszę mi wybaczyć, mam interes do pana Searsa.

Lyddie minęła kobiety i weszła do sklepu.

Ale pan Sears powstrzymał ją, zanim odwinęła swój ser.

- Biorę ser od Winslowa. Wie pani, jak to jest, wdowo Berry. Nie mogę zrezygnować z Winslowa jako dostawcy.

Mniej więcej to samo usłyszała w sklepie Smitha i karczmie Bangsa.

Lyddie wróciła do domu, pogrążona w myślach. Niewątpliwie w osadzie było kilka domów, gdzie potrzebowano kogoś do opieki albo prowadzenia gospodarstwa, ale mogła się o tym przekonać jedynie, pukając do wszystkich drzwi. Gdyby chodziła na nabożeństwa albo gdyby kuzynka Betsey nadal ją odwiedzała, z pewnością miałyby takie informacje, ale ponieważ od tak dawna nie utrzymywała z nikim kontaktów, rozmawiała wyłącznie z Samem Cowettem, nic nie wiedziała. Lyddie wzięła swój ser. Naturalnie nic nie stoi na przeszkodzie, by złożyć wizytę kuzynce Betsey; prawdę mówiąc, może do niej pójść pod pretekstem, że ma wobec niej dług.

Lyddie ruszyła Drogą Królewską i dość szybko pokonała pięć kilometrów do domu Shubaela. Kiedy Betsey otworzyła drzwi, ciotka Goss uniosła wychudzoną twarz, żeby zobaczyć, kto przyszedł, a potem znów ją opuściła na piersi i zaczęła chrapać. Shubael wyłonił się z pokoju w głębi i powitał ją wyraźnie zmieszany:

- Kuzynka! No, no! Jak się masz? - Po czym się wycofał. Betsey wytrzymała niewiele dłużej. Ogromnie jej przykro, ale właśnie wychodzi, do tego bardzo się spieszy. Lyddie będzie musiała ją odwiedzić kiedy indziej. Chociaż nie może jej teraz powiedzieć, kiedy będzie miała czas. Jest taka zajęta...

Lyddie znalazła się z powrotem na drodze, ale ledwo uszła kawałek, kiedy się zorientowała, że wciąż trzyma ser. Splota długu stała się teraz dla niej sprawą honoru; odwróciła się i usłyszała podniesione głosy, dobiegające gdzieś od studni przed domem Hopkinsów.

- Uważam, że mogłaś z nią porozmawiać, i tyle - powiedział Shubael.

- Ach tak? Sam tylko się przywitałeś i zaraz uciekłeś, ale ja mam ją zabawić rozmową!

- Wiesz, dlaczego unikam kuzynki Lyddie. Gdyby zagadnęła mnie o okoliczności śmierci swojego męża...

- Akurat! Po prostu boisz się tego Indianina!

- A dlaczego nie miałbym się go bać?

- Ponieważ nie masz porozmawiać z nim, tylko z kuzynką Lyddie. A przynajmniej powinienes. Gdybyś od razu to zrobił, nie doszłoby do całej tej historii z Indianinem, prawda? Podpisałaby tamten dokument, zamiast przynosić hańbę całej rodzinie!

- Nie wiesz na pewno...

- Och, daj spokój. Ty i mój brat jesteście parą skończonych głupców i tyle.

Rozległ się głośny stukot obcasów. Lyddie wróciła na drogę. Zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Shubael bał się rozmowy o Edwardzie? Shubael boi się Indianina? Shubael miałby ją przekonać do podpisania dokumentu i trzymania się z dala od Indianina?

- Wdowo Berry!

Lyddie uniosła głowę i zobaczyła Ebena Freemana, który właśnie zsiadł z konia i teraz stał tuż przed nią.

- Przez chwilę bałem się, że mnie pani stratuje.

- Przepraszam. Nie... Uniósł rękę.

- Nie, to ja przepraszam. Za sposób, w jaki się do pani zwróciłem podczas naszego ostatniego spotkania. Noc w noc nie daje mi to spokoju. Nie zdziwiłbym się, gdyby mnie pani teraz miała ochotę stratować.

- Nie stratuje pana, panie Freeman. Przyjmuję pana przeprosiny

I sama też chcę pana przeprosić. Powiedziałam coś, co mogłoby skłonić pana do wniosku, że nie uważam pana za przyjaciela. Proszę nie myśleć, że nie wiem, ile pan dla mnie zrobił.

- Przecież nic dla pani nie zrobiłem. Nie pozwoliła mi pani. Kiedy pomyślę, co chciałbym zrobić...

Lyddie wyciągnęła rękę z serem.

- Byłabym wdzięczna, gdyby mi pan wyświadczył jedną przysługę. Proszę to dać swojej siostrze. Chcę uregulować dawny dług.

Przypomniał sobie. Zrozumiał. Lyddie widziała to na jego twarzy. I nie tylko to.

- Czyż dopiero co nie wyszła pani od niej?

- Tak. Ale zapomniałam go zostawić.

- Czy to była miła wizyta?

- Cóż... Była... krótka.

Zaczerwienił się. Wsunął ser pod pachę i zawrócił konia.

- Proszę pozwolić, że odprowadzę panią kawałek.

Szli drogą w niezręcznym milczeniu, aż Lyddie zapytała:

- Czy właśnie przyjechał pan z Barnstable? Skinął głową.

- Winslow i Clarke znów się procesują. Jeśli tym razem będzie tak jak poprzednio, do końca życia będę kursował między Barnstable a Satucket.

Zaczął opowiadać o szczegółach sprawy, ale Lyddie ledwo go słuchała; zauważyła, że za każdym razem, gdy mijali kogoś, czy to idącego pieszo, czy jeźdźca, zbliżających się z naprzeciwka, Freeman dbał o to, by okazać jej specjalne względy: ujmował ją pod łokieć, uprzejmie kiwał głową, uśmiechał się przyjaźnie. Czy chciał udowodnić, że jest godna szacunku? Kiedy dotarli do drogi prowadzącej nad morze, Lyddie odezwała się:

- Niech pan lepiej już wraca do siebie. Pańska siostra niewątpliwie czeka z obiadem na pański przyjazd.

- Mam w nosie swoją siostrę razem z jej obiadem - oświadczył z taką pasją, jaką Lyddie tylko raz słyszała w jego głosie. Spojrzała na niego zdumiona.

- Wdowo Berry - powiedział - muszę pani coś wyznać. Od naszego ostatniego spotkania trochę popytałem tu i tam i odkryłem, że moja siostra stoi za wszystkimi plotkami na pani temat. Pod tym względem lepszy jest od niej jedynie pani zięć, Nathan Clarke. Rozmawiałem z nią. Sugerowałem, żeby zmieniła swój stosunek do pani. Gdyby mi pani powiedziała, że właśnie przyjęła panią serdecznie, może mógłbym spokojnie siedzieć przy jej stole, ale ponieważ nie może pani tego powiedzieć... - Urwał i czekał.

Lyddie milczała.

- Pożegnaj się teraz z panią, wdowo Berry. Ale odwiedzę panią innym razem, jeśli pani pozwoli.

- Naturalnie.

- Cieszę się. I niech pani wie, że zamierzam pozbawić moją siostrę przyjemności mojego towarzystwa i przenocować w tawernie.

- Panie Freeman, jeśli robi to pan tylko przez wzgląd na mnie...

- Zrobiłbym jeszcze dużo innych rzeczy przez wzgląd na panią, wdowo Berry, ale teraz powodem takiego, a nie innego mojego zachowania jest siostra. Czy mogę pani przyznać się do czegoś, o czym być może pani nie wie? Czasami bywam porywczy. Jestem teraz w takim stanie ducha, że boję się, iż mógłbym zachować się nieodpowiednio. Dlatego wyślę mojej siostrze list, w którym podziękuję jej za dalszą gościnę, ponieważ mam do załatwienia pewną sprawę w tawernie. Czy mam dołączyć do listu pani ser i wyrazy uszanowania?

Jeśli w taki sposób rozumiał pojęcie „porywczności”, nie trzeba się go bać, doszła do wniosku Lyddie. A potem przyszła jej do głowy inna myśl. Nie wpadła na pomysł, by spróbować w tawernie, świecie zarezerwowanym wyłącznie dla mężczyzn, szukać rynku zbytu na swoje sery, ale przecież tam też ludzie jedzą.

- Proszę dać ten ser panu Thacherowi z wyrazami mojego uszanowania. I powiedzieć mu, że może mieć następny za szylinga.

Młoda Indianka z wioski zaczęła codziennie rano przychodzić do domu Cowetta. Lyddie przemierzyła całą osadę, zostawiając swoje nazwisko w sklepach i prosząc o kontakt, gdyby ktoś potrzebował pielęgniarki albo gospodyni. Wstąpiła nawet do tawerny, żeby się dowiedzieć, czy potrzebują więcej sera; wybrała się tam wczesnym rankiem, kiedy panował najmniejszy ruch, i rzeczywiście główna sala była pusta, ale i tak Elkanah Thacher podbiegł, by powitać ją na progu, starając się ocalić resztki jej dobrego imienia. Gdy wyjaśniła, w jakiej sprawie przychodzi, odparł:

- Wdowo Berry, chociaż bardzo chciałbym kupować sery od pani, niczego nie dostanę od Winslowa, jeśli się dowie, że robię interesy z kimś z rodziny Clarke'a.

Cała ta historia zakrawała na ironię: niektórzy unikali Lyddie, ponieważ poróżniła się z Clarkiem, a inni - ponieważ należała do jego rodziny. Lyddie podziękowała Thacherowi i odwróciła się, żeby wyjść, ale kąciakiem oka dostrzegła osobliwy widok: Eben Freeman schodził po schodach, a za nim szła śniada dziewczyna o czarnych włosach i niebieskich oczach. Na pożegnanie przesunęła ręką wzdłuż szwa jego spodni. Lyddie już miała wyjść, kiedy usłyszała za sobą:

- Wdowo Berry!

Odwróciła się.

- Dzień dobry, panie Freeman.

- Witam panią. Jestem zdziwiony, że panią tu widzę.

- Nie wątpię. Czy zadowolony jest pan ze swojego pokoju?

- Owszem. Chociaż nie ma to jak w domu.

- Ale tu nie jest pan taki samotny. - Spojrzał na nią. - To pańska stara znajoma?

- Tak, spotkaliśmy się już wcześniej.

- Musiał pan wyrzucić na niej dobre wrażenie.
- Mogę powiedzieć, że nie dzieje się jej krzywda.
- Mogę powiedzieć, że również się nie wzbogaciła.
- Można zapytać, dlaczego miałyby się wzbogacić. Z całą pewnością nie zbiedniała.

- No tak. Wszyscy musimy jakoś zarabiać na życie.
- Wolałbym, żebyśmy zmienili temat, wdowo Berry.
- Obawiam się, że zabrakło mi tematów do rozmowy.
- No cóż. W takim razie życzę miłego dnia, wdowo Berry.
- Do widzenia, panie Freeman.

*

Freeman przyszedł do niej z wizytą nazajutrz po południu i przekroczył próg jej domu nieco zmieszany. Nie pasowało to do niego. Od razu przystąpił do rzeczy.

- Wdowo Berry, jeśli chodzi o naszą ostatnią rozmowę w tawernie, którą zacząłem...

- Zapomniał pan, że to ja zaczęłam rozmowę z panem, panie Freeman. Obawiam się, że zbyt przyzwyczaiałam się wyłącznie do swojego towarzystwa i zapomniałam o zasadach dobrego wychowania.

- Nie, nie, rozmowy z panią są zawsze bardzo... - Zawahał się. - Mogę powiedzieć „bezpośrednie”?

- Raczej „bezcelne”. Ale może pan winić za to Edwarda. Nauczył mnie, bym rozmawiała z nim swobodnie na wszystkie tematy, a takie zachowanie nie przystoi w obecności innych osób.

- W takim razie czuję się zaszczycony, że rozmawia pani ze mną w taki sposób. Czy możemy teraz uznać tę sprawę za zamkniętą?

- Możemy.

Po tej wizycie stosunki między nimi wróciły do normy, tylko Lyddie zaczęła mieć dziwne sny o niebieskookich i czarnookich indiańskich dzieciach. I trwało to do pierwszego lipca, kiedy Lyddie spojrzała na niebo, zobaczyła, że księżyc przybywa, i zastanowiła się, czy - w miarę jak jego tarcza będzie się stawała coraz pełniejsza - wyciągnie dziecko z brzucha Mehitable. Od tamtej pory śniły jej się inne dzieci, niektóre były martwe, inne - żywe, niektóre traciły matki, ale wszystkie były białe.

Szóstego lipca Lyddie już zamknęła krowę na noc, zarygłowała się w domu i rozpuściła włosy, kiedy usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Dzień zaczął się od łagodnego wiatru z południowego zachodu, który w ciągu dnia przybrał na sile. Lyddie pomyślała, że złamała się kolejna gałąź świdośliwy, ale usłyszała cichy głosik:

- Babciu!

Odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi.

- Bethiah!

- Przysłała mnie mama. Pyta, czy przyjdiesz. Już nadszedł jej czas.

Prosiła tatę, żeby posłał po babkę Hall, ale oświadczył, że sprowadzi doktora.

- Doktora! Po co od razu doktora? Czy źle się poczuła?

- Nie. Ale tata powiedział, że skoro do pani Winslow przychodzi doktor, to do pani Clarke też może przyjść.

Lyddie odszukała szpilki, spięła włosy i poszła z Bethiah, zadając takie pytania, na które dziewczynka powinna już umieć odpowiedzieć. Mama chodzi czy jest w łóżku? Czy leży bez ruchu, czy się kręci? Od jak dawna nie wstaje z łóżka? Czy ktoś jest przy niej?

Dotarły do domu Clarke'a razem z Nathanem i doktorem Fesseyem. Doktor Fessey uprzejmie powitał Lyddie i pospieszył do środka, ale Nathan Clarke zagroził jej drogę.

- Matko, możesz zawrócić. Czyż nie wyraziłem się jasno? Nie jesteś mile widzianym gościem w moim domu.

- Wezwała mnie moja córka. Przysłała Bethiah. Przepuść mnie.

- Lyddie chciała go ominąć, ale złapał ją za ramię.

- Matko, twoja noga nie postanie w moim domu. Ani dziś, ani nigdy. - Szybko przekroczył próg, zamknął drzwi za sobą i je zarygłował.

Lyddie, oszołomiona i otępiała, stała w gęstniejącym mroku, aż żaba w pobliskim strumyku zarechotała i wyrwała ją z odrętwienia. Rozważała, czy nie wdrzeć się do domu siłą, ale odrzuciła ten pomysł, uznała bowiem, że takie zamieszanie źle wpłynie na samopoczucie Mehitable. Nie wiedziała, czy zostać na podwórzu, czy sobie pójść. Jeśli zostanie, w końcu się dowie, jak się czuje jej córka; doktor Fessey wyjdzie i jej powie. Jeśli stąd pójdzie, nie będzie wiedziała nic, aż jedyna osoba, która ją odwiedzała, Eben Freeman, pojawi się u niej i przyniesie jakieś wiadomości z trzeciej, czwartej czy piątej ręki.

Została na podwórzu. Bethiah weszła do środka albo z lekarzem, albo ze swoim ojcem, i Lyddie miała cichą nadzieję, że dziewczynka wróci, ale nikt się nie pojawił. Mrok gęstniał. Robiło się coraz chłodniej. Lyddie chodziła tam i z powrotem wzdłuż podjazdu, aż trafiła nogą na jakiś dół i upadła, uderzając się w kolano. Mijały godziny. A może minuty. W końcu zasuwa zazgrzytała i doktor Fessey wyszedł na zewnątrz, w otwartych drzwiach widoczna była sylwetka Nathana Clarke'a na tle ognia na kominku.

- Dziękuję panu - powiedział Clarke. - Honorarium ustalimy po szczęśliwym rozwiązaniu, dobrze?

Drzwi się zamknęły i znów zrobiło się ciemno. Lyddie wyłoniła się z cienia.

- Doktorze Fessey...

- Dobry Boże! Kto to? A niech mnie. Wdowa Berry. Ale mnie pani przestraszyła. Co pani tu robi?

- Chciałam się dowiedzieć, jak się czuje moja córka.

- Ach tak, tak. Niezręczna sytuacja, nieprawdaż? Cóż, mogę panią uspokoić, że był to fałszywy alarm. Dałam jej trochę laudanum i teraz mocno śpi. Jeśli mi wolno powiedzieć, dobrze by było, gdyby lepiej się postarała, kiedy przyjdzie pora. Jest dość bojaźliwa, prawda?

- Jeszcze nie rodziła.

- I nie urodzi, jeśli nie okaże nieco więcej hartu. Pani utyka? Szła obok lekarza, który skierował się do stajni, i nie zdawała sobie sprawy z tego, że kuleje, póki lekarz jej o to nie zapytał. Zaproponował, że odwiezie ją do domu, i Lyddie chętnie na to przystała. Podprowadził konia do pniaka, dosiadł go, a potem podał jej rękę, by zajęła miejsce z tyłu. Kurtka lekarza pachniała dymem i tytoniem, Lyddie nie poczuła sasafrasu bijącego od Indianina, soli od Edwarda ani potu od Freemana. Włosy pachniały mu kamforą. Jego koń tak niepewnie stawiał kroki, nawet podczas stępa, że lekarz musiał przytrzymywać Lyddie. Po tej jeździe Lyddie jeszcze bardziej kulała.

- Chwileczkę - powiedział Fessey, zsunąwszy się z siodła. - Proszę pozwolić, że wejdę i obejrzę kolano.

Lyddie próbowała go odwieść od tego zamiaru, nie chcąc być mu dłużna za poradę lekarską, bo jedynie utykała, ale wszedł za nią do domu. Zobaczywszy butelkę brandy na półce domowej roboty, powiedział:

- W ramach wynagrodzenia wychylę miareczkę.

Lyddie naląła lekarzowi brandy. Usiadła na jednym z krzeseł, które przyniósł Sam Cowett, a doktor Fessey przysunął sobie drugie. Uniósł jej spódnice, zsunął pończochę, postukał w kolano, ujął stopę i zaczął ją wykręcać we wszystkie strony.

Opuścił spódnice i poklepał Lyddie w kolano.

- To nic poważnego. Proszę owinąć nogę flanelką namoczoną w tym. - Wyjął z kieszeni mały słoiczek. - Jeśli należy mi pani jeszcze miarkę, nie policzę za maść.

Lyddie wstała i ponownie napełniła jego szklaneczkę.

- A teraz udzielę pani pewnej rady za darmo. Jest pani gotowa?

- Nie myślę...

- Tak, nie myśli pani, wdowo Berry. W przeciwnym razie wiedziałyby pani, że pani mała przygoda musi się kiedyś skończyć. Nie może pani wiecznie żyć bez żadnego wsparcia. Wkrótce przejdzie pani na utrzymanie gminy i zostanie umieszczona na poddaszu domu tego, kto zaoferuje najniższą cenę. Czemu odwlekać to, co nieuniknione? Zanim pani cokolwiek powie, niech pani wie, że orientuję się, co łączyło panią z tym Indianinem. Ale żyję i pracuję w tej osadzie już wystarczająco długo, by wiedzieć, że ludzie szybko zapominają o jednym, kiedy dzieje się coś nowego. Proszę skończyć z dotychczasowym życiem. Już rozstała się pani z Indianinem; teraz proszę wyznać wszystko w domu modlitwy, podpisać to, co ma pani podpisać, by zacząć wieść życie, które wszyscy uważają za bardzo przyzwoite jak na kobietę w pani położeniu. Lyddie wstała.

- Dziękuję panu, doktorze Fessey. - Pokuśtykała do drzwi i je otworzyła. Lekarz odstawił szklaneczkę, ale dalej siedział.

- Cóż, wdowo Berry, skoro nie chce pani skorzystać z dobrej rady, którą zaproponowałem...

- Panie doktorze, jeśli usłyszysz pan o kimś, kto potrzebuje pielęgnacji lub prowadzenia gospodarstwa...

Lekarz odchylił się na oparcie krzesła i opróżnił szklaneczkę. Wstał i zamknął drzwi, ale nie wyszedł.

- Proszę pozwolić, że coś pani powiem, wdowo Berry. Są w osadzie tacy, co traktują tę historię z Indianinem poważnie, i tacy, którzy nie przywiązują do niej wagi. Ja osobiście nie przejmuję się takimi sprawami. Chodzę do domu modlitwy, jeśli mogę, ale jeśli czyjeś dolegliwości fizyczne akurat wymagają mojej obecności i nie mogę zaspokoić swoich potrzeb duchowych, nie spędza mi to snu z powiek. Tak się składa, że moja żona jest słabowita, i potrzebuję kogoś do tego, co w pewnym sensie zalicza się do prowadzenia domu. Jest pani zdrową, silną kobietą, a ponieważ nie przywiązuję zbyt wiele do przeszłości kobiety, a nawet dostrzegam pewne plusy, kiedy kobietę cechuje niejaka otwartość charakteru, jeśli rozumie pani, co mam na myśli...

Lyddie rozumiała. Otworzyła drzwi.

- Dobranoc, doktorze Fessey.

Twarz lekarza, na której przed minutą malowały się pożądanie i nadzieja, znów zmarkotniała.

- O, do licha.

Już stał na progu, ale nie pozwolił jej zamknąć drzwi.

- Powiem pani jeszcze coś, wdowo Berry. Osobą, która będzie potrzebowała opieki, jest pani córka. Daleko jej do swojej matki. -I wyszedł.

Lyddie zamknęła drzwi, czarny, pulsujący strach o córkę, który w niej drzemał, teraz znów się obudził. Co doktor Fessey miał na myśli, mówiąc, że Mehitable daleko do niej? Przypuszczała, że rzeczywiście o losie jej dzieci nie przesądziły żadne niedomagania fizyczne ich matki. Przy każdym

dziecku długo męczyły ją bóle porodowe, ale nie były silne, zawsze rodziła z mocnym postanowieniem, że kolejne dziecko przyjdzie na świat żywe. Nigdy nie złożyła jej gorączka połogowa, w kilka dni po porodzie wracała do obowiązków domowych, ale kiedy straciła pierwszego synka, który przyszedł na świat żywy, nie mogła się pozbyć przemożnego lęku. Gdy druga córeczka żyła dłużej od swojego zmarłego braciszka, Lyddie po raz pierwszy odetchnęła z ulgą. Kiedy drugi chłopiec żył dłużej niż jego zmarła siostra, była już ostrożniejsza. Ale kiedy ostatni syn przeżył pięć lat, biegał i bawił się z takim zapałem, że uspił jej czujność, a potem zmarł... Czy Bóg chciał, by Lyddie zapłaciła za swoje ostatnie grzechy życiem swojej jedynej córki?

Jeśli Lyddie kiedykolwiek pragnęła się pomodlić, to właśnie wtedy, ale wciąż nie mogła znaleźć właściwych słów.

31

Kolano spuchło i bolało ją przez całą noc i następny dzień, a do tego Lyddie łupało w głowie. Kiedy przyjechał Eben Freeman i spojrzał na jej wymęczoną, szarą twarz, wykrzyknął:

- Wdowo Berry! Czy pani jest chora? Lyddie przekuśtykała przez izbę.

- Wielki Boże, coś pani sobie zrobiła w nogę. - Ujął ją pod ramię i pomógł jej usiąść na krześle. - Proszę powiedzieć, co się stało?

Lyddie opowiedziała mu wszystko albo prawie wszystko o swoich ostatnich przygodach, kończąc słowami:

- Od wielu dni nie śpię i okropnie boli mnie głowa. - Powiedziała to, by dać do zrozumienia, że nie ma ochoty na podejmowanie gości, ale Freeman inaczej odebrał jej słowa.

- Proszę wstać - zwrócił się do niej. Jedną ręką objął ją od tyłu, a drugą ujął za łokieć. Wstała z krzesła o wiele łatwiej, niż jej się to udawało przez cały dzień. Pomógł jej dojść do łóżka i położyć się na narzucie. - Teraz to jest odpowiednie miejsce dla pani. Noga w górze, głowa nisko.

- Muszę wydoić krowę.

- Ja się tym zajmę. - Zniknął i wrócił z kawałkiem flanelki, zmoczonej, sądząc po zapachu, w occie. Przetarł jej skronie.

- Panie Freeman...

- Skoro dzielimy teraz łóżę, uważam, że najlepiej, jak będzie mi pani mówiła po imieniu. Ale nie poczuję się urażony, jeśli postanowi pani usnąć.

Uśmiechnęła się, próbując wyobrazić sobie Sama Cowetta albo doktora Fessey'a, albo kogokolwiek, przy kim w podobnych okolicznościach czułaby się tak swobodnie. Zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, nie było go. Ból głowy minął. Usiadła. W drzwiach pojawił się Eben Freeman.

- Aha! Widzę, że ktoś się obudził!

- Długo spałam? Spojrzał na zegarek.

- Prawie dwie godziny.

- I był tu pan przez cały czas?

- Nie zmarnowałem go, ucząc się na nowo, jak się doi krowy. -

Pokazał swoje poplamione spodnie. - A jak się pani czuje, wdowo Berry?

- Lepiej. Zarówno na ciele, jak i na duchu.

- Bo się pani przespała. Nic bardziej nie wyczerpuje naszych sił duchowych niż brak snu. - Wszedł do pokoju i znów usiadł na jej łóżku. - Skoro czuje się pani znacznie lepiej, mam dla pani propozycję. Osiągnąłem wiek, w którym obowiązki sędziego objazdowego bardziej wyczerpują moje ciało, niż napełniają mój portfel. Shubael nosi się z zamiarem sprzedaży swojego małego słupa i kupnem większego, by porzucić wielorybnictwo na rzecz handlu. Chce, żebym nabył połowę udziałów. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, będę spędzał więcej czasu tutaj, w Satucket... Co by pani powiedziała, gdybym kupił ten dom od Clarke'a?

Lyddie gapiała się na niego.

- A dokąd kazałby mi się pan wynieść?

- Cóż, ma pani dwie możliwości. Może pani nadal zajmować swoją jedną trzecią, a ja zamieszkać w pozostałej części, albo może mnie pani poślubić i dzielić ze mną cały dom.

Mógł to zaproponować w odwrotnej kolejności, pomyślała Lyddie. Czy też uznał, że Lyddie powinna wiedzieć, że ma zapewniony własny kąt, nim rozważy drugą ewentualność? Ale prawdę mówiąc, w chwili, kiedy padły obydwie propozycje, zawładnęło ją dziwne uczucie, jakby ktoś właśnie ją napoił ciepłą brandy, a raczej obmył jej skronie octem.

- Widzę, że się pani nie wzdrygnęła - zauważył Freeman. - Ale nie dostrzegam nic poza pewnym zaskoczeniem. Czy dlatego, że za mało mnie pani zna? Cóż, może w takim razie powinienem inaczej przedstawić moją propozycję.

Przybliżył dłoń do jej twarzy i odgarnął z niej wilgotne od octu włosy. Uniósł drugą rękę i zanurzył palce w jej włosach. Przyciągnął Lyddie do siebie i ją pocałował. Nie przypominało to jej pierwszego pocałunku z Edwardem. Edward zachowywał się tak, jakby od dawna wiedział o Lyddie wszystko, a Freeman - jakby rozumiał, że musi ją dopiero poznać. Niemniej jednak żona przed śmiercią albo dziewczyna z tawerny dużo go nauczyły; bardzo szybko ją rozпалиł.

Oderwał usta od jej ust.

- A więc, Lydio? Tak czy nie?

Nagle Lyddie wydało się, że minęło bardzo dużo czasu, odkąd ktoś ją całował. A jeszcze więcej, odkąd ktoś ostatni raz nazwał ją Lydią. Dziwne, że córka Lyddie nigdy nie lubiła zdrobnienia Hitty i jak tylko dorosła, zaczęła się posługiwać swoim pełnym imieniem, Mehitable. Być może dzięki Freemanowi Lyddie i jej córka chociaż pod jednym względem w końcu staną się do siebie podobne. Rozmyślając nad tym, zrozumiała, że gdyby poślubiła Freemana, jej stosunki z Mehitable uległyby znacznej poprawie. Nathan dostałby pieniądze za dom i jednocześnie pozbył się teściowej. W tej sytuacji z pewnością nie miałby już nic przeciwko obecności Lyddie przy rodzącej żonie.

Ale co z Ebenem Freemanem? Co z tym kanciastym mężczyzną o dziwnym umyśle? Co z opanowanym dżentelmenem, który nie potrafił ukryć, jakie ma wielkie serce? Co z człowiekiem, który miał odwagę mówić o kimś takim jak Otis, z kimś takim jak Clarke?

Bez względu na to, jaki był Freeman, Lyddie zaczęła traktować go tak, jak nie traktowała nikogo od śmierci Edwarda, nie jak kogoś, od kogo jest zależna, ale kto jest dla niej ważny i dla kogo ona też jest ważna. Być dla kogoś ważna. Czego więcej potrzeba w życiu? Musiała jednak przyznać, że

istniało coś więcej: ożywienie, zadowolenie, które ją ogarniały za każdym razem, gdy pojawiał się na progu jej domu. Lyddie zbyt długo albo zbyt krótko była wdową, by umieć nazwać to, co czuje, ale wiedziała, że pomaga jej to żyć, oddychać i zмагаć się z kolejnymi dniami. Próbowała wyobrazić sobie swój dzień bez wizyty Freemana i na samą myśl o tym ogarnęło ją paraliżujące zmęczenie. Uświadomiła sobie jeszcze coś. Rzeczywiście jest zmęczona. Nie było to krótkotrwałe znużenie, ale wyczerpanie, które nie opuszczało jej od miesięcy. Była umęczoną kobietą, której dokucza bezsenność. Wyobraziła sobie czekające ją noce, kiedy będzie spała przytulona do tego wysokiego, chudego mężczyzny, i w pierwszej chwili serce mocniej jej zabiło, ale później doznała takiego ukojenia, że sam obraz tego, jak może wyglądać jej przyszłość, przywrócił jej siły. Freeman ujął ją pod brodę i delikatnie nią potrząsnął.

- Czy w ten sposób chce mnie pani zmusić do ujawnienia wszystkich moich słabości? Najpierw mojego pożądanego, a teraz mojej niecierpliwości? Co powiesz, Lydio Berry? Tak czy nie?

- Tak - odparła Lyddie.

Freeman podskoczył, jakby go postrzeliła, potem spojrzał na łóżko niezdecydowany, może rozważając nieusankcjonowany, ale często tolerowany zwyczaj konsumpcji związku przed przysięgą małżeńską, ale zapanował nad sobą.

- Muszę iść - powiedział. - Mam spotkanie z Winslowem, a potem zobaczę się z Clarkiem, dam na zapowiedzi. Jeśli zrobię to dzisiaj... Którego mamy za dwa tygodnie? Co powiesz na ślub za dwa tygodnie? Czy też wolisz później?

- Nie.

Twarz Freemana się rozpromieniła. Pochylił się i znów ją pocałował. Tym razem Lyddie była gotowa i mogła mu okazać podobny entuzjazm. Odsunął się od niej i przyjrzał się jej badawczo.

- Och, Lydio Berry - westchnął. - Będziemy bardzo szczęśliwi!

Lyddie znów nie mogła spać, ale tym razem jej myśli pełne były Ebena Freemana, wszystkiego, co wiedziała i czego nie wiedziała o tym mężczyźnie. Odkryła, że zdolny jest do wybuchów namiętności, i przekonała się, jak one na nią działają. Ale nie zapomniała, że Sam Cowett też rozpalał jej zmysły, co teraz nie dawało jej spokoju bardziej niż poprzednio. Co to może oznaczać, że dwaj tak różniący się od siebie mężczyźni działają na nią w taki sposób? Czyżby nie była lepsza od tamtej dziewczyny z tawerny? Czy też uratowało ją to, że odrzuciła propozycję doktora Fesseya?

A co z tym wszystkim, czego nie wiedziała o Ebenie Freemanie? Niewiele słyszała o jego zmarłej żonie, dzieciach czy jego życiu w Barnstable. Może to i lepiej zdecydować się na małżeństwo, kiedy jeszcze tyle zostaje do odkrycia. Lyddie zwinęła się w kłębek, by usnąć z głową pełną Ebena Freemana, ale nim zmożył ją sen, za sprawą jej przekornej natury, którą Lyddie znała i którą zarazem gardziła, miejsce Freemana zajęła Indianka codziennie przychodząca do Cowetta. Była bardzo ładna, młodzieńca, jej skóra i włosy błyszcząły w słońcu. W pierwszym tygodniu pojawiała się każdego ranka i wracała do siebie każdego popołudnia tak regularnie, jak przyływy i odpływy, ale od kilku dni Lyddie tylko sporadycznie widywała ją, jak przychodziła lub wychodziła.

Lyddie tak się wierciła na łóżku, że znów ją zaczęło boleć kolano. Wstała i naląła sobie odrobinę brandy, wróciła do łóżka i wreszcie usnęła. Spała mocno, aż obudziło ją uporczywe pukanie.

Podeszła do drzwi w samej koszuli i je otworzyła.

- Bethiah!

- Tata mnie przysłał. Mama zaczęła rodzić.

Kobiety stały wokoło, jak w jej śnie, ale teraz się rozstały i pozwoliły Lyddie podejść do łóżka. Mehitable była koloru prześcieradła, na którym leżała. Spojrzała na matkę i wyciągnęła rękę.

- Mamo.

Córka zwróciła się do niej tak jak wtedy, kiedy była malutka. Lyddie poczuła, że ją ściska w dołku. Ujęła rękę Mehitable.

- Kiedy się zaczęło?

Odpowiedziała jej babka Hall, stojąca z tyłu.

- Wczoraj o świcie. Lyddie się rozejrzała wokoło.

- Tym razem mój zięć nie wezwał lekarza?

- Doktor Fessey już tu był. Skurcze wciąż są rzadkie. Przyjdzie później.

Mehitable zamknęła oczy, szarpnęła się, jęknęła, słabo ścisnęła rękę Lyddie.

- Tak musi być, moje dziecko.

- Jest za słaba - odezwała się babka Hall. Oczy Mehitable zrobiły się okrągłe z przerażenia.

- Bzdura - odparła Lyddie. - Przed chwilą omal mi nie zmiażdżyła ręki.

- Uwolniła dłoń z uścisku Mehitable, przyglądała jej włosy i poklepała ją po policzku. - Odpoczywaj pomiędzy skurczami. Świetnie sobie radzisz. Zaraz wrócę. - Wyszła z izby.

Przyszedł Nathan Clarke, stanął przy oknie i spoglądał na drogę. Lyddie podeszła do niego i dotknęła jego ramienia. Odwrócił się gwałtownie.

- Co z nią?

- Trochę to potrwa. Jak zwykle przy pierwszym dziecku. Panie Clarke, chciałam podziękować, że posłał pan po mnie.

- A czemu miałbym tego nie zrobić? Widziałem się z Freemanem. Wszystko uzgodniliśmy. Dlatego puszczam w niepamięć to, co było, i mam nadzieję, że pani zrobi to samo.

Lyddie najbardziej pomogło puścić wszystko w niepamięć to, że Clarke natychmiast znów zaczął mówić o Mehitable.

- Niepokoję się trochę o moją żonę - powiedział. - Nie jest silną kobietą.

- Bzdura - znów zaprzeczyła Lyddie.

- Lekarz powiedział...

- Lekarz chce przydać sobie większego znaczenia, żeby nie kręcić nosem na jego honorarium. Nie ma co zwracać na niego uwagi.

- Moja poprzednia żona zmarła niespełna sześć miesięcy po tym, jak urodziła Bethiah. Biedaczka nigdy nie doszła do siebie po połogu. To też było jej pierwsze dziecko.

- Już wcześniej była chorowita.

- Znam Mehitable, nie od wczoraj jest moją żoną.

- Błagam pana, panie Clarke, żeby tak pan nie mówił, kiedy moja córka może pana usłyszeć. Jest zdrowa i silna, musi pan wierzyć w nią i w babkę Hall.

Ale w miarę jak upływały kolejne godziny, bóle się nasilały, a Mehitable opadała z sił, Lyddie też opuściła pewność siebie. Babka Hall odciągnęła ją na bok i powiedziała:

- Główka jest za duża. Trzeba użyć kleszczy. Poślę po doktora Fesseya.

Przyszedł doktor Fessey, zbadał pacjentkę i oświadczył, że główka rzeczywiście jest za duża, że potrzebne będą kleszcze, ale najpierw trzeba upuścić rodzącej sporo krwi, by zlikwidować przekrwienie. Otworzył torbę i wyłożył na łóżko jej zawartość: lancet, miskę i kleszcze, przypominające obcęgi. Mehitable, która pobladła i skuliła się ze strachu, obserwowała twarz matki i nieco się uspokoiła, co oznaczało, że Lyddie dobrze udało się ukryć własny lęk. Mehitable nie była zmęczona, tylko całkowicie wyczerpana, nie miała nawet siły trzymać ręki matki. Lyddie ostatni raz uścisnęła bezwładne palce córki i się odsunęła.

Lekarz ciachnął lancetem i zebrał do miski sporo krwi. Kobiety położyły Mehitable na wznak i przytrzymały jej ręce i nogi, ale dziewczyna była zbyt wyczerpana i tylko jęczała, kiedy doktor Fessey złapał kleszczami główkę dziecka i pociągnął. Ściśnięta główka przybrała kształt stożka wybrzuszony na ciemieniu. Chwilę później rozległ się pierwszy krzyk noworodka. Okazało się, że to chłopczyk.

- Dobrze - powiedziała babka Hall. - Mają dość dziewczyn do pomocy w gospodarstwie.

Doktor Fessey skinął głową, zadowolony. Usunął łożysko i szybko zakrył łono położnicy materiałem, by nie dostało się do niego powietrze, narażając jej życie na niebezpieczeństwo. Dał znak babce Hall, by związała kolana Mehitable. Przez cały ten czas Mehitable leżała blada i nieruchoma, jak w śnie Lyddie, aż Lyddie musiała podejść i położyć dłoń na piersiach córki, by się upewnić, że się nieznacznie unoszą i opadają.

32

Dziecku dano na imię Edward. Lyddie wprowadziła się do swojego dawnego pokoju, by opiekować się matką i noworodkiem, a Jane odesłano, żeby doglądała krów, kur i ogrodu Lyddie. Dla Lyddie trzymanie dziecka na ręku było jednocześnie czymś fascynującym i trudnym do zniesienia. Bała się, że chłopczyk umrze, choć starała się nie dopuszczać do siebie takiej myśli. Jego własna matka nie mogła go nawet karmić. Obydwoje potrzebowali stałej opieki Lyddie.

Ku zaskoczeniu Lyddie, Nathan Clarke nie tylko zdawał się wdzięczny za jej pomoc, ale również cieszył się z jej towarzystwa. Lyddie z kolei stwierdziła, że ich dawne niesnaski zbladły w obliczu wspólnej troski o

Mehitable i dziecko. Kłopot był z Freemanem. Przychodził każdego wieczoru po kolacji, a we wtorek, po tym, jak Clarke zaczął wychwalać zalety Lyddie jako pielęgniarki i gospodyni, powiedział:

- Cóż, proszę się przygotować na to, że wkrótce ją pan straci. W przyszły czwartek ją stąd zabieram.

- O nie, nie możemy tak szybko zrezygnować z pomocy matki. Lepiej przesunąć termin ślubu.

Freeman, zaskoczony, zwrócił się do Lyddie.

- Z pewnością za tydzień...

- Tak długo byłeś kawalerem - przerwał mu Nathan. - Przypuszczam, że wytrzymasz jeszcze kilka tygodni. Nacieszysz się moją teściową, jak tylko moja żona odzyska siły.

Freeman zmusił się do przybrania dawnej miny, ale jakiś czas później, siedząc z Lyddie w pokoju od frontu, kiedy ona bujała kołyską i cerowała dziurki, które powstały, gdy pieluszki suszono zbyt blisko ognia, stwierdził:

- Nie zdenerwowało pani to odłożenie daty naszego ślubu.

- Po co się denerwować tym, na co i tak nie mamy wpływu? Nie zostawię córki, póki nie będzie mogła sama zająć się gospodarstwem.

- Sama? Ma Murzynkę i dwie córki.

- Może powinnam powiedzieć: aż odzyska siły.

- A ile to może potrwać?

- Wiem jedynie, że jestem tu jeszcze potrzebna. Przyglądał się jej, jak ceruje.

- Dobrze. - Ton jego głosu dowodził ponad wszelką wątpliwość, że wcale tak nie uważa. Zniżył głos. - Rozmawiałem z Clarkiem o drugiej sprawie. Z radością donoszę, że zjednoczył ze mną siły, podobnie jak moja siostra, by uciszyć wcześniejsze fałszywe plotki o pani, krążące w okolicy.

Ostatecznie będzie pani członkiem naszej rodziny. Uważam, że może pani znów przychodzić do domu modlitwy, bo cieszy się pani nieskazitelną opinią.

Lyddie ze zdumieniem uniosła wzrok. Naturalnie dla jej przyszłego męża, w związku z pozycją, jaką zajmował w społeczności, było ważne, by znów przyjęto ją na łono Kościoła, ale czy ona już do tego dojrzała? Lyddie spojrzała na śpiące niemowlę. Jeśli będzie się zdrowo chowało, jeśli jej córka odzyska siły, czy wybaczy Bogu? A może potrafi mu wybaczyć już teraz?

- Doszliśmy do porozumienia z pani zięciem również w innych kwestiach - ciągnął Freeman. - Powiedziałem mu, że chcę, aby mój dom był umeblowany.

Minęła chwila, nim Lyddie zrozumiała, o który dom mu chodzi, a potem - o jakie meble.

- Czy to znaczy, że Nathan wszystko zwróci?

- Już to zrobił. Zapłaciłem mu gotówką. A dokumenty dotyczące domu podpiszemy w piątek.

- Ja też mam coś podpisać?

- Tak jak poprzednio. - Uśmiechnął się. - A raczej zupełnie inaczej.

Tym razem, jak się spodziewam, podpisze je pani bez obaw. - Lyddie odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. Freeman wstał, położył jej dłoń na karku i pochylił się, żeby ją pocałować.

Zza drzwi wychodzących na podwórze dobiegły podniesione głosy. Freeman się gwałtownie wyprostował.

- Co, u licha? Czy to Silas?

Lyddie pokręciła głową. Rozpoznała głos Sama Cowetta, po którym rozległ się ostry głos Nathana.

- Proszę stąd iść.
- Najpierw muszę się zobaczyć z wdową Berry.
- Wyniesie się pan stąd. I to grzecznie, w przeciwnym razie wezwę konstabla.

Lyddie zerwała się z krzesła. Freeman zacisnął jej dłoń na ramieniu.

- Proszę tu zostać. Ja to załatwię. Wyszedł pośpiesznie.

Lyddie poszła za nim. Indianin stał na podwórzu, Nathan na stopniu, ale i tak nie dorównywał Indianinowi wzrostem. Cowett zobaczył Lyddie i powiedział:

- Dobry wieczór, wdowo Berry. Freeman odwrócił się, zaskoczony.

- Lydio, proszę, wejdź do domu. A pan, panie Cowett, niech wraca do siebie.

- Przyszedłem porozmawiać z wdową Berry. To nie przestępstwo.

Młody Nate pojawił się za swoim ojcem. Nathan szepnął mu coś na ucho i chłopak pobiegł drogą. Lyddie ominęła Freemana oraz Nathana i wyszła na podwórze. Kiedy znalazła się blisko Cowetta, poczuła od niego alkohol, ale mężczyzna wpatrywał się w nią uważnie, jak zwykle.

- Chciał pan ze mną mówić, panie Cowett? - spytała.

- Na litość boską, Lydio! - wykrzyknął Freeman. - Wracaj do środka!

- W porządku, Ebenie - uspokoiła go Lyddie. - Co chciał mi pan powiedzieć, panie Cowett?

Cowett, który pilnie słuchał wymiany zdań między Lyddie i Freemanem, zwrócił się do Lyddie.

- A więc to prawda, że zamierza go pani poślubić. Gdybym wiedział, jak stoją sprawy, przyszedłbym wcześniej. - Sięgnął do mieszka przy pasku i wyciągnął dłoń zaciśniętą w pięść. Kiedy Lyddie się nie poruszyła, ujął jej rękę i wysypał na nią kilka monet.

- Pani należność.

- Nie potrzebuje już pańskich pieniędzy - powiedział Freeman.

- Lydio, oddaj mu je. - Ale Lyddie już zacisnęła dłoń na monetach. W tej samej chwili wszyscy się odwrócili na odgłos stukania butów o bruk.

Młody Nate i konstabl, Elisha Mayo, pojawili się na podwórzu.

- Mayo - zwrócił się do niego Nathan, stojący na stopniu.

- Aresztuj tego Indianina za zakłócanie spokoju. Lyddie odwróciła się gwałtownie.

- Co ty mówisz? Przecież zachowuje się jak należy. Przyszedł porozmawiać ze mną, uregulować dług.

- Wtargnął pijany na teren mojej posesji i zakłócił spokój.

- Uważasz, że jest pijany? W takim razie każ aresztować swojego brata Silasa. - Lyddie liczyła na to, że Freeman stanie po jej stronie, ale on zszedł ze stopnia, ujął ją za łokieć i siłą wprowadził do domu.

Stali twarzą w twarz przed zimnym kominkiem w jej pokoju.

- Zaskoczyłaś mnie, Lydio - powiedział Freeman. - Zaskoczyłaś mnie i wielce rozczarowałaś.

- Czyżby?

- „Czyżby”? Tylko tyle masz mi do powiedzenia, „czyżby”? Nie posłuchałaś mojego polecenia, naraziłaś się na niebezpieczeństwo, sprzeciwiłaś się swojemu zięciowi i publicznie go upokorzyłaś...

- Publicznie?

- Sądysz, że wkrótce cała osada nie dowie się, jak przeciwstawiłaś mu się w obronie pijanego Indianina?

- Nic by się nie stało, gdyby mój zięć nie wezwał konstabla. Ale jeśli, jak pan powiedział, upokorzyłam mojego zięcia, to jego sprawa, a nie pana.

- Tak pani uważa? Jeśli kobieta, która, jak to publicznie ogłosiłem, zostanie moją żoną, zachowuje się tak rozwiązle...

- Rozwiązle?

- Jakiego innego słowa mam użyć, kiedy mężczyzna, któremu już pozwoliła pani narazić na szwank swoje dobre imię, pojawia się pod drzwiami pani domu i wypowiada pozbawione szacunku aluzje, dotyczące pani zaręczyn? A pani, zamiast trzymać się od niego z daleka, biegnie mu na spotkanie i broni go, sprzeciwiając się zięciowi?

- Sprzeciwiam się mojemu zięciowi, jeśli uważam, że nie ma racji.

- Naturalnie. Ale nie wtedy, kiedy domaga się przełożenia daty pani ślubu. W takim wypadku, jak zauważyłem, z radością podporządkowuje się pani jego woli.

- Bo taka jest również moja wola.

- Rozumiem. Może w takim razie wolałaby pani w ogóle zrezygnować ze ślubu.

- A może to wszystko świadczy, że pan tego pragnie. Umilkli.

Freeman podszedł do drzwi.

- Powiedziałem, co czuję. Jasno wyraziłem swoje życzenia. Nie stawiam żadnych warunków. Pozostawiam pani decyzję dotyczącą naszego małżeństwa.

Wyszedł.

Lyddie uniosła rękę i zobaczyła, że drży. Otworzyła dłoń, w której ścisnęła monety od Cowetta, i wrzuciła je do kieszeni fartucha.

33

Nazajutrz Lyddie ubrała Mehitable i posadziła ją na kilka godzin, ale kobieta była wciąż zbyt słaba, by cokolwiek robić poza pielęgnowaniem dziecka, a i to tylko wtedy, kiedy obydwójce byli podparci poduszkami. Lyddie poleciła pozostałym domownikom zająć się prowadzeniem obu gospodarstw, a sama opiekowała się wyłącznie Mehitable i jej synkiem. Starając się pokazać, kto tu rządzi, Nathan Clarke ani słowem nie wspominał o sprawie Sama Cowetta. Lyddie zapytała Jota, czy coś słyszał, i dowiedziała się, że Indianina trzymano pod kluczem, póki nie wytrzeźwiał i nie zapłacił grzywny.

Freeman się nie pokazywał. Początkowo Lyddie myślała, że czeka, aż opadną emocje - przecież sam mówił, że kiedy jego stosunki z siostrą stają się zbyt napięte i zachodzi obawa, że da się ponieść nerwom, woli się usunąć na bok by uniknąć konfrontacji. Szanowała taki sposób

postępowania, ale kiedy z jednego dnia zrobiły się dwa, a z dwóch - trzy i Lyddie miała dużo czasu, by jeszcze raz wszystko przemyśleć, z różnych punktów widzenia oceniając incydent, zaczęła przypuszczać, że to unikanie jej przez Freemana może oznaczać swego rodzaju karę. Ostatecznie o co się pokłócili? Nie o Sama Cowetta ani o Nathana Clarke'a, ani o Mehitable, tylko o nieposłuszeństwo Lyddie, najpierw gdy domagał się szybkiego ślubu, a potem kiedy zabronił jej wyjść z domu i spotkać się z Samem Cowettem. Może nawet to „zachowywanie dystansu” w rzeczywistości oznaczało, że stchórzył.

Przypomniała sobie inne fakty. Jego szok, wywołany plotkami krążącymi w okolicy. Jego skrępowanie, kiedy rozmawiali w tawernie. Jak stał sztywno, z daleka od niej przed kominkiem i nazwał ją rozwiązłą. Nie można powiedzieć, że mężczyzna, który takim słowem określa swoją przyszłą żonę, naprawdę wierzy w jej zacność, bez względu na to, jak często staje w obronie jej dobrego imienia. Ale Lyddie najbardziej zastanawiało to, że nie mogła całkiem winić Freemana ani za to określenie, ani za tchórzostwo, jeśli rzeczywiście ogarnęły go jakieś wątpliwości. Sama najlepiej ze wszystkich wiedziała, jak była blisko tego, by stać się kobietą rozwiązłą, i to nie raz, a dwa razy, i nie miało znaczenia, że raz doszłoby do tego za sprawą samego Freemana. Na dodatek Lyddie nie wierzyła, że Sam Cowett chciał się z nią spotkać tylko dlatego, by jej zapłacić zaległą należność, co dodatkowo tłumaczyło zastrzeżenia Freemana, dotyczące motywów postępowania Indianina. Ale pomijając wszystko, jedno nie ulegało wątpliwości: Lyddie, nie będąc mężatką, nie złamała prawa, nie podporządkowując się poleceniu Freemana, lecz po ślubie jej sytuacja diametralnie się zmieni. Freeman zyska nad żoną całkowitą władzę. Czy

może być pewna, iż jest prawym człowiekiem, chociaż on nie potrafi się zdobyć na bezgraniczne zaufanie do niej?

Lyddie cofnęła się myślami do wszystkich dawnych poczynań Freemana, od obrony jej praw, kiedy sprzeciwił się jej zięciowi, aż po propozycję zakupu domu Edwarda. Freeman to nie Edward ani Sam Cowett. Nie zarabiał na życie, wypływając w morze, więc nie zależało mu specjalnie na posiadaniu domu leżącego niedaleko plaży. Mógł wybrać jakąś przestronną posiadłość przy bardziej reprezentacyjnej głównej drodze albo kazać wznieść nowy budynek, odpowiadający jego życzeniom, ale zamiast tego zdecydował się na kupno domu, który - jak wiedział - miał szczególną wartość dla Lyddie. I wiedziała, że dopóki Eben Freeman będzie żył, czyli dłużej, niż jakikolwiek żeglarz, może być pewna, że prawnik zadba, by jego żona była syta, ubrana i nie cierpiała niewygód.

Lyddie wyciągnęła tak daleko idące wnioski na podstawie analizy zachowania Freemana, a on wciąż się nie pojawiał.

Spędzała dni, ciesząc się z postępów, jakie czyniła jej córka, która coraz dłużej siedziała, potem zaczęła chodzić po izbie, potem przeszła do pokoju od frontu. W piątek rano Mehitable pochyliła się i wzięła dziecko z kołyski. Do piątkowego ranka Lyddie ostatecznie i bez cienia wątpliwości uznała, że Freeman nie pokazywał się, bo stchórzył, że kiedy pojawił się na progu jej pokoju, nie wstała, aby go powitać, tylko czekała sztywno, by wysłuchać, co ma jej do zakomunikowania.

Ale Freeman zdecydowanym krokiem przeszedł przez pokój i zmusił ją, by wstała z krzesła.

- Przepraszam - powiedział. - Bardzo przepraszam za to nieporozumienie między nami.

- Ja też przepraszam. Szczególnie za...

- Nie. Proszę nic więcej nie mówić. Znamy się nawzajem na tyle dobrze, że nie musimy wszystkiego dopowiadać. Od czasu do czasu popełniamy błędy i płacimy za nie najgorszym ze wszystkich cierpień - rozłąką, ale dość już tego. Chodź, czekają na nas z dokumentami w drugim pokoju.

Za szybko, pomyślała, to wszystko dzieje się za szybko, i cofnęła się myślami do chwili, kiedy ostatni raz odniosła takie samo wrażenie. Stała wtedy przed stodołą z Ebenem Freemanem, który nazwał ją wdową, kiedy wciąż jeszcze czuła się żoną. Dlaczego akurat teraz przypomniała sobie tamtą chwilę? Czy teraz miała zostać żoną, nim przestała być wdową? Czy myliła bycie wdową po Edwardzie z byciem żoną Edwarda? Nie. Nie. Za tym pierwszym nie warto było tęsknić; to drugie należało już do przeszłości.

Lyddie weszła do pokoju przed Freemanem i znów przypomniała sobie, że kiedy poprzednim razem była w tej izbie, ci sami siwi i łysi mężczyźni stali wokół stołu, taki sam albo prawie taki sam dokument i pióro przygotowano do złożenia podpisu. Nie, poprawiła samą siebie; teraz jest inaczej. Tym razem nie zachodziła potrzeba wzywania Ebena Freemana, bo tutaj był, stał obok niej, a ona podpisze dokument, dzięki któremu nie tylko nie straci dawnego domu, a będzie mogła znów być w nim gospodynią.

Czy aby na pewno? Chociaż takie niedoskonale, jednak prawa Lyddie jako wdowy dawały jej pewną swobodę dysponowania własnością męża; z chwilą kiedy Lyddie podpisze dokument, to Eben Freeman będzie podejmował wszystkie decyzje dotyczące domu. Oczywiście lepiej, żeby decydował o tym Eben Freeman niż Nathan Clarke. Ebenowi leżało na sercu dobro Lyddie, o czym świadczyło chociażby samo to, że chciał kupić ten dom. Ale co się stanie, kiedy ich interesy będą rozbieżne? Lyddie nie miała wątpliwości, że po śmierci Ebena Freemana zyska takie same prawa, jakie

za chwilę miała stracić, ale za życia Freemana? A jeśli ma rację w kwestii jego skłonności do wymierzania jej kary? A jeśli za błędy będzie płacić jedynie ona? Co będzie, jeśli Freeman zapragnie sprawować nad nią władzę, mogąc swobodnie dysponować domem?

Lyddie powtarzała w myślach: nie zrobiłby tego, zrobiłby to, nie zrobiłby tego, nim zrozumiała, w czym tkwi sedno sprawy: bez względu na to, jak postąpi Freeman, ma absolutnie wolną rękę. Zgodnie z prawem z chwilą, kiedy Lyddie podpisze ten dokument może zrobić z domem wszystko, co zechce. I podobnie zyska pełną władzę nad Lyddie z chwilą kiedy ją poślubi.

Lyddie ledwo przestąpiła próg pokoju. Teraz cofnęła się, aż zrównała się z Freemanem.

- Czy możemy porozmawiać na osobności?

- Na osobności?

- Mam pytanie dotyczące tego dokumentu. Przepraszam, że nie pomyślałam o tym wcześniej.

Wyszła z gabinetu, nie dając wyboru Freemanowi, który podążył za nią do jej pokoju.

- O co chodzi, Lydio? Czeka na nas kilku dżentelmenów.

- Tak. Przepraszam. Jeszcze raz. Ale zaraz wszystkiego się zrzeknę i jeśli nie poproszę cię teraz...

- O co chcesz mnie prosić? Wielkie nieba!

- Nie mogę przystać na to, by zrzec się wszystkiego i mieć mniej niż teraz.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Czego się zrzekasz?

- Mojego prawa do korzystania z jednej trzeciej domu. Dziś się tego zrzeknę, a co zyskam jutro?

Freeman jakby urósł i się wyprostował.

- Męża. Jak tylko uznasz, że możesz go poślubić. Uważam, że w ogólnym rozliczeniu...

- To nie kwestia małżeństwa, to kwestia prawa do korzystania z domu. Nie jest to też kwestia rozliczenia. Nie widzi pan? Dziś mam się zrzec prawa do korzystania z jednej trzeciej domu, a w zamian nic nie dostanę. Nie przypuszczam, by pan Otis, podobnie jak pan, prawnik, chciał podpisać taki dokument.

- Zupełnie nie rozumiem, o co tyle zamieszania. Z chwilą kiedy mnie pani poślubi, traci pani wszystkie prawa do domu, przysługujące pani jako wdowie. Tak jest napisane w testamencie Edwarda. Rozumiał, że kiedy pani ponownie wyjdzie za mąż, nie będzie pani potrzebowała takich praw. Czyli to, co stanie się dziś, stałoby się za kilka dni, w dniu naszego ślubu.

- Ale czy tak musi być?

- Lydio, o co ci chodzi? Powiedz i miejmy to już z głowy. Lyddie się zastanowiła. O co jej chodzi?

- Proszę, żeby wolno mi było zachować prawo do korzystania z jednej trzeciej domu, kiedy ty przejmiesz tytuł własności od Clarke'a, i bym je zachowała po naszym ślubie. Czy można sporządzić taki dokument?

Gapił się na nią.

- Wie pani, o co mnie pani prosi? - powiedział w końcu. - Wie pani, jaki to dla mnie policzek?

- Wiem, o co proszę. Uważam, że to nie policzek dla pana, tylko konieczność dla mnie.

- Czy to znaczy, że odmawia pani podpisania dokumentu?

- Nie zamierzam podpisać tego dokumentu. Nie mogę go podpisać. Nie na takich warunkach.

Wzrok Freemana stał się twardy, zimny, mężczyzna zacisnął usta, jego cera przybrała kolor pergaminu poplamionego portwajnem. Lyddie utkwiała w nim spojrzenie, pragnąc, żeby ją zrozumiał, przejrzał na oczy, ale Freeman się odwrócił i wyszedł. Usłyszała, jak otwierają się drzwi do gabinetu, a potem dobiegły ją odgłosy krótkiej, ostrej wymiany zdań. Znów skrzypnęły drzwi gabinetu, a potem - wejściowe. W gabinecie zapanował gwar, a po chwili rozległ się okrzyk:

- Mehitable!

Szybkie kroki, najszybsze, jakie słyszała Lyddie od narodzin małego Edwarda.

- Słucham, Nathanie? Co się stało?

- Znowu! Twoja matka! To jest nie do zniesienia! Znowu odmówiła podpisania dokumentu!

- Nie. To niemożliwe.

- Niemożliwe? Wiem to od samego Freemana. Odmawia! Wyjechał teraz do Barnstable i zostawił ją na moim utrzymaniu. I oto wróciliśmy do punktu wyjścia. Nie, nie wróci do punktu wyjścia, nie pod moim dachem.

Lyddie wytężyła słuch, by usłyszeć odpowiedź Mehitable, ale zdaje się, że ta nic nie powiedziała. Lyddie nie spodziewała się, że córka stanie w jej obronie, ale miała nadzieję, że usłyszy coś, co potwierdziłoby odrodzoną ostatnio więź między nimi. Ale, prawdę mówiąc, czy ta więź kiedykolwiek była silna? Jako mała dziewczynka biegła i rzucała się w ramiona ojca za każdym razem, kiedy wracał do domu, a Lyddie stała z boku i się przyglądała. Owszem, troszczyła się o nią i uczyła ją, i chroniła najlepiej jak umiała, ale zawsze stała z boku i patrzyła. Co spodziewała się zobaczyć?

Jak jej ostatnie dziecko też umiera. Ta okropna prawda uderzyła ją jak obuchem. Ale nie miała czasu, by cokolwiek zrobić z tą wiedzą - usłyszała

za drzwiami ciężkie kroki. Lyddie wzięła dodatkową spódnicę i koszulę, które zabrała ze sobą, i zaczęła je składać, pewna, co za chwilę usłyszy od swojego zięcia. Ale na progu pokoju ujrzała nie Clarke'a, tylko Mehitable. Jej do tej pory blade policzki były zaróżowione. Spojrzała na starannie złożone ubrania na łóżku.

- A więc opuścisz nas i wrócisz do domu ojca.

- Czy mam jakiś wybór?

- Wybór! Masz wiele możliwości do wyboru! Zawsze miałaś!

- Czyli podpisałabyś taki dokument. Oddałabyś wszystko, co masz...

- Zrezygnowałabym z przeszłości na rzecz przyszłości, matko.

- Nie widzisz, że właśnie to robię? Staram się zachować odrobinę kontroli nad swoją przyszłością?

- Ale dlaczego, matko, skoro powszechnie szanowany mężczyzna jest gotów cię utrzymywać?

- Każdy, nawet najbardziej szanowany człowiek zmienia się, kiedy to, co odpowiada jemu, jest sprzeczne z interesem innej osoby.

- Mówisz teraz o moim mężu.

- Mówię o każdym mężczyźnie.

- Nieprawda. Mówisz o moim mężu i o pieniądzach, które podobno ci ukradł. Jak możesz rzucać na niego takie oskarżenia, mieszkając pod jego dachem?

- Myślisz, że powiedziałabym coś takiego, gdybym nie wiedziała, że to prawda?

- Skoro rzeczywiście tak sądzisz, to lepiej, jak się stąd wyprowadzisz.

- Nie zostawię ciebie, córko, ani twojego dziecka, kiedy mnie potrzebujecie.

- Nie potrzebujemy ciebie. Idź sobie.

34

Nie było jej dziesięć dni, pod jej nieobecność dojrzał groch i wiśnie, a kapryfolium i róże zdążyły przekwitnąć. Dom prezentował się znacznie lepiej, bo znów stały w nim meble, ale było duszno i gorąco - tak długo stał zamknięty. Lyddie otworzyła drzwi i okna i wzięła się do pracy, myśląc sobie, że jej biedny dom przeżywa na zmianę okresy całkowitego zaniedbania i nadmiernej troski, więc chyba najchętniej by się pozbył takiej gospodyni. Wylała skwaśniałe mleko i wyrzuciła ogórki, które miała zamarynować. Odwróciła sery, zmyła krew z szyb i wyniosła do lasu martwego gołębia, który leżał pod oknem. Zerwała groch i wiśnie, wypełła chwasty w ogrodzie, zamiotła podłogę i wysypała ją świeżym piaskiem, usunęła pajęczyny, wydoiła krowę, wystawiła bańki na mleko, zjadła na kolację świeże owoce z kawałkiem chleba i padła na łóżko jak podcięta sosna. Spała do wschodu księżyca, a kiedy się obudziła, jej umysł zaczął pracować, jeszcze zanim ciało w pełni się otrząsnęło ze snu.

Wróciła, jak to określił Nathan, do punktu wyjścia. Freeman zerwał z nią i wyjechał do Barnstable. Nathan znów ją wypędził z domu. Sam Cowett... Sam Cowett nie zrobił nic, ale Lyddie nie mogła ponownie zacząć u niego pracować, tak jak nie mogła zostać w domu Nathana i pojechać za

Freemanem do Barnstable. Czy w ogóle chciała pojechać za Freemanem do Barnstable? Kiedy Lyddie pomyślała o Freemanie, zobaczyła oczy zimne jak kamyki. Nie umiała sobie przypomnieć innego Freemana, tego, który tak często podnosił ją na duchu i wprawiał w dobry humor.

Jak to możliwe, że kiedy zdecydowali się wziąć ślub, okazało się, że stoją na przeciwległych brzegach rzeki i żadne z nich nie potrafi znaleźć brodu? Co się zmieniło? A może oni się zmienili? Lyddie roztrząsała po kolei ostatnie wydarzenia: poród Mehitable, wizytę Cowetta, awanturę o dokument, i zastanawiała się, czy powinna postąpić inaczej, by przejść przez rzekę. Gdyby się zgodziła na wcześniejszą datę ślubu... Ale jak mogła to zrobić, kiedy jej córka nie miała siły, by samodzielnie jeść czy usiąść? I dlaczego miała to zrobić, skoro był to jedynie sprawdzian, czyje okaże się na wierzchu? Dlaczego Freeman przywiązywał taką wagę do tego, by pobrali się w tym tygodniu, a nie w następnym?

A wizyta Cowetta? Może gdyby Lyddie została w domu, kiedy przyszedł Cowett, i oszczędziła swojemu zięciowi publicznego upokorzenia, co tak oburzyło Freemana... Ale Freemana naturalnie wcale nie oburzyło upokorzenie jej zięcia, a jego samego. Poleciał Lyddie, żeby została w domu, a ona go nie posłuchała, w obecności Nathana, a co ważniejsze, w obecności Cowetta, który przyszedł zobaczyć się z Lyddie i który nie odszedłby spokojnie, nie spotkawszy się z nią. Ale czemu miałby się nie zobaczyć z Lyddie?

I jeszcze ten dokument. Dlaczego takie drobne żądanie... Chociaż nie. Lyddie, szczerze mówiąc, wiedziała, że jej żądanie wcale nie było takie drobne. W głębi ducha uważała, że było to coś niesłychanego. Naturalnie każdy mężczyzna poczułby się dotknięty, a szczególnie ktoś taki jak Freeman, szcycący się tym, że stara się wszystkich traktować

sprawiedliwie. Ale czemu wywołuje to takie oburzenie? Dlaczego mężczyzna miałby się sprzeciwiać prawu żony do dysponowania domem, w którym zamierzał z nią zamieszkać? Chyba żeby okazać swoją władzę nad nią. A ujawniwszy swoje pragnienie dominacji nad nią, jak mógł się spodziewać, że Lyddie zrezygnuje ze swojego jedyne przywileju? Powinna pomyśleć o tym wcześniej i oszczędzić Freemanowi upokorzenia w obecności Nathana, Eldreda i Griffitha, ale jak myśleć wcześniej o czymś, czego się nie dostrzegało, póki się tego nie zobaczyło czarno na białym? Więc owszem, znowu sprzeciwiła się Freemanowi, znowu go upokorzyła, a on natychmiast pognął co koń wyskoczy do Barnstable. Ale czy Freeman leży teraz w swoim łóżku, tak jak Lyddie w swoim, i zastanawia się, co w jego postępowaniu doprowadziło do rozłamu między nimi? Nie. Gratuluje sobie, że w ostatniej chwili uniknął związania się z tak krnąbrną i upartą kobietą. Chociaż, naturalnie, dał na zapowiedzi, więc w świetle prawa nie wolno mu się wycofać, aż Lyddie lub sąd mu to umożliwią. Cóż, w takim razie mu to umożliwi. Jak tylko Lyddie rano wstała, wzięła blok listowy i napisała:

Szanowny panie Freeman!

Ponieważ to, co się ostatnio wydarzyło, zdaje się świadczyć, że przyszła harmonia małżeńska między nami jest wykluczona, zwalniam pana z obietnicy poślubienia mnie.

Z poważaniem, Lydia H. Berry

Zawołała Jabeza Graya, który akurat przechodził, i dowiedziawszy się od niego, że Seth Cobb właśnie ładuje w Point of Rock małże przeznaczony dla Barnstable, wyruszyła w tamtym kierunku, obierając ścieżkę przez turzyce. W palącym słońcu spociała się jak mysz i przypomniała sobie, jak wiosną szła w przeciwnym kierunku. Wydawało się, że spędzi resztę życia,

chodząc tam i z powrotem, tam i z powrotem, nigdy nie zbaczając z trasy, która już na zawsze została jej przypisana.

Statek Cobba leżał przechylony na burtę, na torze wodnym niedaleko od brzegu; zaprzężone w woły wozy, wyładowane beczkami, podjeżdżały do statku, ekipa ludzi ściągała beczki z wozów i wrzucała je na pokład. Lyddie uniosła spódnicę i brodząc w wodzie, podeszła do statku. Seth Cobb zobaczył ją z pokładu i zeskoczył na brzeg.

Lyddie wyciągnęła list.

- O ile wiem, płynie pan do Barnstable.

Cobb przeczytał nazwisko na liście i uśmiechnął się szeroko.

- List miłosny, tak? Proszę się nie obawiać, własnoręcznie go dostarczę.

- A kiedy zamierza pan wrócić do Satucket?

- Jutro, o ile pogoda i wiatry będą nam sprzyjać.

Lyddie życzyła mu bezpiecznej żeglugi, podziękowała za dostarczenie listu i wróciła do domu.

Nazajutrz Lyddie wypatrywała żagla statku Cobba i ujrzała go nad Wzgórzem Robbina tuż po dwunastej w południe. Czekala, ale chociaż obok jej domu przechodzili różni ludzie i przejeżdżało wiele wozów, Seth Cobb pojawił się dopiero koło czwartej. Wyszła i spotkała się z nim na drodze.

- Mam nadzieję, że rejs był spokojny, panie Cobb?

- Tak, dziękuję. Jeśli chce pani zapytać, czy dostarczyłem list, proszę się nie obawiać. Osobiście doręczyłem do rąk własnych Freemana i zaczekałem, aż go przeczyta, na wypadek gdyby chciał napisać odpowiedź, ale powiedział, że nie będzie odpowiedzi. Domyśliłem się, że wkrótce przyjedzie do Satucket, lecz wyjaśnił, że ma dużo pracy w Barnstable. -

Dopiero wtedy Cobb zmarszczył czoło, jakby w końcu się zorientował, że coś jest nie tak.

- Zaproponowałem, że zaczekam na odpowiedź - powtórzył.

- W porządku, panie Cobb. Nie spodziewałam się odpowiedzi.

Pożegnali się i Cobb poszedł dalej.

35

Sierpień był taki jak zwykle: na początku upalny i parny, potem temperatura i wilgotność spadły, aż pod koniec miesiąca nadeszły pierwsze chłodne noce. Z Kanady przyływały szkunery pełne wielorybiego tłuszczu i na brzegu znów uwijali się ludzie, a powietrze wypełnił ciężki, obrzydliwy zapach, który zawsze oznaczał pomyślność, nawet jeśli teraz nie dla Lyddie osobiście, to przynajmniej dla osady jako takiej. Zebrano siano, spartinę, len i żyto. Koto młyńskie ani na chwilę nie przestawało się obracać. Lyddie zerwała arbuzy, zaniósła je do Searsa i wymieniła na nasiona rzepy. Zasiała rzepę na późny zbiór. Przy okazji udało jej się sprzedać Searsowi dwie pary wełnianych pończoch, co na nowo napełniło ją optymizmem, że jakoś sobie da radę, ale szybko znów straciła nadzieję, gdy po powrocie do domu zobaczyła, jak mało jej zostało drewna na opał. Wziąwszy worek i siekierę Edwarda, znów wybrała się do lasu, zamierzając porąbać na podpałkę wiatrołomy. Nie minęła jeszcze godzina, kiedy uniosła głowę i zobaczyła długi, ciemny cień, przesuwający się między drzewami płynnie jak ciepły olej. Lyddie oparła siekierę o pień i odwróciła się, by powitać Cowetta. Sama poruszała się sztywno jak manekin.

Podszedł i stanął w pewnej odległości od niej.

- A więc Freeman każe pani rąbać swój las?

- Pan Freeman wrócił do Barnstable.

- A kiedy ślub?

- Nie będzie ślubu. Rozmyślił się.

- A co pani na to?

- Nic. Przestałam się zastanawiać, bo nic dobrego z tego nie wynika. Pochylił się, żeby wziąć siekiere, ale Lyddie go powstrzymała.

- Proszę, nie, panie Cowett. Chcę panu coś powiedzieć. Dręczą mnie wyrzuty sumienia w związku z tym, co się wydarzyło podczas naszego ostatniego spotkania. Mój zięć...

- Założę się, że nie ma wyrzutów sumienia.

- Nie.

- Widzę, że już pani u niego nie mieszka.

- Nie.

- Przeniosła się pani tutaj i sama sobie pani jakoś radzi?

- Przynajmniej próbuję.

Cowett podniósł suchą gałąź, złamał ją nogą i wrzucił do worka.

- Nadal potrzebuję gospodyni.

Lyddie się zawahała. Obydwoje doskonale wiedzieli, dlaczego zrezygnowała z pracy u niego. Sięgnęła po siekiere, ale Indianin jedną ręką złapał ją za łokieć, a drugą wyjął siekiere z jej dłoni. Spodziewała się, że mężczyzna zacznie rąbać drwa, ale opuścił siekiere i wpatrywał się oszołomiony w rękaw jej sukni. Lyddie uświadomiła sobie, że to suknia Rebecki. Miała na sobie suknię Rebecki i naturalnie Cowett znał tę suknię tak dobrze, jak znał swoją żonę. Minęło trochę czasu, nim oderwał wzrok od sukni i utkwiał go w twarzy Lyddie, ale nie zabrał ręki.

- Będzie pani pracować u mnie?

- Myślę, że...
- Powiedziała pani, że zrezygnowała z myślenia.
- Czasami trzeba myśleć.
- Czasami lepiej z tego zrezygnować.

Nawet gdyby Lyddie nie zrozumiała znaczenia słów Indianina, jego zachowanie rozwiewało wszelkie wątpliwości. Przesunął ręką wzdłuż rękawa sukni należącej kiedyś do Rebecki i objął krągłe ramię Lyddie. Już raz uciekła przed tą ręką, teraz też mogła uciec albo przestać myśleć i zgodzić się na tę zwykłą rzecz, którą jej proponowano: błogość, jaką daje bliskość drugiego człowieka, żywego, oddychającego, który może przepędzić śmierć. Czy to grzech w pojęciu Anglików lub Indian? Obydwoje byli wolni. Kiedy myślała teraz o Ebenie Freemanie, wyobrażała go sobie, jak leży w ramionach jakiejś dziewczki w jednej z tawern w Barnstable, zaspokojony i rozgrzany.

Sam Cowett drugą ręką ujął ją za łokieć. Lyddie zorientowała się, że nachyla się ku niemu, aż jego oddech poruszył jej włosy. Wsunął obie ręce pod rękawy sukni i wierzchem dłoni musnął sutki Lyddie. Odwrócił ręce, objął jej piersi i je ścisnął. Lyddie poczuła się tak naga, jakby jej ubranie leżało obok na ziemi. Ale nie próbował jej rozebrać. Przytrzymując materiał sukienki, lekko pchnął Lyddie, żeby oparła się o skałę. Znów wsunął ręce pod perkalową sukienkę i ponownie dotknął piersi Lyddie, a potem jej ud. Czowała, że to przebiega ją zimny dreszcz, to znów zalewa fala ciepła. Ogarnął ją zawód, kiedy zabrał ręce, póki się nie zorientowała, że zrobił to, żeby zdjąć spodnie. Wczepiła się w jego barczyste plecy, jego jędrne pośladki, jego długie uda. Było go za dużo nad nią, wokół niej, w niej. Nie wiedziała, co robią jej ręce, co robią jego ręce. Suknia wydeła się, ale szkoda mu było

czasu, by ją z niej zerwać, Lyddie było szkoda czasu, by ją ściągnąć. Wkrótce było już po wszystkim.

*

Wydawało się to takie łatwe: połączyli się, by po chwili się rozdzielić. Wzięli głęboki oddech, opierając się o skałę, dotknął jej twarzy, ona dotknęła jego rąk, po czym udali się każde w swoją stronę. Ale jak tylko Lyddie znalazła się na progu domu i spojrzała na nieliczne przedmioty pochodzące z jej dawnego życia, poczuła ukłucie wstydu.

Spędziła bezsenną noc i nazajutrz z samego rana poszła do Cowetta, żeby mu powiedzieć, że to, co zdarzyło się raz, nie może się więcej powtórzyć. Ale czekał na nią. Od razu zaciągnął ją do pokoju z wilgotnym, skotłowanym pościeleniem, a ona się nie wzbraniała, myśląc: jeszcze raz, jeszcze ten jeden raz. Musiał to wyczuć, musiał wyczuć, że jest sztywna i skrępowana jak tamta młoda dziewczyna, którą wiele lat temu Edward posiadał w stodole. Odsunął się i spojrzał na nią.

- Co cię powstrzymuje?

Lyddie przypomniawszy sobie stawiane dawniej pytania, myśląc, że może tym razem znajdzie inne odpowiedzi na każde z nich. Bez trudu uporała się ze wszystkimi i znów ujrzała przed sobą twarz Ebena Freemana. Czy okazała się jednak równie nędzna, jak tamta dziewczyna z tawerny? Czym się teraz od niej różniła: tym, że tamta brała za to pieniądze?

Sam Cowett potrząsnął nią.

- Co się stało?

- Jest dziewczyna w osadzie, która zarabia na życie, zadając się z przejezdnymi... - zaczęła.

- A więc chce pani za to liczyć tak samo, jak za gotowanie i sprząatanie?

Lyddie spojrzała na niego. Przypomniała sobie czasy, kiedy uważała te czarne oczy za niezgłębione; teraz śmiały się, kpiły z jej skrupułów moralnych, które zniknęły jak porwane wiatrem.

36

Lyddie-grzesznica chodziła po mieście z bardziej hardą miną niż Lyddie uczciwa, i może dlatego tajemnica pozostała tajemnicą. Przyczyniło się do tego również to, że Nathan Clarke tak skutecznie walczył z dawnymi plotkami po tym, jak postanowił ją z powrotem przyjąć na łono rodziny, że gdyby teraz znów próbował je rozsiewać, ośmieszyłby siebie, a nie Lyddie. Lyddie oficjalnie znów zaczęła pracować u Sama Cowetta, ale ponieważ nie była to żadna nowina, ludzie nie interesowali się tym specjalnie i Lyddie odkryła, że pod pretekstem pracy może swobodnie przebywać w jego domu. Kiedy wracał z połowów, Lyddie spożywała z nim posiłki i często zostawała na noc. O świcie budził ją pieszczotami. Nie chciała ściągać sobie na głowę kłopotów, szła więc przez las, a nie drogą, wracając do siebie o takiej dziwnej porze. Cowett nigdy nie odwiedzał Lyddie.

Kiedy nie spała, myślała wyłącznie o Samie Cowecie, obojwoje odczuwali rozpaczliwą potrzebę bliskości. Ale początkowo, kiedy budziła się z ręką Indianina między swoimi udami, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że to ręka Edwarda. Albo kiedy czuła, jak delikatnie muska jej szyję palcami, była pewna, że to dłoń Freemana. Za każdym razem, gdy otwierała

oczy i widziała obok siebie smagłą, jakby rzeźbioną twarz, Lyddie ogarniała panika, ale w miarę upływu tygodni zniknęły zarówno jej senne wizje, jak i strach.

Cowett nadal płacił Lyddie za gotowanie i sprzątanie, osobno uzgadniała z nim, na jakich warunkach dostarczy jej drwa.

Skrupulatnie dzieliła pieniądze, którymi dysponowała: to na siano, to na mięso, to na ziarno.

Mijały tygodnie, dni stawały się chłodniejsze. Lyddie coraz częściej, naprawiając spodnie Sama Cowetta albo opróżniając jego nocnik, albo budząc się obok niego rozgrzana i naga, czuła się żoną tak samo jak wtedy, kiedy żył Edward. Niekiedy nawet traktowała Indianina jak Edwarda, szczególnie gdy razem spędzali czas pomiędzy jego nieobecnościami w domu. Ale czasami ze zdumieniem odkrywała, że zupełnie nie zna Sama Cowetta. Wtedy wkradał się do jej serca lekki niepokój, że odważyła się związać swój los z tym człowiekiem, a zabrakło jej odwagi, by poślubić Ebena Freemana. Lecz gdy w wyniku takich rozważań w Lyddie zaczynały się rodzić wątpliwości, kobieta przypominała sobie zasadniczą różnicę między obydwoma sytuacjami: nawet jeśli coś straciła, nadal dysponowała jedną trzecią domu. Z resztą jakoś sobie poradzi.

*

Pewnego dnia pod koniec września Lyddie wydoiła krowę, wyprowadziła ją na łąkę i już miała iść do Cowetta, kiedy ktoś gwałtownie zapukał do jej drzwi. Otworzyła je pospiesznie i ujrzała na progu Nathana Clarke'a.

- Dzień dobry, matko. - Wszedł do środka i dokładnie przyjrzał się kuchni, wszedł do izby południowo-zachodniej i też się jej przyjrzał, potem wbiegł zwinnie po schodach i obszedł poddasze. W pierwszej chwili Lyddie

pomyślała, że przyszedł odebrać swoje meble, ale on wrócił do kuchni i oświadczył:

- Bardzo dobrze, matko. Cieszę się, że wszystko doprowadziłaś do porządku. - Wyszedł i po chwili wrócił, trzymając za łokieć milczącego Silasa Clarke'a. Za nimi weszły zmięta na twarzy Patience i piątka dzieci, każde dźwigając albo ciągnąc kilka pakunków.

- Przykro mi to mówić, ale mój brat Clarke stracił swój dom za długi. Na szczęście mogłem mu zaproponować mieszkanie tutaj.

Bracie i bratowo, wiedzcie, że moja matka ma prawo do jednej trzeciej kuchni i tamtej izby, jak również do spiżarni, piwnicy i kąta dla swojej krowy w oborze, ale z reszty możecie korzystać bez ograniczeń. Na poddaszu jest sporo miejsca i dość łóżek dla dzieci, jestem pewny, że wam dwojgu będzie całkiem wygodnie w południowo-zachodniej izbie. Czynyś będę potrącał z twojego zarobku w garbarni, bracie. Uważam sprawy między nami za załatwione. Do widzenia wam. I do widzenia tobie, matko. Wyszedł.

Silas Clarke usiadł za stołem w kuchni i zabrał się do jedzenia pieroga, który Lyddie chciała zanieść Cowettowi. W tym czasie żona Clarke'a, dzieci i Lyddie wysunęły łóżka na środek poddasza, przewietrzyły i na nowo wypchały sienniki, po czym przykryły je cienkimi prześcieradłami, które Patience Clarke udało się uchronić przed zlicytowaniem. Lyddie nie stać było na karmienie siedmioosobowej rodziny, ale kiedy pięć par oczu w mizernych buziach patrzyło, wyraźnie przeżywając katusze, jak Silas Clarke pochłania pieróg, Lyddie położyła na stole bochenek chleba, kawałek sera, a do tego postawiła sześć sporych kubków mleka, z którego zamierzała zrobić pudding.

Nim zjedli i sprzątnęli po posiłku, zrobiło się późno i Lyddie wcale się nie zdziwiła, kiedy znów usłyszała pukanie do drzwi i zobaczyła na progu Sama Cowetta. Dzieciaki skuliły się i cofnęły na jego widok, o co Lyddie nie mogła mieć do nich pretensji - twarz Indianina była surowa i ciemna jak jej żelazny kociołek.

- Nie pojawiła się pani u mnie - odezwał się.

Lyddie pokazała ręką Clarke'ów, stojących za nią jak rząd słupów soli.

- Mój syn właśnie przyprowadził swoich lokatorów.

Cowett przyjrzał się milczącym Clarke'om. Mężczyźni nieznacznie skinęli sobie głowami.

- Myślałem, że pani zachorowała. Albo umarła.

- Akurat się do pana wybierałam.

- Niedługo wypływam.

- Czy ma pan jakieś szczególne polecenia? Znów rozejrzał się po izbie.

- Nie - powiedział i wyszedł.

Gdy Lyddie przyszła do jego domu, rzeczywiście Cowetta już nie było, ale wcale się tym nie zmartwiła. Pod nieobecność Indianina szybko uwinęła się z robotą i wyszła od niego, zanim cień domu dosięgnął stodoły.

Ale po powrocie do siebie zobaczyła, że Silas Clarke już zdążył opróżnić połowę jej butelki brandy. Szybkiem krokiem przeszła przez kuchnię i zabrała butelkę ze stołu, udała się do swojego pokoju i schowała ją pod ubraniami Rebecki, które wróciły na dno skrzyni. Wzięła nowy blok listowy, wróciła do kuchni i rzuciła go na stół.

- To rejestr. Zacznę go wypełniać jutro. Panie Clarke, będzie pan płacił za to, co zjecie i wypijecie. Pani Clarke, może pani przechowywać zapasy w szafkach, opróżnię też jedną półkę w piwnicy na pani produkty. Spizarnia jednak należy wyłącznie do mnie.

- Ha! - krzyknął Silas. - Będę teraz mieszkał z dwiema heterami, tak?

- Pracuję, by mieć z czego żyć, panie Clarke. Nikogo nie będę utrzymywała.

- Ten Indianin panią utrzymuje. To on pani płaci, prawda? I słusznie. To jego obowiązek. Ten, przez kogo została pani wdową, powinien panią utrzymywać. Takie jest moje zdanie.

- Panie Clarke - powiedziała Patience. - Czy mógłby mi pan pomóc naprawić łóżko? Jedna noga się chwieje.

- Pomagam tam, gdzie moja pomoc jest najbardziej potrzebna, a najbardziej potrzebna jest tutaj. Wdowo Berry, jaka pani jest głupia. Nie słyszy pani, co mówią ludzie?

- Panie Clarke, noga łóżka jest bardzo obluzowana - powtórzyła Patience. - Jeśli chce pan wygodnie spać...

- Łóżko z chwiejącą się nogą. Jakie to podobne do mojego brata. Nigdy nie oddawaj wszystkiego, jeśli możesz oddać tylko część. A przecież płacimy czynsz.

Ale wstał z za stołu i poszedł do swojej nowej sypialni, skąd nie dobiegł ani jeden dźwięk, który przypominałby naprawianie nogi łóżka, tylko głośnie skrzypnięcie, gdy mężczyzna zwałił się na wypchany łuskami siennik. Wkrótce dom wypełniło chrapanie. Patience Clarke wróciła do kuchni. Lyddie wzruszył widok jej wymizerowanej twarzy i zapadniętych oczu dzieci, wciąż stojących pod ścianami jak słupy soli.

- Czy ma pani jakieś pieniądze? - zwróciła się cicho do kobiety.

- Mam skromne oszczędności. Szwagier Clarke zatrudnił mojego męża w swojej garbarni. Jutro pójdę do sklepu Searsa i zrobię zakupy, ale za to, co dziś wieczorem zjedzą dzieci... - Sięgnęła do kieszeni fartucha i wyciągnęła portmonetkę.

Lyddie odsunęła jej wyciągniętą rękę.

- Od jutra zacznę zapisywać wydatki. Chodźcie, dzieci. - Dzieci podbiegły do stołu i Lyddie postawiła na nim znaczną część swoich zapasów pikli, sera, piwa i chleba.

Lyddie zjadła posiłek w swoim pokoju i wczesnie udała się na spoczynek.

Tamtej nocy po raz pierwszy było naprawdę zimno, a do tego przyśnił jej się nowy sen. Od śmierci Edwarda Lyddie miała wrażenie, że nie przespaała porządnie dwóch nocy. Budziło ją każde skrzypnięcie konara sosny, każde huknięcie sowy, każdy trzask ognia. Te gwałtowne pobudki sprawiały, że pamiętała swoje sny przynajmniej dopóty, dopóki znów nie usnęła. Niektóre z nich zapamiętała do rana. Większość z nich się powtarzała, występowali w niej zmarli mężowie albo dzieci, i początkowo wydawało jej się, że ten nowy sen nie różni się od tamtych. Zaczął się tak, jak wiele snów Lyddie: od jej córki. Mehitable siedziała przy kominku, skracając rękawy u kurtki Edwarda, by mógł ją nosić jej mąż, który był niższy. Lyddie siedziała po drugiej stronie kominka, robiąc na drutach pończochy, których stos był taki wysoki, że niemal zasłaniał jej córkę. Ale Lyddie widziała kurtkę. Rozpoznała ją. Przemówiła do Mehitable.

- Córko, czemu trudzisz się przeróbką? Ta kurtka wymaga nowego rękawa.

Ale wtedy Mehitable podniosła kurtkę i Lyddie zobaczyła, że kurtka, w której utonął Edward, jest cała.

Lyddie obudziła się, czując, jak jej szybko bije serce, czemu towarzyszyła jakby nowa nadzieja. Kurtka była cała. Edward żyje. Słyszy nawet jego głośny oddech...

Nieprawda. Lyddie usiadła. Już wiedziała, co nocą może się człowiekowi roić w głowie. Nie będzie na to zwracała uwagi. Znów się położyła i nakryła głowę poduszką.

*

Clarke'owie wcześniej wstali i wyszli, Patience z dziećmi udała się do sklepu Searsa, Silas do garbarni. Lyddie jeszcze zastała Cowetta w domu.

Powitał ją słowami:

- Clarke chce, żeby ci ludzie u pani mieszkali?

- Ma do tego prawo. Podzielił dom zgodnie z propozycją, przedstawioną przez pana Freemana.

- Pana Freemana. - Cowett odsunął talerz i kubek, po czym wstał.

Lyddie się pochyliła, żeby sprzątnąć ze stołu, ale Cowett zaszedł ją od tyłu, objął w talii, przytulił twarz do jej karku. - Nie lubię go - mruknął. - Ani Clarke'a.

- Którego Clarke'a?

- Obu. Ale ten, który zamieszkał pod pani dachem, jest bardziej dokuczliwy. Lepiej mieć go na oku.

- Chyba lepiej, jak będę miała ciebie na oku - powiedziała ze śmiechem, bo już zadarł jej spódnice. Ale było za późno, wsunął palce w wilgotną szparę między udami, podniecił Lyddie, potem wszedł w nią od tyłu. Musiała się uchwycić krawędzi stołu, by nie upaść.

Podciągnął spodnie, wsadził resztę chleba do worka, powiedział: „Przyjdź dziś wieczorem” i wyszedł.

Ale Lyddie nie przyszła do niego tamtego wieczoru. W domu nigdy nie było na tyle cicho, by czuła, że bezpiecznie może się wymknąć. Patience do późna ustawiała garnki i trójnogi na swojej części kuchni; nietoperz wleciał na poddasze; najmniejsze dziecko w końcu usnęło, ale zaraz się

obudziło z płaczem, a kiedy w końcu Patience położyła się do łóżka, wrócił Silas z tawerny i stał na progu, wydzierając się:

- Otwórz drzwi! Otwórz te cholerne drzwi, ty przeklęta kobieto! Nie chcesz mnie wpuścić? Spróbuj, a mnie popamiętasz!

Lyddie wstała i zobaczyła, że Patience Clarke siedzi skulona pod drzwiami, nie chcąc albo nie potrafiąc ich otworzyć.

- Nie musimy się bać kogoś, kto nawet nie może znaleźć zasuwki i jej odsunąć - powiedziała Lyddie, podeszła do drzwi i je otworzyła.

- Och, obie tu jesteście. Nie chciałaś mnie wpuścić, tak? A może myślałaś, że to ten przeklęty Indianin-morderca? Powinnaś dziękować losowi, że tu jestem i mogę cię bronić.

- Drzwi nie były zaryglowane, panie Clarke. Ale od jutra będą. Albo będzie pan wracał przed zmrokiem, albo może pan spać w tawernie.

Lyddie zostawiła ich, oszołomionych, ale nie mogła usnąć, póki nie usłyszała chrapania Silasa, znaku, że już nie będzie się więcej awanturował. A kiedy w końcu usnęła, znów przyśnił się jej Edward.

Leżał na stole w kuchni w domu Nathana Clarke'a, szary na twarzy, z okropną raną w głowie. Nie ulegało wątpliwości, że jest martwy, ale Lyddie i tak kłóciła się z Mehitable o ubrania swojego męża.

- Nie, nie możesz wziąć butów dla Nate'a. Nie, nie, Edward potrzebuje kurtki, jest mu bardzo zimno. Nie czujesz, jak mu zimno? Zresztą zobacz. Kurtka jest podarta.

Ale Mehitable już ściągała kurtkę z zimnego, sztywnego Edwarda, z martwego Edwarda. Lyddie doskonale wiedziała, że Edward nie żyje, ale i tak wyciągnęła rękę, żeby powstrzymać córkę, odsuwała jej ręce, aż Nathan Clarke powiedział:

- Nie pleć głupstw, matko. Wiesz, że ta kurtka należy teraz do mnie i mogę z nią zrobić, co mi się podoba.

Po chwili Nathan stał w calutkiej kurtce, a na stole leżał nagi Edward z wielką dziurą w głowie. Sam Cowett pochylał się nad nim, mówiąc:

- Widzi pani, wdowo Berry? Nie mówiłem pani, że nie żyje?

Ale Lyddie wiedziała, że nie powinna mu wierzyć. Obudziła się z tą świadomością, która jej nie opuściła, nawet kiedy już zrobiło się widno. Zawładnęła ją irracjonalna myśl, że nie powinna wierzyć Samowi Cowettowi, twierzącemu, że Edward nie żyje.

37

Następnego dnia Silas nie poszedł do garbarni. Nie ufając mu, że nie zajrzy do jej spiżarni, Lyddie czekała, aż Patience z dziećmi wróci ze sklepu Searsa z zakupami. Zanim dotarła do domu Cowetta, znów spóźniona, Indianin już wyszedł. Mogła się zająć praniem, bo miał dużo brudnych rzeczy, ale sprzątnęła tylko jego pokój, przygotowała posiłek, zamiotła podłogę i wyszła, nim wrócił.

Silas wziął skądś alkohol i siedział za stołem, pokrzykując na żonę i dzieci, żeby mu przyniosły a to fajkę, a to nóż, a to kamizelkę. Sam wstawał jedynie, żeby załatwić potrzebę na podwórzu. Zawsze kiedy Lyddie znalazła się w pobliżu niego, robił jakąś uwagę o Indianinie, czasami pochlebnią, na przykład jak świetnie posługuje się wiosłem, ale na ogół obraźliwą. Nazywał go czarnym śmierdzielem albo pogańskim niewolnikiem, albo właścicielem pogańskich dziewczek sprzedajnych. Od tego wszystkiego Lyddie rozboleła głowa; spędziła późne popołudnie, pracując w ogrodzie. Kiedy wróciła do domu, Patience ani dzieci nie było. Silas Clarke siedział nieruchomo na krześle przy stole, a Sam Cowett pochylał się nad nim, mówiąc cicho.

- Zrozumiałeś? Zapłacisz własnym życiem. Trzymaj się z daleka, albo trafisz na cmentarz. - Odwrócił się, zobaczył Lyddie i tym samym tonem powiedział do niej: - Proszę ze mną pójść. - Wyszedł. Lyddie ruszyła za nim, ale on maszerował drogą dalej.

- Dokąd pan idzie?

- Tam, gdzie będziemy sami.

- Nie mogę teraz z panem pójść. Proszę pomyśleć, co powiedzą ludzie.

Zatrzymał się i odwrócił.

- Przejmuje się pani tym, co mówią?

- Mniej niż pan, sądząc po tym, w jaki sposób dopiero co rozmawiał pan z Silasem. Chce pan znów zapłacić grzywnę? Albo trafić do więzienia?

- Nie mogą mnie zamknąć.

- Wracam do siebie. Złapał ją, ale mu się wyrwała.

- Proszę się zastanowić, co pan robi. Ktoś może nadejść i nas zobaczyć.

- Cała osada o nas wie. Proszę pójść ze mną.

- Nie. Nie teraz.

- Dziś wieczorem.

- Zobaczę.

Pospiesznie zawróciła drogą.

Kiedy Lyddie dotarła do domu, Patience Clarke akurat przygotowała kolację dla swojej rodziny. Lyddie przyniosła sobie ze spiżarni własny chleb i piwo, zjadła i napiła się w swoim pokoju, a potem została w nim, nasłuchując, jak w domu zapada cisza. Bez trudu wyslizgnęłaby się tylnymi drzwiami; gdyby ją ktoś zobaczył, mogłaby oświadczyć, że szła do wygodki. Gdyby jej nikt nie zobaczył, mogła pójść przez las do Cowetta i albo wrócić tą samą drogą przed wschodem słońca, albo zostać u niego na noc, a po powrocie udać zdziwienie, że nikt nie słyszał, jak wychodziła z domu przed świtem.

Ale Lyddie została w swoim pokoju. Ogarnęła ją ogólna niemoc. Leżała ubrana na posłanym łóżku i myślała o wydarzeniach minionego dnia, starając się zrozumieć ich przyczynę. Zaczęła od rozważań o pogroźkach Sama Cowetta wobec Silasa Clarke'a. Słowa, pomyślała, nic, tylko słowa. Ale groził mu śmiercią. Za co? Martwił się o bezpieczeństwo Lyddie, odkąd

Silas Clarke zamieszkał z nią pod jednym dachem? Bardzo dobrze, Lyddie też czuła się zagrożona. Pijany mężczyzna, wymachujący nożem kuchennym, stanowi zagrożenie dla wszystkich. I chociaż Lyddie wcale nie chciała zobaczyć Patience martwej, jeszcze mniej pragnęła własnej śmierci. Ale słowa Cowetta sprawiły, że Lyddie zaniepokoiło jeszcze coś. Świadczyły o tym, że bardziej przejmuje się losem Lyddie, niż sobie do tej pory uświadamiała. Każdy, kto groził komuś śmiercią, a szczególnie Indianin grożący białemu, narażał się na wielkie niebezpieczeństwo. Lyddie nie miała wątpliwości, że gdyby Silas Clarke poskarżył się konstablowi, Cowett wkrótce znalazłby się w więzieniu w Barnstable. Powinna pójść do niego, myślała. I co? Ostrzec go? Podziękować mu? Zlec z nim?

Dalej leżała. Przypomniła sobie teraz słowa Silasa o pogańskich dziewczkach sprzedajnych. Co się stało z młodą Indianką, która codziennie przychodziła do Cowetta, a potem coraz rzadziej widać ją było na drodze? Kiedy Lyddie przyszła do Indianina po kilku tygodniach nieobecności, w domu panował porządek, i to znacznie większy, niż gdyby przypisać to wyłącznie staraniom Sama Cowetta. Czy Lyddie była jedynie białą następczynią tamtej pogańskiej dziewczki? Czy też Silas uważał właśnie Lyddie za tę pogańską wszetecznicę? Od dawna nie chodziła na nabożeństwa. Wierzyła, że Nathan Clarke wyplenił dawne plotki, które sam wcześniej o niej rozgłaszał, ale czy kiedykolwiek komukolwiek udało się całkowicie uciszyć plotki? Czy Silas nie powiedział zaledwie wczoraj: „Nie słyszysz, co ludzie mówią?”. Czy to, co kiedyś mówiono o Lyddie i Samie Cowecie, nadal powtarzano, tylko po cichu?

Ale co Lyddie obchodzi gadanina pijanego Silasa Clarke'a? Plótl bez ładu i składu, a to o wiosłach, a to o wszetecznicach. Jednak Lyddie nie chciała, żeby ktokolwiek zobaczył, jak Cowett obłapuje ją na środku drogi.

To, że chciał zrobić coś takiego, nie zastanawiając się, jakie to może mieć konsekwencje dla Lyddie, kazało jej trochę ostrożniej potraktować nowe odkrycie: że tak bardzo mu na niej zależy.

Nie pójdzie do niego. Zdjęła spódnicę, buty i pończochy, weszła pod kołdrę i zapadła w sen pozbawiony marzeń sennych. Ale kiedy się obudziła, wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że nie powinna wierzyć Samowi Cowettowi.

Lyddie wstała i szybko się ubrała. Nie było cienia wątpliwości, że Edward nie żyje; Lyddie własnymi rękami złożyła jego zimne, bezwładne ciało do trumny, widziała, jak trumnę zakopano w ziemi.

Lyddie zjadła śniadanie w swoim pokoju, opróżniła nocnik i poszła do Cowetta.

Tym razem Indianin czekał na nią. Był w nie lepszym nastroju niż poprzedniego dnia.

- Co panią zatrzymało? Jeszcze pół godziny i skończyłby się odpływ.

- A po co panu pół godziny?

Zaciągnął ją do swojego pokoju i nie zważał na to, jaka była oziębła. Pieścił ją i pieścił, aż mu uległa. Zajęło to trochę czasu, więc kiedy już było po wszystkim, tak szybko się ubierał, że urwał tasiemkę przy koszuli i musiał znaleźć drugą.

Gdy wyszedł, Lyddie siedziała na jego łóżku, w pościeli mokrej od ich potu, i naprawiała koszulę Sama Cowetta igłą należącą do Rebecki Cowett. Nie wiedziała, kiedy niedawny sen znów zaczął ją prześladować. Nie mogła się uwolnić od natrętnych myśli, aż w końcu, patrząc na podartą koszulę, uświadomiła sobie, dlaczego nie powinna wierzyć Samowi Cowettowi i co jej naprawdę próbował uzmysłwić jej sen.

Sam Cowett powiedział, że kurtka Edwarda się podarła, kiedy próbował go ratować, ale sama widziała, i na jawie, i we śnie, i to nie raz, że solidna kurtka robocza Edwarda była cała.

*

Lyddie zrobiła, co miała do zrobienia u Sama Cowetta, a potem wróciła do siebie, by doprowadzić do jakiegoś takiego ładu własny dom, starając się w miarę możliwości omijać licznych Clarke'ów. Niepodarta kurtka Edwarda oznaczała dla Lyddie tylko jedno:

Sam Cowett chciał znaleźć jakieś usprawiedliwienie, dlaczego nie wyciągnął z wody męża Lyddie, albo, mówiąc brutalnie, chciał ratować własną dumę. Ale tamtego wieczoru, kiedy zarygłowała drzwi i pomyślała z pewną dozą ironii, że zarygłowała się z tym, który jej najbardziej zagraża, ponieważ Silas Clarke posłuchał jej przestrogi i wrócił przed zmrokiem, sprawa kurtki znów zakłóciła jej sen. Szwy puściły, powiedział Cowett. Dlaczego Indianin twierdził, że kurtka Edwarda się rozdarła? Co wydarzyło się tam, na morzu, co skłoniło Cowetta do kłamstwa? Lyddie przypominała sobie wszystkie rozmowy o tragicznej śmierci Edwarda, poczynając od rozmowy z Shubaelem. Cowett dotarł na miejsce tragedii pierwszy. Shubael miał niewiele do powiedzenia o samym utonięciu Edwarda, a zgodnie z późniejszą, podsłuchaną przez nią rozmową, o której Lyddie jakoś zapomniała w całym tym zamieszaniu, bał się pytać Lyddie. Bał się Indianina. Ale dlaczego? Bo Shubael widział coś, co w jakiś sposób dotyczyło Cowetta, i gdyby Indianin się o tym dowiedział, nie cofnąłby się przed niczym, by chronić własną skórę? Nawet byłby gotów zabić Shubaela?

Nie, nie, nie. Lyddie nawet nie chciała dopuszczać do siebie takiej myśli. W przeciwieństwie do Silasa. Czyż wczoraj wieczorem Cowett nie

groził Silasowi śmiercią? A jeśli Lyddie teraz inaczej zinterpretuje słowa Indianina, który wcale nie próbował chronić jej, tylko siebie? Od kogo Silas miał się trzymać z daleka, jeśli nie od samej Lyddie? A może Silas wcale nie miał się trzymać z daleka od Lyddie, tylko nie powracać do sprawy śmierci Edwarda? Indianin z własnego doświadczenia wiedział, co może powiedzieć człowiek będący pod wpływem alkoholu. I Silas rzeczywiście robił jakieś aluzje. Lyddie wciąż słyszała jego słowa. Ten, przez kogo została pani w d o w ą, utrzymuje panią... Nie słyszy pani, co ludzie mówią?... Przeklęty Indianin-morderca... umie posługiwać się wiosłem...

Lyddie odrzuciła kołdrę i usiadła. Ogarnęły ją mdłości, kiedy przypomniała sobie ranę na głowie Edwarda, ranę, jaka mogłaby powstać od uderzenia wiosłem. O tak, Silas Clarke wygadywał różne rzeczy, ale Lyddie prawie nie zwracała na to uwagi, traktowała wszystko jak bredzenie pijaka. Lecz teraz, siedząc w ciemnościach, zastanawiała się, czy nie odrzucała niewyraźnych aluzji zbyt pochopnie. Zamknęła oczy i próbowała sobie przypomnieć, co Jabez Gray powiedział jej o śmierci Edwarda: łódź się przewróciła, rzucono linę pozostałym, żeby wyciągnąć ich z wody, Cowett w końcu sam pospieszył na ratunek Edwardowi, podając mu wiosło... Wielki Boże, Jabez Gray sam to powiedział: Cowett w końcu sam pospieszył na ratunek, podając Edwardowi wiosło; kto wie, jaki cios można było zadać tym wiosłem w panujących ciemnościach, w tej wodnej kipieli? Może najpierw z całych sił zdzielił go wiosłem, a potem odegrał całą tę komedię, złapał za kurtkę Edwarda, wyciągnął go. Ale kiedy zobaczył, że Edward oddycha, że Edward żyje... och, czy Jabez Gray właśnie tak nie powiedział? Widziałem, jak pani mąż oddycha, widziałem, jak jego klatka piersiowa się unosi i opada... żył...

A potem co? Jabez Gray nie widział, odwrócił się, żeby się nie zderzyli z łodzią Shubaela, a kiedy ponownie spojrzął, już nie zobaczył Edwarda. „To wszystko, co mogę powiedzieć. Zniknął”.

Nie, nie, nie. To nieprawda. Daje wiarę wytworom chorobliwej wyobraźni. Obudzi się rano i przypomni sobie, co jeszcze ktoś powiedział, a wtedy cała ta misterna konstrukcja się zawali. Po pierwsze, dlaczego Sam Cowett miałby pragnąć śmierci Edwarda Berry'ego? Podczas wszystkich tych lat, kiedy wspólnie korzystali z lasu, Lyddie nigdy nie słyszała, by między mężczyznami padło chociaż jedno złe słowo. Ale kiedy sobie to uświadomiła, usłużna pamięć podsunęła jej uwagę dotyczącą wiatru, rzuconą przez braci Gray pewnego razu po nabożeństwie, kiedy rozmawiali o Samie Cowecie: „... chyba wolałbym mu się nie sprzeciwiać... Nie? W takim razie nie jesteś taki jak Edward Berry.

Ale czemu mieliby się kłócić? Nie było nic, absolutnie nic... ależ było. Naturalnie, że było. Gdyby Lyddie wyjrzała przez okno swojej izby, zobaczyłaby to w świetle księżyca. Ziemia. Cenny kawałek ziemi, który przeszedł z rąk Cowettów w ręce Berrych bez niczego w zamian. Lyddie na własne oczy widziała akt darowizny i nie umknął jej uwagi fakt, że Indianin, podpisujący się zwykłą literą V, nie potrafiłby posługiwać się taką wyszukaną angielszczyzną. Dlaczego w ogóle pomyślała, że zrozumiał taki język? Przypuśćmy więc, że coś się kryło za przejściem ziemi z rąk Cowettów w ręce Berrych. Przypuśćmy, że stosunki stały się bardziej napięte za życia kolejnych dwóch pokoleń i Sam Cowett chował urazę. Czyż Eben Freeman nie nazwał go „człowiekiem pielęgnującym liczne urazy, stare i nowe”? Czy Sam Cowett nie wspomniał o boskiej wadze, na której ważono ziemię i wodę? Czy kiedy nadarzyła się okazja, Sam Cowett zdolny

byłby do zemsty za wyłudzenie ziemi przed laty i zabiłby człowieka, którego uważał za swego wroga?

Lyddie chciała by temu zaprzeczyć, próbowała zaprzeczać, ale utrudniały jej to pytania dotyczące jej roli w całej historii. Jeśli Sam Cowett żywił urazę do Edwarda, jeśli nie zadowoliła go sama śmierć Edwarda, co jeszcze mógł zrobić, by zaszkodzić Berrym? Na przykład próbować udaremnić sprzedaż domu. Kiedy jednak bliżej poznał wdowę i zorientował się, jaką ma buntowniczą naturę, niewykluczone, że zdecydował się na coś innego. Jak łatwo mu przyszło nakłonić ją, by najpierw wyrzekła się swojej wiary, potem - rodziny, następnie - społeczności. A na koniec poróżnił Lyddie z jedynym człowiekiem, który mógłby pogodzić ją ze wszystkimi.

Ale czy Sam Cowett naprawdę to wszystko zrobił? Lyddie nie musiała czekać na świt, żeby wiedzieć, że nie, naturalnie, że nie. Nie mogła winić go za swoje czyny. Chociaż odegrał pewną rolę w całej tej historii. Lyddie tak bardzo skłaniała się ku każdemu z tych występków, że wystarczyło leciutko ją popchnąć, by wkroczyła na złą drogę. A Sam Cowett miał wyjątkowy dar przekonywania. Czy całe to gadanie o indiańskich bogach i indiańskich zasadach moralnych miało na celu jedno: pozbawić Lyddie czci i uczynić ją powolną sobie, a siebie uratować albo zniszczyć, jeśli sumienie go ruszy?

Nie, nie, nie. Nigdy w to nie uwierzy. Zamknęła oczy i przypomniała sobie dotyk jego dłoni na skórze, ale nawet w tym widziała teraz wykorzystywanie jej samotności, równoznaczne z manipulowaniem umysłem. No bo jak inaczej wytłumaczyć, że Lydia Berry, potomkini ludzi bardzo religijnych, którzy sformułowali prawa moralne obowiązujące w kolonii, zmieniła się tak bardzo, że nie widziała grzechu w czynach, jakich się dopuściła? Jak do tego doszło, że właśnie temu mężczyźnie pozwoliła, by pozbawił ją wiary i zdarł z niej przyodziewek? I wtedy Lyddie

przypomniała sobie jeszcze coś, czym poczuła się najbardziej dotknięta. Sam Cowett wiele razy rozbierał Lyddie, ale tamtego pierwszego dnia, tamtego pierwszego razu, nie zdjął z niej sukni Rebecki. Człowiek, który tak bardzo się starał, żeby zerwać wszystkie więzi łączące Lyddie z Edwardem, zasłonił się suknią Rebecki niczym tarczą.

Ranek nie uwolnił Lyddie, jak to się zwykle działo, od myśli, które dręczyły ją w nocy, ale przyczynił się do jeszcze większego mętliku w głowie. Poprzedniego wieczoru każda informacja maszerowała jedna za drugą niczym karny szereg mrówek, teraz ten ciąg uległ rozerwaniu, jakby w samym jego środku wylądował głodny ptak. Lyddie nie była gotowa, by od razu odrzucić wnioski, które wyciągnęła w nocy, miała pewne trudności, by się w tym wszystkim połapać.

Ale kiedy zawiodły ją mrówki, nie chcąc się dla niej ustawić w szeregu, pomógł jej przypadek; wstała późno i akurat wracała z wygodki, kiedy ujrziała Jabeza Graya, kierującego się ku morzu. Lyddie pospiesznie wybiegła za nim na drogę.

- Wdowa Berry! - powitał ją. - Czy wszystko w porządku?

- Źle spałam w nocy - odparła. - Byłby pan tak dobry i powiedział panu Cowettowi, że dziś rano nie przyjdę do niego posprzątać?

- Dobrze. Co pani dolega, żołądek? Widać to po pani. Jest pani blada. W zeszłym miesiącu przez trzy dni cierpiałem i nic mi nie pomagało, aż w końcu wzięłem na przeczyszczenie, a potem wypilem ciepłe wino z kapustą skunksa.

- Dziękuję, panie Gray. Chętnie wypróbuję ten sposób.

- Mówią, że na żołądek dobra jest mięta albo goryczka, albo rumianek, ale zapewniam panią, wdowo Berry, że jedynym skutecznym lekarstwem

jest kapusta skunksa. Ale proszę pamiętać, że kiedy wzbierze w pani żółć, musi pani połknąć coś żółtego. Może być koptys albo gorzknik kanadyjski...

- Dziękuję, panie Gray, za przekazanie mojej wiadomości.

- Z radością to zrobię. Czy mogę jeszcze jakoś pani pomóc? Lyddie zastanowiła się, a potem powiedziała:

- Mam jeszcze jedną sprawę. Pytanie, które od dawna mnie nurtuje. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, żeby wrócić do tego tematu.

- Nie, nie, nie, musimy dbać o swoje zdrowie. Potem...

- Nie chodzi mi o zdrowie, panie Gray. Chodzi mi o mojego męża Edwarda.

- Ach tak. - Mina mu zrzędła. Stał w milczeniu.

- Ciągle mi się śni, jak Edward jest żywy w wodzie, wciąż oddycha.

- Wielki Boże, nie powinienem był...

- Nie, nie, muszę się dowiedzieć wszystkiego. Powiedział pan, o ile dobrze pamiętam, że pan Cowett trzymał mojego męża, że Edward oddychał, a potem coś się stało.

- Okropna rzecz. Usłyszałem głośnie „hura”, kiedy udało się go wyciągnąć. Potem się odwróciłem i... zniknął. - Pokręcił głową.

- A pan Cowett?

- Co pan Cowett?

- Nic nie powiedział? Nie tłumaczył się jakoś?

- Powiedział kilka słów, których kobiecie nie przystoi słuchać. A właściwie cały ich potok. I coś o kurtce. O kurtce, w której puścił szew. Ale nie zrezygnował. Krążył w wodzie, wymachując wiosłem, aż łódź o mało się nie wywróciła i musieliśmy pospieszyć odpłynąć. Potem znaleźliśmy się za daleko od tamtego miejsca. Lecz wrócił tam. Kilkakrotnie wracał. Postawił mnie za sterem, a sam stał na dziobie, krzycząc na nas, żebyśmy wyteżali

wzrok. Ale nic nie widzieliśmy. Nic. Powiem pani, wdowo Berry, że nikt nie starał się bardziej od niego, lecz nadchodzi taka chwila, kiedy trzeba sobie powiedzieć: trudno, straciliśmy go. Niełatwo to zrobić, ale czasem nie ma innego wyjścia. Trzeba sobie powiedzieć: to już koniec. Straciliśmy go. - Wyrzekł te słowa tak delikatnie, że Lyddie nie mogła nie zrozumieć kryjącego się za nimi przesłania.

Wiedziała, że zachowuje się jak tchórz. Ale potrzebowała czasu, żeby wszystko przemyśleć. Istniały dwa wytłumaczenia: Sam Cowett szczerze rozpaczał po śmierci przyjaciela, przeklinał, bezsilnie uderzał wiosłem w wodę, która już dawno go pochłonięła. Ale co z kurtką? Kurtka sprawiła, że Lyddie wyobraziła sobie inną scenę: pielęgnujący urazę Sam Cowett uderza Edwarda wiosłem, ale Edward znów wypływa, więc Cowett musi udawać, że go ratuje. Lecz kiedy nikt nie patrzy, wrzuca go do wody. Obwinia za tragedię rozdartą kurtkę, wali wiosłem w wodę, chcąc się upewnić, że Edward się nie wynurzy, przecina czarne morze tam i z powrotem, żeby sprawdzić, czy nie wypłynął na powierzchnię trochę dalej.

Lyddie naprawdę rozbolał brzuch. Położyła się na łóżku i nakryła narzutą. Może nawet się zdrzemnęła. Obudziły ją jakieś głosy dobiegające z kuchni i nieodparte wrażenie *deja vu*.

Sam Cowett: Przyszedłem zobaczyć się z wdową Berry.

Patience Clarke: Przykro mi, proszę pana, ale nie czuje się dziś dobrze.

Sam Cowett: Muszę się z nią zobaczyć.

Patience Clarke: Proszę pana! Proszę pana!

Ale Lyddie nie łudziła się nadzieją, by ktoś taki jak Patience zdołał powstrzymać kogoś takiego jak Cowett; rozległy się głośnie kroki, drzwi do pokoju Lyddie otworzyły się, a potem z trzaskiem zamknęły. Indianin wyjął nóż z pochwy i zablokował zasuwkę.

Lyddie odrzuciła narzutę i wstała.

- Gray mówi, że jest pani chora.

- Czuję się znacznie lepiej, dziękuję.

- Myślałem, że pani nie żyje. Znów.

- Nie umarłam i daleko mi do śmierci. A pan sprawi, że wszystko się wyda, jeśli będzie pan tu ciągle przychodził, zamykał się ze mną w pokoju. Proszę otworzyć drzwi.

Nie poruszył się.

- Wypytywała pani Graya o swojego męża.

- Owszem. Akurat się pojawił, kiedy byłam przygnębiona.

- Przez kogo? Przez Clarke'a?

- Przez nikogo. Coś mi się przyśniło.

- Co?

Lyddie milczała.

Cowett podszedł do niej. Lyddie się cofnęła. Cowett znieruchomiał.

- A więc uwierzyła pani w to, co wygaduje ten głupiec, kiedy się upije, i teraz pani się mnie boi.

- Nie. - Ale spojrzała na drzwi i Cowett to zauważył. Przeszedł przez pokój, wyjął nóż i schował go do pochwy. Trzasnęły jedne drzwi, po chwili drugie. A więc to już koniec.

Samotny żagiel pojawił się w zatoce i zbliżył do brzegu. Kiedy pierwsze wozy przejechały z turkotem, Lyddie nie zwróciła na nie uwagi. Za drugim razem zauważyła to, ale nic nie powiedziała. Za trzecim razem spytała najstarszego chłopaka Clarke'ów, stojącego w oknie:

- Co się tam dzieje?

- Jadą jacyś Indianie. Z beczkami.

Za czwartym razem chłopak wybiegł na drogę, a kiedy wrócił, trzymał w ręku herbatnika i mógł powiedzieć coś więcej. Zawinął statek Scotto Halleta, by załadować zapasy i zabrać załogę na ostatnią w tym sezonie wyprawę na północ na wieloryby, Indianin też się wybierał. Jeździli wozem tam i z powrotem, przewożąc prowiant ze sklepu Bangsa.

Chłopak przez dwa dni biegał wzdłuż drogi, ochoczo znosząc nowiny: Indianin wymienił kilka gontów na dachu; inwentarz żywy przewieziono do pani Gray; Indianka zerwała wszystko w ogrodzie; wygaszono ogień; i na koniec słup wypłynął. Lyddie przeszła drogą obok pustego domu aż do wzgórza i zobaczyła brudny, biały trójkąt żagla na samym horyzoncie. Obserwowała go, póki nie zniknął, potem poszła drogą do przecznicy, myśląc o tym, by wrócić do swojego dawnego zwyczaju spacerowania nad morzem, ale jak tylko znalazła się na plaży, ujrzała świeżo odmalowany słup w kanale Point of Rock. Kilku mężczyzn uwijało się na jego pokładzie, a Shubael Hopkins stał na brzegu i rozmawiał z Sethem Cobbem. Zobaczył Lyddie i uniósł rękę w pozdrowieniu. Seth Cobb uchylił

kapelusza i uklonił się, i Lyddie uznała, że nie ma wyboru, tylko musi do nich podejść. Shubael powitał ją słowami:

- Co myślisz o naszym statku, kuzynko?

- Jest piękny - odparła Lyddie zgodnie z prawdą. Shubael ujął Seta Cobba pod łokieć.

- Widzisz? Wszyscy się w nim zakochują od pierwszego wejrzenia. - Znów odwrócił się do Lyddie, zapominając o swojej dawnej powściągliwości, zaaferowany nową miłością. - Jak tylko będzie gotowy, popłyniemy w pierwszy rejs do Barnstable. Mówiłem ci, Cobb, jaki jest zwrotny?

- Tak, tak, z tuzin razy. Wdowo Berry, ostrzegam panią, lepiej niech pani odejdzie, w przeciwnym razie spędzi pani najbliższą godzinę, słuchając swojego kuzyna, wychwalającego pod niebiosa ten statek. Hopkins, udało ci się. Prawdę mówiąc, zazdroszczę ci - powiedział i się pożegnał.

Kiedy Shubael został sam z Lyddie, spowaźniał, ale Lyddie nie wyczuwała u niego ani cienia lęku, że są tylko we dwoje. Świetnie rozumiała, skąd ta zmiana: z pewnością słyszał przechwałki Silasa Clarke'a w tawernie i wiedział, że ktoś inny wykonał za niego brudną robotę. Poza tym Cowett wypłynął, więc nie musiał się go obawiać.

Lyddie nie czuła urazy do Shubaela; jeśli ktoś się boi, nie może mieć pretensji, że inni też odczuwają lęk.

- To naprawdę śliczny statek kuzynie - powiedziała. - Obawiam się, że teraz będzie cię kusilo, by zbyt często nas opuszczać.

Rozemocjonowany Shubael zwrócił się do niej:

- A kogo by nie kusilo? Czy ty nie czujesz pokusy, kuzynko? Nie masz przypadkiem czegoś do załatwienia w Barnstable? Z największą przyjemnością zabiorę cię tam. Jeśli będziemy mieć taki wiatr, jak...

- Nie, nie - przerwała mu Lyddie. - Nie mam nic do załatwienia w Barnstable. Ale życzę ci samych sukcesów. Jak nazwałś statek?

Spojrzał w lewo i w prawo.

- „Betsey”.

- Bardzo ładnie. Pokraśniał.

Lyddie spędziła resztę dnia w swoim pokoju. Zmieniła letni materac na piernat, przepikowała halkę, zacerowała pończochy, ale chociaż starała się cały czas być czymś zajęta, wkrótce znów dopadły ją myśli, przed którymi udało jej się uciec w ciągu dnia. Zastanawiała się, jak nazwać to, co ją tak dręczyło? Czy swój obecny spokój zawdzięcza uldze, czy lękowi? Czy serce tak jej wali ze strachu, czy z gniewu? Przez kogo płacze? Przez Indianina? Przez Edwarda? Przez Ebena Freemana? Czy też przez coś innego, co czuła, ale czego nie umiała nazwać?

Silas Clarke powtórzył w domu wszystko, co usłyszał w tawernie. Właściwie nikt się nie zdziwił, że Indianin popłynął na północ; dziwiono się, że tyle zwlekał. Niektórzy dopatrywali się powodu tego w śmierci żony; inni zwalali winę na jego pociąg do kieliszka; znaleźli się też tacy, którzy przypisywali to wrodzonej, pełnej sprzeczności naturze Indianina. O ile zorientowała się Lyddie, nikt, przynajmniej otwarcie, nie wspominał o niej w tych rozważaniach.

Ale Lyddie miała teraz nowe zmartwienia, a raczej te co zwykle. Bez względu na to, jaki porządek utrzymywała Patience Clarke na swoich półkach, rzadko było na nich dość wiktuałów na wykarmienie męża, siebie i piątki dzieci, więc spiżarnia Lyddie często była plądrowana. Lyddie to wiedziała, a nawet widziała, ale nie miała serca, by wyrwać kawałek chleba z rączki głodnego dziecka. Lecz kiedy przyłapała Silasa Clarke'a na tym, jak napoczyna świeży bochenek chleba, tak głośno krzyknęła, że odwrócił się, przyciskając bochenek do piersi niczym tarczę.

- A niech cię, kobieto. Wydajesz okrzyki wojenne jak jakiś Indianin.

- Panie Clarke, zapłaci mi pan za ten bochenek.

- A co pani sobie myśli, że chciałem go ukraść? Niech sobie to pani zapisze w swoim kajecie i zejdzie mi z drogi.

- I baryłkę piwa. Zapisuję na pana konto połowę.

- Co! Nawet nie tknąłem pani śmierdzących szczurzych sików. Proszę się odsunąć albo pani pożałuje.

Lyddie zrobiła mu przejście. Nie miała złudzeń, że uda jej się odzyskać pieniądze za chleb czy za piwo. Jeśli nie chce przymierać głodem, karmiąc rodzinę Clarke'ów, musi znaleźć nową pracę, i to szybko.

Ale Silas Clarke nie tylko okradał ją z zapasów. Wkrótce dla Lyddie stało się jasne, że jedne informacje przynosił z tawerny do domu, a inne w niej rozgłaszał. Nie był aż tak pijany, żeby nie zrozumieć, co się kryło za kilkoma wizytami Sama Cowetta, szczególnie za tą ostatnią, przy zamkniętych drzwiach. Silas Clarke zaczął uważnie przyglądać się Lyddie, coś sobie kombinując w głowie, i wkrótce potem siostry Myrick przerwały rozmowę, kiedy Lyddie weszła do sklepu Searsa, a Caleb Sears niegrzecznie rzucił jej resztę na kontuar.

*

Kolejny tydzień ogoławania jej z zapasów, kolejny tydzień odmów, kiedy pytała o pracę, kolejne ochłodzenie i Lyddie znalazła się pod drzwiami domu Nathana Clarke'a, choć myślała, że już nigdy jej noga tam nie postanie. Zastukała kołatką.

Drzwi otworzyła jej Hassey i głośnym szeptem rzuciła za siebie:

- Proszę pani! Przyszła wdowa!

Mehitable podeszła do drzwi, trzymając niemowlę na biodrze. Hassey uciekła. Kobiety milczały, ale kiedy Lyddie wyciągnęła rękę, Mehitable podała jej dziecko, grubiotkie, różowiotkie, dopiero co nakarmione i senne.

- Och, córko - odezwała się Lyddie. - Wygląda kwitnąco, podobnie jak ty. Nie widziałam w swoim życiu szczęśliwszego obrazka.

Do oczu Mehitable napłynęły łzy. A może Lyddie tylko tak się wydało, kiedy patrzyła na córkę przez zasłonę własnych łez? Ale wkrótce Nathan Clarke wysunął głowę ze swojego gabinetu.

- To matka - powiedziała Mehitable.

- Musisz mi to mówić? - burknął Nathan. - Lepiej mi powiedz, po co przyszła.

- Przyszła tylko zobaczyć swojego wnuka.

- Nie ma wnuka. Nie należy do naszej rodziny. Niech sobie idzie.

Lyddie z ociąganiem oddała dziecko matce.

- Prawdę mówiąc, Nathanie, mam do ciebie sprawę. Dotyczy twojego brata i jego rodziny. Uszczuplają moje zapasy w stopniu, na jaki nie mogę sobie pozwolić.

- Dlaczego mi to matka mówi?

- Są twoimi lokatorami. Potrącasz sobie czynsz z pensji pana Clarke'a w garbarni. Może również będziesz sobie potrącał za ich utrzymanie.

Roześmiał się.

- Oczekuje matka, że będę odzyskiwał jej pieniądze?

- Może gdyby porozmawiał pan z bratem...

- Niech matka sama z nim porozmawia. Nie ma matka problemów z zaczepianiem mężczyzn. A skoro już o tym mowa, czy dostała matka jakieś wiadomości od pana Freemana?

- Nie mam żadnych wiadomości od pana Freemana.

- Ha! Nie mówiłem ci, żono? Powiedziałaś, że tak łatwo nie zrezygnuje! Dużo się na tym znasz. A teraz, po tym, co ostatnio słyszeliśmy... - Urwał. Nawet Nathan Clarke nie mógł na nią spojrzeć.

Musiało to być dla niego dużym wstrząsem, kiedy się okazało, że jego początkowe kłamstwa na jej temat zawierają ziarnko prawdy. - No więc, matko, czy to wszystkie sprawy, jakie do mnie masz?

- Przyszłam się dowiedzieć, czy zdobędziesz się na jakiś wysiłek, by zmienić sytuację, która jest nie do zniesienia. Ponieważ nie zamierzasz tego zrobić, muszę to załatwić po swojemu.

- Po swojemu! Czyli jak? Nie może się matka teraz zwrócić do Ebena Freemana, by straszył mnie sądem.

- Eben Freeman nie jest jedynym prawnikiem, jakiego znam. Clarke zeszywniał, jakby przeszyty na wylot. Lyddie powiedziała to bez zastanowienia. Właściwie nie była taka prędką jak Nathan, by dochodzić swoich praw w sądzie, ale kiedy Nathan o tym wspomniał, zaczęła rozważać taką możliwość. Czemu nie znaleźć innego prawnika i domagać się na drodze sądowej, żeby Nathan Clarke łożył na jej utrzymanie, jak to kiedyś zaproponował Eben Freeman? Wtedy wydawało się to złym rozwiązaniem, lecz doprowadzona do ostateczności uznała to za korzystne wyjście. Ale jak zapłacić za taką usługę prawną?

Lyddie poszła do domu, w głowie sporządzając listę swoich rzeczy, szacując, ile mogłaby dostać za ten talerz czy tamtą narzutę. Kiedy wróciła do siebie, zastała Silasa Clarke'a myszkującego po jej pokoju w poszukiwaniu butelki brandy. Najpierw go przepędziła, grożąc mu nożyczkami, trzymanymi jak broń. Kiedy już się go pozbyła, zablokowała zasuwkę nożyczkami i padła na łóżko, trzęsąc się nie tyle ze strachu, co z gniewu.

Zrezygnowała z tylu rzeczy, żeby zagwarantować sobie ten mały kątek; teraz, kiedy ten jej kąt najechano, w Lyddie wyzwoliło się coś nowego. Dwa tygodnie temu może by tak nie postąpiła, ale teraz przestała się martwić o

córkę i jej dziecko, a w kanale Point of Rock widziała na kotwicy piękny słup Shubaela. Wzięła portret Edwarda w srebrnej ramce i ostrożnie go wyjęła. Zawinęła ramę w kawałek flaneli, położyła ją na komodzie i usiadła, żeby napisać list do Shubaela.

39

Lyddie dała wszystkim dzieciom po ciasteczku, a najstarsze posłała do Shubaela z liścikiem, w którym prosiła go, żeby ją zabrał do Barnstable.

Dziecko wróciło z odpowiedzią: wypływają najpóźniej za tydzień. Niech się przygotuje. Następnie Lyddie usiadła i napisała drugi list - do Mehitable, informując ją o swoim wyjeździe. Przekazała listeczek przez najstarszą córkę Silasa. Mehitable nie przysłała odpowiedzi.

Wiadomość od Shubaela przyszła w następny wtorek: wypływają nazajutrz. Niech przyjdzie na brzeg o wpół do siódmej rano. Lyddie pozwoliła Patience Clarke bez ograniczeń korzystać z mleka i jajek, pod warunkiem, że będzie doiła krowę i podbierała jajka. Wzięła kłódkę z drzwi stodoły i umocowała ją na drzwiach spiżarni. Podgrzała wodę w kociołku i porządnie się umyła: włosy, twarz, pachy, krocze, stopy. Włożyła do torby zapasową suknię i kapcie, koszulę i pończochy, na wypadek gdyby mocno przemokła. Przygotowała jedną z krótszych sukni Rebecki na podróż statkiem, aby łatwiej było unosić jej skraj nad brudnym pokładem. Przygotowała prowiant: chleb, ciastka, jabłka, suszoną soloną wołowinę. Wsadziła do koszyka również robótkę, żeby mieć się czym zająć podczas rejsu. Tamtego wieczoru Shubael przysłał kolejną wiadomość: wypływają w czwartek.

W czwartek rano Lyddie się ubrała, zawiązała czepek, zapięła płaszcz, wzięła torbę i kosz, pożegnała się z Patience i dziećmi. Silas Clarke w końcu stwierdził, że lepiej będzie, jak się pokaże w garbarni, więc Lyddie zostało oszczędzone pożegnanie z nim.

Wyruszyła drogą nad morze, ale kiedy pokonała ostatni zakręt i zobaczyła zatokę, wiedziała, że nie zanosi się, by wkrótce mieli wypłynąć. Ani jedna zmarszczka nie mąciła powierzchni wody. Shubael stał na brzegu i kierował załadunkiem na płaskodenną łódź rybacką ostatnich skrzyń i beczek, od czasu do czasu spoglądając na taflę wody.

Kiedy Lyddie podeszła do niego, odwrócił się do niej i zmusił się do uśmiechu.

- Zaraz zerwie się wiatr.

- Naturalnie.

Powtarzał to samo przez następną godzinę, ale coraz rzadziej, a potem odesłał Lyddie do domu. Wysprzątała obejście, o drugiej pojawił się Ned Crowe, że rejs znów przełożono; tym razem na piątek na szóstą.

W piątek rano wiaterek szarpnął skrajem sukni Lyddie, kiedy wyszła na drogę, a zanim dotarła na brzeg, powierzchnię wody marszczyła stała bryza. Lyddie i jej torbę umieszczono w płaskodennej łodzi i Ned Crowe chwycił za wiosła. Wkrótce znaleźli się na pokładzie „Betsey”.

Wiatr był silniejszy, niż mogło się wydawać. Lyddie zeszła pod pokład, żeby schować swoje bagaże, ale nawet tam czuła wiatr napierający na drewniane burty, aż zaczęły trzeszczeć jakby w beznadziejnym błaganiu. W swoim życiu Lyddie wiele razy płynęła do Bostonu słupami dowodzonymi przez Edwarda. Wprawdzie zawsze wchodziła na pokład świadoma grożącego jej niebezpieczeństwa, ale przynajmniej miała pełne zaufanie do kapitana. Shubael był coraz starszy; Lyddie zdziwiła się na wieść, że wypłynął w małej łodzi wielorybniczej za wielorybami, które pojawiły się w zatoce. Przypuszczała jednak, że kuzyn poradzi sobie z wymagającymi mniej zręczności obowiązkami kapitana statku.

Burty znów zaskrzypiały, niezbyt głośno, ale nie na tyle cicho, by nie zwrócić na to uwagi. Deski pod nogami Lyddie kołysały się. Usiadła na koi i rozejrzała się wokół: dwie prycze, pomiędzy nimi wąski stół i ławy nad schowkami na bagaż, latarnia w górze, luk z listewkami, wpuszczający światło i powietrze, resztę miejsca zajmował zapasowy żagiel. Lyddie wsunęła torbę do najbliższego schowka, opuściła kabinę i wróciła na pokład.

Wiatr wiał z południowego zachodu. Shubael postawił żagiel „Betsey” i statek natychmiast mocno się przechylił, aż Lyddie musiała się złapać barierki. Znalazła wolne miejsce na ławce po zawietrznej, a Shubael skierował statek na północny zachód. Od tamtej chwili Lyddie straciła rachubę czasu, pograżyła się w zadumie, wspominając inne rejsy, wspominając Edwarda. W końcu usłyszała komendę, by wybierać szoty, i skierowali się bardziej na południe, zmierzając do przystani. Spojrzała na słońce, zaskoczona, że wciąż stoi tak wysoko.

Kiedy dobili do nabrzeża w Barnstable, Lyddie nie czuła niepokoju. Ledwo spojrzała na mężczyznę stojącego obok stosu skrzyń i ponownie skierowała na niego wzrok, gdy już wszystko obejrzała: moczary, iglicę kościoła, konie i wozy. Teraz rozpoznała go - po wzroście, po kanciastych rysach. Naturalnie, pomyślała. Naturalnie we wszelkich „interesach w Barnstable” brał udział Eben Freeman, nowy wspólnik Shubaela. Lyddie zeszła pod pokład, żeby nie przeszkadzać podczas rozładunku. Nawet na przystani wiatr był dość silny, stukot krążków i trzepot żagli konkurował z tupotem nóg załogi. Deski pod stopami Lyddie trzeszczały i się kołysały. Podczas rejsu kobieta zachowywała się jak urodzony żeglarz. Ale przebywanie na statku stojącym na kotwicy to zupełnie co innego. Wkrótce miała do wyboru: wymiotować do zęzy lub wrócić na pokład. Ponieważ hałasy na górze prawie ucichły, Lyddie zdecydowała się na to drugie. Wspięła się po zejściówce, zobaczyła, że żagle są opuszczone, a pokład pusty. Ale na nabrzeżu nie było pusto. Shubael i Eben Freeman stali i podziwiali „Betsey”. Shubael zobaczył Lyddie i jej pomachał.

- Chodź, kuzynko! Mój szwagier zaprosił nas na kolację! Przysłał po nas dwukólkę. Czyż to nie wspaniałe?

*

Shubael nie tylko się starzał. Był głupi. Zasługiwał na swoją głupią żonę. Zasługiwał, żeby się rozbić albo nie wypłynąć z portu z powodu niekorzystnego wiatru, albo wywrócić się dnem do góry w najgłębszej części toru wodnego. Jak tylko Lyddie znalazła się w zasięgu głosu, Eben Freeman przeszedł na drugą stronę dwukółki, sztywny i z ponurą miną, ale Shubael dalej głądził jak gdyby nigdy nic.

- Proszę, kuzynko, wsiadaj.

- Nie chciałam sprawiać kłopotu panu Freemanowi. Zamierzałam zjeść na pokładzie swój prowiant i zająć się własnymi sprawami.

- Jeść swój prowiant! Nie bądź niemądra. No dalej, wsiadaj. Mamy dobry wiatr na drogę powrotną, więc nie traćmy czasu.

Znaleźli się wszyscy w dwukółce. Teraz Lyddie wolałaby, żeby Shubael dalej paplał, ale mężczyzna zamilkł. Freeman się nie odzywał, Lyddie uznała więc, że nie ma wyboru, musi coś powiedzieć.

- To bardzo miło z pana strony - odezwała się.

- Drobiazg.

- Podoba się panu nowy statek?

- Owszem.

- Owszem! - wykrzyknął Shubael, siedzący z tyłu. - Czy tylko na tyle cię stać? To najładniejsza jednostka w porcie.

- Jest jedyną jednostką w porcie - zauważył Freeman.

- Przypuszczam, że już niedługo wypłyniemy z portu - odparł Shubael.

- Przy takim wietrze... - Znów umilkli i nie odzywali się, póki nie dotarli do głównej ulicy.

Minęło kilka lat, odkąd Lyddie ostatni raz bawiła w Barnstable, a ponieważ przybyła z takiego zaścianka jak Satucket, ruch panujący w mieście będącym siedzibą sądu zaskoczył ją. Nathan Clarke był

właścicielem jednej z dwóch dwukółek w Satucket, ale rzadko z niej korzystał. Tutaj, jeśli Lyddie spoglądała za jedną, druga nadjeżdżała z naprzeciwka, kobiety i mężczyźni ciągle przechodzili z jednej strony ulicy na drugą, odwiedzając sklepy i tawerny. Kilka koni stało przywiązanych przed siedzibą sądu, unosząc ogony na wietrze, ich widok skłonił Shubaela do zadania gradu pytań. Jak toczy się sprawa Winslowa? Co mówiono w miasteczku o Clarke'u? Kiedy według Freemana sąd wyda wyrok? Na wszystkie te pytania Freeman odpowiadał wzruszeniem ramion albo monosylabami.

Piętrowy dom z przybudówką, w którym Freeman zarówno mieszkał, jak i pracował, znajdował się niedaleko siedziby sądu przy Drodze Królewskiej. Nad drzwiami do części, w której pracował, wisiał szyld. Lyddie przekroczyła próg części mieszkalnej jakby sparaliżowana. Zauważyła niewiele poza ogólną atmosferą prostoty i ładu. Niewyraźnie pamiętała kruchą pieczeń cielęcą podaną przez gospodynię Freemana, starszą osobę, do której się zwracał „pani Crocker”, co niewiele mówiło o jej sytuacji życiowej. Lyddie odzywała się tylko wtedy, kiedy ktoś się do niej zwrócił - głównie Shubael, ale gdy wymagały tego zasady dobrego wychowania, również Freeman. Jednak obaj mężczyźni często w ogóle zapominali o jej obecności, pochłonięci rozmową o „Betsey”. Lyddie spoglądała na Freemana niepostrzeżenie, lecz nie potrafiła wyczytać z jego twarzy, co myśli. W końcu zaczęli mówić o pogodzie. Lyddie podczas całego posiłku słyszała świst wiatru, nie zdziwiła się więc, kiedy Freeman powiedział, że niekorzystny wiatr może ich zatrzymać w porcie. Shubael natychmiast się zerwał od stołu i pospieszył do przystani.

Lyddie też wstała.

- Muszę się zająć swoimi sprawami - oznajmiła. - Dziękuję panu za zaproszenie na kolację.

Była już bliżej drzwi niż stołu, kiedy Freeman powiedział:

- Nie spodziewałem się pani tu zobaczyć.

- Ani ja pana.

- Niewątpliwie gdyby wiedziała pani, że mnie pani spotka, nie przyjechałaby pani.

- Nie mogłam się spodziewać serdecznego przyjęcia z pana strony.

- Proszę mi wybaczyć, ale to wszystko, na co mnie stać...

- Nie miałam na myśli...

Freeman zerwał się ze swojego krzesła.

- Mniejsza o to, co pani ma na myśli i co ja mam na myśli, i co ten mój niemądry szwagier ma na myśli! Co sobie wyobrażał, zabierając panią tutaj?

- Nie wiem. Ale mam sprawę do załatwienia w mieście. Gdyby powiedział pan kuzynowi Shubaelowi...

- Och, proszę usiąść. Wielki Boże, przecież nie jesteśmy dziećmi.

Lyddie wróciła do stołu i usiadła. Freeman nadal stał, trzymając się oparcia krzesła.

- Miałem dużo czasu, żeby uporać się ze swoim gniewem, i myślałem, że mi się to udało. Byłem pewien, że mi się to udało. Uznałem nawet, że stać mnie, by odpowiedzieć na pani list.

- Ten, w którym zwalniałam pana z danego słowa? Spojrzał na nią z ukosa.

- Trudno napisać taki list.

- Owszem.

- Miałem na myśli swoją odpowiedź.

- Proszę mi w takim razie pozwolić zwolnić pana również z tego obowiązku. Rozumiem, że przyjął pan moją propozycję. Czy teraz możemy przejść do innych spraw?

- Dobrze.

Zapadła cisza. Lyddie spuściła wzrok, by nie widzieć napiętej twarzy prawnika. W końcu Freeman zapytał:

- Zacznę od pytania, jakie sprawy przywiodły panią do Barnstable.

- Przyjechałam zasięgnąć porady prawnej.

- Porady prawnej!

- Ostatecznie uznałam za konieczne pozwać pana Clarke'a przed sąd, żeby zmusić go do łożenia na moje utrzymanie, a także do rozwiązania sprawy uciążliwego lokatora.

- Lokatora?

- Silasa Clarke'a.

- Silasa Clarke'a? Wprowadził tam Silasa Clarke'a?

- Tak.

Znów zapadło milczenie.

- Może mógłby mi pan polecić jakiegoś prawnika - powiedziała Lyddie.

- Z pewnością nie Doane'a, to człowiek Clarke'a. Może Bourne'a. Urzęduje naprzeciwko siedziby sądu. - Umilkł, może zastanawiając się nad honorarium. - Nadal pani pracuje u pana Cowetta?

- Nie.

Znów milczenie.

- Wyraziłem się raz na temat pana Cowetta w sposób mu uwłaczający. Powinienem skorygować wrażenie, jakie można było odnieść z moich słów, bo zawsze uważałem go za człowieka zasad.

- Nie sędę, by pana zastrzeżenia dotyczące pana Cowetta były całkowicie bezpodstawne. Mówił pan o urazach.

- Żywi kilka. I nie wszystkie są nieuzasadnione.

- Łącznie z tą do mojego męża?

Na twarzy Freemana pojawiło się zdumienie.

- Do pani męża?

- Czyż rodzina mojego męża nie dostała od nich ziemi za darmo?

- Rodzina pani męża otrzymała tę ziemię w darze.

- Ale dlaczego? Widziałam dokument, nie wspomniano w nim o przyczynie sporządzenia darowizny.

- Było ich zbyt wiele, by je wszystkie wymienić. Berry'owie zaopiekowali się chorym synem wodza. Zwrócili się do prawnika, by sporządził dokument gwarantujący potomkom wodza prawo własności jego ziemi. Pomogli synowi uzyskać angielskie wykształcenie... Nie pamiętam wszystkiego, ale zapewniam panią, że było jeszcze wiele powodów. W zamian za to wódz postanowił podarować Berrym kawałek ziemi, z pewnością nie był to zbyt wielki dar w stosunku do zasług. Nie, nie, Sam Cowett nie żywił urazy do pani męża. Prawdę mówiąc, tak bardzo gnębił go fakt, że nie udało mu się uratować Edwarda, iż uznał za swój obowiązek pomagać wdowie po nim.

- Mnie?

- Spytała mnie pani kiedyś, co skłoniło Cowetta do zmiany decyzji w sprawie podziału lasku. Wtedy tego nie wiedziałem, więc później go o to zapytałem. Wyjaśnił że początkowo myślał, iż chce pani dalej mieszkać w domu, więc udaremnił jego sprzedaż, odmawiając zgody na podział lasku. Potem w rozmowie z nim wyraziła pani nadzieję na szybką sprzedaż domu, więc zgodził się na podział. Ale ostatecznie doszedł do wniosku, że słuszne

były jego pierwotne przypuszczenia, że źle zrobił, rezygnując z części lasu, więc starał się to odkręcić. Nie wiem, czy to zrobił ani jak zamierzał to osiągnąć... - Freeman spojrział na Lyddie, a po chwili odwrócił wzrok. - Potem nie rozmawialiśmy już tak jak dawniej. - Wstał, żeby nalać sobie cydru, ale nim wrócił na swoje miejsce, do pokoju wszedł Shubael, wnosząc ze sobą powiew wiatru, zapach fal i obraz statku. Przerwał Freemanowi rozmowę z Lyddie. Lyddie nawet się cieszyła, że pozostawiono ją samą sobie, w głowie miała zbyt wielki mętlik, by brać udział w dyskusji. Włączyła się do niej pod sam koniec. Okazało się, że jej nieprzemyślane życzenie wypowiedziane w duchu na nabrzeżu się spełniło: niekorzystny wiatr zatrzymał ich w porcie i wypłyną dopiero jutro. Następne, co dotarło do Lyddie, to że Freeman zaproponował im pokoje i Shubael przyjął jego ofertę.

Shubael znów udał się na przystań, aby lepiej zabezpieczyć „Betsey”, a Lyddie wstała, by odszukać szanownego pana Bourne'a, ale Freeman ją powstrzymał.

- Proszę o jedno słówko, zanim pani wyjdzie. Coś mi przyszło do głowy. - Przetawił nieco krzesło, kubek, poprawił spinki przy mankietach koszuli. - Dopiero co rozmawialiśmy o panu Cowecie, ale chyba nie powiedziałem wszystkiego, co powinienem. Chciałbym panią przeprosić. Nie powinienem pozwolić Clarke'owi, żeby go aresztowano. Nie myślałem wtedy o tym, co sprawiedliwe, tylko co wygodne dla mnie. Wmówiłem sobie, że coś was łączyło. Chciałem, żeby był jak najdalej od pani. Okazałem się człowiekiem małostkowym. Nie chcę przez to powiedzieć, że już przebolełam pani brak wiary we mnie, w to, że zawsze będę miał na uwadze pani dobro. Może raczej zrozumiałem, co było tego przyczyną. Widząc, jak haniebnie zachowałem się w sprawie Cowetta, uznała pani, że

tak samo mogę się zachować wobec niej. Właśnie to chciałem pani powiedzieć i proszę, żeby przyjęła to pani do wiadomości, jeśli pani potrafi.

- Jeśli chodzi panu o to, żebym przyjęła pańskie przeprosiny za aresztowanie pana Cowetta, to zaszczyt ten należy do niego, nie do mnie. Mogę dodać, że wiem, iż zgodnie z prawem ma pan pełną władzę nad niewolnikiem, służącym i żoną, ale nie nad wolnym Indianinem ani kobietą niezamężną.

- Nie ma znaczenia pani stan cywilny. Ważne jest to, że mi pani nie ufa. Świadczy o tym pani odmowa podpisania dokumentu.

- Nie rozumie pan moich rozterek? Nie może pan spojrzeć na to tak, jak spojrzalby pan Otis? Mieć tę jedną małą pewność w życiu, wiedzieć, że ja też będę w swoim domu tak bezpieczna, jak księżę w swoim zamku...

- Byłaby pani tak bezpieczna ze mną. Wie pani o tym. Musi pani o tym wiedzieć.

- Wiem. Wiem. Ale...

- Więc po co całe to zamieszanie?

- Więc czemu tak się pan przed tym wzdraga?

- Nawet Mercy Warren przyznaje, że w każdym domu, dla zachowania ładu, powinien być tylko jeden pan.

- Zgadzam się, żeby pan nim był. Nie może mi pan dać prawa decydowania o moim małym kącie?

- Nie rozumie pani? Dałbym pani prawo decydowania nie tylko o tym małym kącie, ale o wszystkim, gdyby pani tego chciała.

- Gdyby pan uznał to za stosowne. Gapił się na nią.

- Więc niczego pani nie daje i niczego pani nie chce wziąć. I nazywa to pani małżeństwem.

Lyddie się zastanowiła.

- Przyjmuję do wiadomości pańskie wyjaśnienia. Dziś otworzył pan swoje serce i umysł, starając się mnie zrozumieć, chociaż nie do końca się to panu udało. Widzę to i rozumiem, nawet cenię. Znam bardzo niewiele takich osób. - Lyddie się pochyliła. - I mam pewną propozycję. Widzi pan teraz, jaka jestem, widzi pan, że nie nadaję się na żonę dla pana, ale czy przynajmniej nie możemy znów być przyjaciółmi? Freeman się zamyślił. Podszedł do drzwi, wrócił do stołu i usiadł.

- Mogę być pani przyjacielem. I prawnikiem, jeśli pani zechce. Ostatecznie już od jakiegoś czasu mam przygotowane wszystkie potrzebne dokumenty.

Lyddie rozważyła to i nie potrafiła znaleźć argumentów przeciw. Wstała, odszukała swoją torbę, odwinęła srebrną ramkę i mu ją podała.

- Słyszałam rozmowę w domu mojego zięcia o honorarium w wysokości dwóch funtów i piętnastu szylingów za sporządzenie testamentu. Nie orientuję się, ile wynosi wynagrodzenie za taką sprawę jak moja, ale za tę ramkę może pan dostać cztery funty srebra. Gdyby ją pan wziął na początek...

- Nie wezmę. Ani ramki, ani niczego innego. Stawiam taki warunek. I jeśli naprawdę uważa mnie pani za swojego przyjaciela, zgodzi się pani.

Lyddie odłożyła ramkę.

- Zresztą, jeśli sprawa trafi do sądu, wszystkie koszty obciążą Clarke'a. Przegra i o tym wie. Ale nie przypuszczam, żebyśmy się spotkali w sądzie. Myślę, że kiedy zostaną mu przedstawione dokumenty, pani zięć zgodzi się spełnić obowiązki, które nakłada na niego testament pani męża. Cała sztuczka polega na tym, żeby nie pozwolić mu się wykręcić sianem. Ale kiedy Clarke będzie wiedział, że ja nad wszystkim czuwam, a sąd tylko czeka... - Freeman się rozmarzył. - Przyznam się pani, wdowo Berry, że

chętnie postawiłbym Clarke'a przed sądem. Powiem pani, kto jeszcze by się z tego ucieszył: nasz przyjaciel Otis. Podjąłby się pani sprawy i zażądał, by miała pani prawo korzystać z całego domu, na poczet pani utrzymania domagałby się dwustu funtów wołowiny...

- I przegrałby. Freeman się uśmiechnął.

- I przegrałby. Ale, na Boga, bardzo by mu się podobał cały ten proces. I mnie też. Nie możemy sobie jednak na to pozwolić. Nie przekonamy Clarke'a, by zgodził się na takie ekstrawagancje, a zima za pasem. Będzie tak, jak już powiedziałem: zobaczy papiery i wyrazi zgodę.

- A co z lokatorem? - Lyddie wyjaśniła mu z grubsza, nie wchodząc w szczegóły, jakie ma kłopoty z Silasem Clarkiem.

- Już pani wie, co należy zrobić. Sama to pani powiedziała jego bratu Nathanowi. Jeśli grozi swojej rodzinie albo pani, albo kradnie, albo niszczy własność, musi pani wezwać konstabla, żeby go aresztował.

Lyddie skinęła głową. Wyciągnęła rękę nad stołem i po dłuższej chwili Freeman ujął ją i uścisnął.

40

W nocy wiatr chwilami jeszcze przybierał na sile, a krople deszczu bębniły w dach jak grad. Lyddie słyszała każdy jęk i stukot, budziła się z lękiem, że rano nie wypłyną. Ale nim dołączyła do mężczyzn na śniadanie,

wiatr zmienił kierunek na południowy, a deszcz przemienił się w mżawkę. Shubael, cały w uśmiechach, beztrąsko paplał, twarz Freemana tonęła w cieniu, pożłobiona głębokimi, ciemnymi bruzdami.

Freeman zniknął, jak tylko pani Crocker sprzątnęła talerze. Shubael wyruszył do portu, żeby obejrzeć statek. Lyddie poszła do swojego pokoju i się spakowała. Wyszła dopiero wtedy, kiedy przed domem zatrzymała się dwukółka. Shubael pomógł jej wsiąść, a potem sam zajął miejsce. Freeman odwiózł ich do portu. Wyszli i Shubael skierował się do statku, a Lyddie zatrzymała się na chwilę, żeby powiedzieć „Do widzenia, panie Freeman”, na co odpowiedział piskliwym, spiętym, zupełnie niepodobnym do swojego głosem „Do widzenia, wdowo Berry”.

Początkowo wydawało się, że szczęście sprzyja Shubaelowi: wyszło słońce, świeży wiaterek wydał główny żagiel i kliwer, więc odbili od nabrzeża i wypłynęli z przystani. Ale wkrótce po tym, jak okrążyli ujście rzeki, pokład zadygotał pod nogami Lyddie, statek przechylił się, a potem znieruchomiał, osiadłszy na mieliźnie.

Shubael wykrzykiwał polecenia, ale załoga już była przy sztagach. Zwinięto żagle i statek nieco się wyprostował. Trwał odpływ, dopiero za godzinę woda osiągnie najniższy poziom. To oznaczało, że przez najbliższe dwie godziny statek będzie unieruchomiony.

A potem co? Jeszcze jedna godzina, nim popłyną? Shubael chciał odstawić Lyddie na brzeg barkasem, ale Lyddie się nie zgodziła. Obawiała się, że nie zniesie kolejnego spotkania z Freemanem, który jeszcze nie czuł się swobodnie w jej towarzystwie. Ostatecznie załoga popłynęła barkasem, a Shubael i Lyddie zostali na pokładzie statku. Shubael zszedł na dół, żeby zająć się rachunkami, a Lyddie wyniosła swój koszyk z robótką na pokład.

Wiatr był orzeźwiający, ale słońce mocno przygrzewało, tańczyło na wodzie, maskując zarówno płycizny, jak i głębiny.

Lyddie już zdążyła wyrobić piętę w pończosze, kiedy Shubael znów się pojawił i spojrzał na morze przez lunetę. Lyddie otworzyła kosz z prowiantem i poczęstowała go jabłkiem. Usiadł obok niej i obydwójce oparli się o mocno teraz przechyloną barierkę lewej burty.

- Już niedługo, kuzynko - powiedział Shubael. - Zaczął się przyptyw. Jeszcze półtorej godziny i będziemy mogli popłynąć. Muszę przyznać, że ta mielizna się powiększyła, odkąd ostatni raz tędy płynąłem. Czy Edward opowiadał ci, jak kiedyś osiedliśmy na mieliznie koło Nowego... - Urwał i odwrócił się od niej.

Lyddie położyła dłoń na kolanie Shubaela.

- Stracić Edwarda przez morze to jedno. Ale stracić go, ponieważ własny kuzyn nie może wymówić jego imienia w mojej obecności, to zupełnie co innego.

Shubael wyrzucił ogryzek za burtę; wpadł do wody jak kamyk. Odwrócił się do Lyddie.

- Od dawna chciałem wypowiedzieć jego imię w twojej obecności, kuzynko, dawno chciałem ci wyznać coś, co mi nie daje spokoju. Wiem, że poczuję ulgę, ale tobie będzie jeszcze ciężiej. Lecz nie mogę tego dłużej dusić w sobie. To przeze mnie utonął twój mąż.

Lyddie zamrugła powiekami.

- Zaganiałem małą grupkę wielorybów w kierunku brzegu.

Usłyszałem, jak Sam mnie woła, ale puściłem to mimo uszu. Pomyślałem sobie: do licha, nie obchodzi mnie, jaką sprawę ma do mnie, dopadłem te wspaniałe, grube wieloryby i dopilnuję, żeby znalazły się na brzegu. Nawet nie odwróciłem głowy. Kiedy później to zrobiłem, zobaczyłem, jak Sam

płynie jak oszalały w kierunku przewróconej łodzi. Wcześniej ja byłem najbliżej niej. Gdybym zawrócił, kiedy mnie zawołał, prędzej bym do niej dotarł. Kiedy w końcu tam dopłynąłem, Sam trzymał Edwarda za pas. Edward żył, wiem to, bo wyciągnął rękę i złapał się rękawa kurtki Sama. Podpłynąłem zbyt blisko, fala uderzyła w burtę i wpadłem prosto na łódź Sama. Sam stracił równowagę i puścił Edwarda, ale przez chwilę myślałem, że wszystko w porządku, ponieważ Edward nadal trzymał się rękawa Sama. A potem rękaw się oderwał...

- Nie. Kurtka Edwarda była cała.

- Rozdarła się kurtka Sama, kuzynko. Rękaw już był trochę nad-darty, przypuszczam, że dlatego Edward mógł się go złapać. Ale potem szew puścił do końca i było po wszystkim. Edward wpadł do wody. Ale Sam się nie poddał. Robiłem wszystko, co mogłem, żeby moja łódź się nie przewróciła, cała załoga stała przy wiosłach. Łódź Sama stała burtą do fali, a on zanurzał wiosło, starając się wyłowić Edwarda. W końcu Jabez krzyknął do niego, że nabierają wody, że muszą odpłynąć. Ale Sam pierwszy dotarł na miejsce wypadku i ostatni zrezygnował z prób ratowania Edwarda, kiedy to ja powinienem tam być.

Shubael urwał i nabrał powietrza, patrząc na Lyddie jak zbity pies.

Lyddie wstała i na poły poszła, na poły przeczołgała się po nachylonym pokładzie do zejściówki. Zeszła na dół i położyła się na koi od zawietrznej. Statek nadal tkwił głęboko w mule. Wiedziała, że tak jest, z uwagi na kąt i fale, które czasami szturchały statek, ale wydawało jej się, że statek kołysze się w rytm jej urywanych oddechów. Rześkie powietrze wpadające przez właz uderzyło ją w policzek jak zimna fala. Zamknęła oczy i zobaczyła przemoczoną, podartą kurtkę Sama Cowetta zamiast całej kurtki Edwarda, przypomniawszy sobie poszczególne wypowiedzi i czyny, z których

można było skomponować patchwork. Ale kiedy Lyddie pozszywała wszystkie kawałki, zrozumiała, że wcale nie nakryją jej obnażonego, drżącego ciała. Leżała naga i zziębnięta, czując, jak statek stopniowo się prostuje. Kiedy odzyskała równowagę, wstała, żeby odszukać Shubaela. Siedział na beczce niedaleko miejsca, gdzie go zostawiła.

- Kuzynie - powiedziała. - Czy wierzysz, że Bóg rządzi wszystkim? Skinął głową.

- W takim razie to Bóg skierował cię w stronę brzegu, a nie na otwarte morze, na ratunek mojemu mężowi. To Bóg sprawił, że uderzyłeś w łódź pana Cowetta, że jego kurtka się rozdarła, by Edward utonął. Kiedy następnym razem będziemy rozmawiali o Edwardzie, niech to będzie rozmowa o żywym Edwardzie, a nie zmarłym.

Ogorzała twarz Shubaela zmarszczyła się, łzy popłynęły zygzakami po jego policzkach. Lyddie wyciągnęła rękę i otarła je rękawem sukni. Shubael chwycił jej dłoń i przycisnął do swych piersi.

- Byłaś jego największym błogosławieństwem, kuzynko. Tak mi kiedyś powiedział. Powiedział, że zawsze byłaś dzielna, część swojej odwagi czerpał od ciebie. Drażniłem się z nim. Stwierdziłem: „Musi być odważna, skoro związała się z kimś takim jak ty”, ale się nie roześmiał. Chyba nawet nie usłyszał mojej uwagi. Dokończył to, co mówił. „Najtrudniej jest w życiu - powiedział - stanowić połowę czegoś, a jednak zachować odrębność”. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Oświadczyłem, że przemienia się w babę, ale odparł, że jego żona zrozumiałaby, o co mu chodzi, a tylko to się liczy. Ach, teraz i ciebie doprowadziłem do łez, kuzynko.

Załoga wróciła, a kiedy podniesiono żagle, wydał je południowo-zachodni wiatr. Lyddie stała na pokładzie, twarzą do wiatru

I wodnej mgiełki, starając się uporządkować wszystko, co jej powiedział Shubael, ale ciągle wracała do jego ostatnich słów, do tego, co Shubaelowi powiedział Edward. Połowa. Całość. Wydawało jej się, że wyraźnie słyszy jego głos. Przez chwilę miała nawet wrażenie, że Edward stoi obok niej, ale potem przypomniła sobie scenę na pokładzie innego statku, zacumowanego przy Długim Nabrzeżu w Bostonie. Edward już zszedł na ląd, żeby załatwić swoje sprawy z kupcami tłuszczu, Lyddie szykowała się do zejścia, by znaleźć dla nich pokój. Edward coś zawołał do niej z nabrzeża, przekazując jakieś instrukcje, nie za blisko portu, albo blisko portu, Lyddie nie dosłyszała. Krzyknęła: „Co?”.

Ale Edward się odwrócił, uśmiechnął i zawołał: „Nieważne! Zostawiam wszystko tobie!”.

Zanim pojawiło się Wzgórze Robbina, słońce zaszło i Lyddie zdążyła porządnie przemarznąć.

Pożegnała się z Shubaelem i Ned Crowe odstawił ją na brzeg. Spacer o zmroku do domu Cowetta wydał jej się bardzo długi. A stamtąd do jej domu - jeszcze dłuższy. Nie zdziwił jej brak dymu z komina domu Cowetta, ale zaskoczyło ją, że dym nie leci również z komina jej domu. Otworzyła drzwi i pierwsze, co zobaczyła, to brudny garnek na zimnym palenisku i potłuczone naczynie gliniane na stole. Pociągnęła nosem. Kwaśne mleko. Stary pot. Brandy.

Lyddie rozpałała ogień, nasłuchując głosów dzieci Clarke'a, ale na próżno. Kiedy ogień już buzował, podeszła blisko drzwi do izby Clarke'a i zajrzała do środka. Zobaczyła niezasłane łóżko, zapach kwaśnego mleka i starego potu był najsilniejszy w jego pobliżu. Ale w pokoju nie było nikogo. Lyddie cofnęła się i wbiegła po schodach na górę. Łóżka dzieci wsunięto pod ściany, zniknął ich skromny dobytek. Lyddie zeszła na dół, potem

wybiegła na podwórze, gdzie natknęła się na rozdętą, muczącą krowę i garstkę kur grzebiących w ziemi, jedna dziwnie utykała. Ale nigdzie nie było ani śladu Clarke'ów.

Lyddie uwiązała krowę, wzięła zydela i skopek, po czym przystąpiła do dojenia. Krowa ze złością kopnęła ją w kostkę i chlasnęła brudnym ogonem w twarz, ale w końcu Lyddie udało się opróżnić jej wymiona i napełnić skopek. Następnie zdjęła pończochę, złapała utykającą kurę, zasłoniła jej łebek pończochą i obejrzała nogę. Była zwichnięta. Ukręciła kurze łebek, z powrotem włożyła pończochę i powiesiła kurę w oborze. Zniosła skopek z mlekiem do spiżarni, przelała część mleka do baniek, resztę - do dzbanka, który wyniosła do piwnicy. Wzięła nóż kuchenny i latarnię, wróciła do obory, oskubała i wypatroszyła kurę, po czym znów ją powiesiła na kołku do czasu, aż będzie miała wolną chwilę, by ją upiec. Dopiero wtedy wróciła do domu i zdjęła sztywne od soli, poplamione mlekiem i krwią ubranie.

Otworzyła drzwi do swojego pokoju i zobaczyła na podłodze złożoną na pół kartkę papieru. Podniosła ją. Wypadł z niej stary banknot funtowy. Złapała go i rozłożyła kartkę.

Droga wdowo Berry!

Wyjechaliśmy, żeby zamieszkać z moim bratem w Connecticut. Jeszcze raz dziękuję ci za twoją dobroć i bardzo przepraszam za wszystkie kłopoty, jakich byliśmy przyczyną. Niech Bóg się ulituje nad twoją duszą.

Twoja pokorna sługa, Patience Clarke

Lyddie przebrała się i wróciła do kuchni, żeby przypilnować ognia. Odrobina herbaty i ciepło bijące od pieca w końcu pokonały odrętwienie, ale Lyddie nie poczuła zadowolenia, jakiego się spodziewała, gdyby kiedykolwiek znów się okazało, że cały dom należy wyłącznie do niej. Częściowo spowodowane to było przeświadczeniem, że mało

prawdopodobne, by Nathan Clarke zostawił ją w spokoju, ale najbardziej dręczył ją brak dymu z komina w sąsiednim domu.

Lyddie miała tak mało czasu, by przemyśleć wszystko, co jej powiedzieli Freeman i kuzyn Shubael o Samie Cowecie, że czuła w głowie kompletny mętlik. Ale jedno widziała wyraźnie: nie będzie próbowała zaprzeczać, że Sam Cowett odznacza się niepowściągliwą naturą, lecz nabrała pewności, że nie wyrządził żadnej krzywdy ani jej, ani jej mężowi.

Lyddie była tak zmęczona, że mocno usnęła we własnym wygodnym łóżku. Spała twardo i z trudem się obudziła. Śniło jej się, że wysoki mężczyzna, którego twarzy nie widziała, ani czarny, ani biały, ani młody, ani stary, ani barczysty, ani szczupły, stoi na drugim końcu kanału przy Drodze Robbina i ją woła. Wiedziała, że chodzi mu o nią, chociaż nie padło jej imię. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła niewyraźną sylwetkę mężczyzny w nogach łóżka, usłyszała jego głos i imię, które wymawiał, ale wciąż myślała, że śni.

- No, Patience, wracaj, gdzie twoje miejsce, bo zobaczysz dzień przed świtem. - Złapał oparcie łóżka i mocno nim szarpnął.

Wstrząs sprawił, że Lyddie natychmiast oprzytomniała. Silas Clarke, pijany, nie w Connecticut, tylko tutaj? Ależ naturalnie, wcale nie wyjechał do Connecticut. Patience Clarke zrobiła to, co robiła już wcześniej: uciekła od niego, tym razem do swojego brata, a nie do szwagra, i Lyddie powinna się tego domyślić, gdyby w pełni dotarło do niej to, co widziała: uprzątnięty pokój dzieci na poddaszu i bałagan w sypialni Silasa Clarke'a. Gdyby Silas pojechał z nimi, Patience Clarke z pewnością sprzątnęłaby również jego pokój. Pozostawała teraz otwarta kwestia, czy Silas Clarke wie, dokąd wyjechała Patience? Albo w ogóle, że wyjechała? Lyddie przekonała się już,

że wszelkie próby rozmowy z nietrzeźwymi są bezowocne. Teraz chciała jedynie pozbyć się Silasa ze swojego pokoju.

- Nie jestem pańską żoną, panie Clarke - powiedziała. - Jestem wdową Berry. A teraz proszę pozwolić mi spać. Porozmawiamy rano.

Sylwetka w nogach łóżka się zachwiała.

- Wdowo Berry...

- Dobranoc, panie Clarke.

- Wdowo Berry, czy wydoiła pani krowę?

- Owszem. A teraz dobranoc panu.

- Moja żona wyjechała do Connecticut. Po powrocie do domu znalazłem wiadomość od niej.

- Tak. Porozmawiamy jutro. Dobranoc. Usiadł na podłodze i rozplakał się. Jego płacz był zduszony, przypominał kaszel.

Lyddie z trudem ściągnęła się z łóżka. Ciągnąc Silasa i popychając, zmusiła mężczyznę, by wstał. Śmierdział potem, moczem, łojem i alkoholem. Zaprowadziła go do jego pokoju, rzuciła na rozgrzebane posłanie i zamknęła drzwi. Wróciła do siebie i zablokowała zasuwkę.

41

Następnego ranka Silas Clarke był wielce skruszony, poszedł do garbarni z mocnym postanowieniem, że rzuci picie, będzie pracował, zaoszczędzi pieniądze, odkupi swój dom i sprowadzi do niego żonę i dzieci. Nawet wrócił z garbarni trzeźwy i Lyddie miała okazję się przekonać, że trzeźwy Silas Clarke jest niewiele lepszy od pijanego Silasa Clarke'a. Rzucił

na stół dwa pensy i zażądał, żeby Lyddie dała mu coś do jedzenia. Kiedy zjadł, oświadczył:

- Wdowo, może cię zainteresuje, że Indianin wrócił. -I poszedł do tawerny.

Indianin wrócił. Na te słowa serce zabiło Lyddie szybciej, ale nie tak jak dawniej. Nie cieszyła się na spotkanie. Ale i nie bała się stanąć z Cowettem oko w oko. Wiedziała, że musi się z nim spotkać i tyle. Musiała zdobyć się na ten jeden raz, by wymazać tamtą poprzednią tchórzliwą ucieczkę. Nie chciała myśleć, co będzie dalej.

Lyddie zaczęła, aż słońce zajdzie i skończy się przypływ, by mieć pewność, że Cowett wrócił do domu. Wcześniej zjadła kolację i ruszyła drogą. Otworzył jej drzwi, jak tylko dotknęła nogą stopnia, ale nie odsunął się i nie wpuścił jej do środka. Stał na progu, z założonymi rękami, wypełniając sobą niemal cały otwór drzwi.

- Pan Clarke powiedział mi, że pan wrócił.

- A więc wciąż słucha pani tego, co on mówi.

Trudno, pomyślała Lyddie, będzie to wymagało większego wysiłku. Postawiła na stopniu obie nogi.

- Słucham wszystkich. Wierzę niektórym. Pan Clarke do nich nie należy. Przyznaję, że raz zaczęłam słuchać jego uwag. Czułam wtedy mętlik w głowie w związku z tym, czego dowiedziałam się wcześniej. Jego słowa w połączeniu z tamtymi faktami utwierdziły mnie w błędnym przekonaniu...

Coś zaszeleściło za nim. Cowett odsunął się od framugi i nie odrywając wzroku od Lyddie, wyciągnął rękę za siebie i pociągnął kogoś do przodu: małą, czarnowłosą kobietę o kremowej cerze, z owalnymi, brązowymi oczami i z gładką, owalną twarzą. Spojrzała na Cowetta, na

Lyddie, znów na Cowetta. Pokazała stół, na którym stał świeżo upieczony, parujący pieróg z mięsem, a potem krzesło, jakby była tu gospodynią.

- Usiąść? - zapytała. - Zjeść?

- Nie - odparła Lyddie. - Nie, dziękuję. Przyszłam, żeby powiedzieć... to, co powiedziałam. Muszę wracać do domu.

*

Na podwórzu Lyddie natknęła się na cuchnącego Silasa ze złośliwym uśmiechem na twarzy. Wskazał na drogę, którą właśnie przysła.

- Co się stało, wdowo Berry? Teraz trochę tam za tłoczno dla pani?

Naturalnie Silas Clarke wiedział o kobiecie. Naturalnie wszyscy o tym wiedzieli. Lyddie bez słowa udała się prosto do swojego pokoju i położyła się na łóżku. W głowie znów kłębiło jej się od pytań. Kim była ta kobieta? Skąd pochodzi? Jest Angielką czy Indianką? Czy przywiózł ją z Kanady, czy też spotkał gdzieś bliżej domu? Najbardziej nie dawała Lyddie spokoju myśl, że kobieta jest Angielką, że niektóre Angielki potrafią się zdobyć na taką odwagę, ale kiedy sobie przypominała czarne włosy, kremową cerę i parę słów, jakie powiedziała kobieta, uznała, że nieznajoma nie jest Angielką. Może Francuzką, ale nie Angielką. Słyszała, że Francuzi często żyją z Indiankami, a nawet się z nimi żenią, ale jaka Francuzka odważyłaby się zamieszkać z Indianinem? Może też wkrótce, jakby jeszcze tego było za mało, ta kobieta spróbuje zaprowadzić swoje papistowskie porządki w samym sercu wrogiej, protestanckiej kolonii? Ta mała, nieśmiała istotka, która przy pierwszej okazji chowała się za Samem Cowettem, nie odważyłaby się na nic tak zuchwałego, ale Sam Cowett owszem, a jeśli Sam Cowett czegoś chciał... Lyddie najlepiej ze wszystkich mogła poświadczyć, jaką siłę przekonywania ma Sam Cowett.

Czyli Francuzka. Albo pół Francuzka, pół Indianka. Ale z całą pewnością nie Indianka.

Ustaliwszy to, Lyddie zamknęła oczy i natychmiast zalała ją kolejna fala pytań. Czy poganin Sam Cowett rozmawiał z tą papistką o indiańskich bogach? Czy rozmawiał z nią o grzechu? Czy rozmawiali o jego zmarłej żonie? Czy w ogóle mówią wspólnym językiem? I co to wszystko obchodzi Lyddie? Cóż, dla Lyddie było ważne, że Sam Cowett już nie należy do niej i nie może do niego chodzić wtedy, kiedy ma na to ochotę, że już nie potrzebuje jej, by mu gotowała i sprzątała, że właściwie do niczego nie jest już mu potrzebna.

42

W osadzie mówiono o niej „Indianka”, co chyba było najlepszym rozwiązaniem. Lyddie wątpiła, by chociaż przez chwilę dopuszczali do siebie myśl, że kobieta może być Angielką. A nazwanie jej Francuzką z całą pewnością umocniłoby ich w przekonaniu, że papiści są zdolni do wszystkiego najgorszego, co tylko można sobie wyobrazić. Ale jak ocenić zachowanie Cowetta? Mogli go nie lubić i mu nie ufać, ale wszyscy w

okolicy kiedyś prowadzili z nim jakieś interesy i prawdopodobnie to się nie zmieni. Indianin-poganiin żyjący z Indianką-poganką nikomu nie przeszkadzał; Indianin z Francuzką to już niebezpiecznie bliskie temu, czego nawet nie mieli odwagi powiedzieć na głos, nie mówiąc już o zaakceptowaniu. A więc przyjęli, że Cowett zamieszkał z Indianką imieniem Marie, co w najmniejszym stopniu nie zmieniło ich zdania o nim.

Jeśli chodzi o Lyddie, miała mało czasu na rozmyślanie o swoich sąsiadach, bo całkowicie absorbował ją Silas Clarke. Czasami wracał z tawerny do domu, nim zaryglowała drzwi, kiedy indziej - nie. Kiedy nie zdążył, stał pod domem i walił tak długo, aż się zmęczył. Pewnego ranka znalazła go na poły zamarzniętego na stopniu pod drzwiami. Następnym razem odkrył, że jeśli drewno nie ustąpi pod jego waleniem, to z szybkością sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Lyddie usłyszała coś przez sen i w pierwszej chwili pomyślała, że to grzmot towarzyszący błyskawicy. Ale potem rozległ się jęk, głuchy łomot i okrzyk bólu. Wstała i zajrzała do kuchni. Zobaczyła Silasa Clarke'a, leżącego wśród odłamków potłuczonej szyby, zakrwawione ręce przyciskał do piersi. Posadziła go, umyła, pomogła mu położyć się do łóżka, potem sprzątnęła kawałki szkła i sama poszła spać.

Tylko jedno czyniło mieszkanie z Silasem Clarkiem znośnym - pieniądze, które dawał Lyddie od czasu do czasu, żeby mu coś ugotowała, posprzątała lub uprała. Kupiła za nie dziesięć sągów drewna i miała pewność, że przynajmniej na początku zimy nie będzie marzła.

*

Lyddie kroić jabłka na plasterki, żeby je nawlec na sznur i ususzyć nad ogniem, kiedy usłyszała pukanie; już od tak dawna nikt nie składał jej wizyty, że początkowo nie zorientowała się, że to pukanie do drzwi. Dzieciół? Gałąź poruszana wiatrem? Znów się rozległo pukanie, tym razem

wyraźniej. Podeszła do drzwi, otworzyła je i do środka wszedł Eben Freeman.

Postarzał się, wychudł, był jakiś bardziej oficjalny. Rozejrzył się po pomieszczeniu i Lyddie się zawstydziała. Okno było byle jak zabite deskami, żuraw nad paleniskiem wisiał na jednym zawiasie, bo Silas wyrwał drugi, kredens stał pusty z uwagi na zamiłowanie mężczyzny do rzucania wszystkim gdzie popadnie, dwa krzesła chwiały się, bo brakowało im szczebelków. Udało jej się wyszorować krew z podłogi i wyprać pościel, żeby nie śmierdziała, ale w powietrzu i tak unosił się zapach skwaśniałego alkoholu i niedomytego ciała.

- Przyszedłem poinformować panią, że dziś zostaną dostarczone panu Clarke'owi dokumenty - powiedział Freeman.

- Dziękuję panu. Mam nadzieję, że nie przyjechał pan specjalnie taki kawał drogi do Satucket jedynie w mojej sprawie.

- Nie, miałem też co innego do załatwienia: sprawy dotyczące Cowetta, statku, ciotki Goss. Betsey straciła cierpliwość. Shubael chciałby, żeby ciotka gdzieś się wyprowadziła.

- Może wymieniłby ją pan za pana Clarke'a? Freeman się uśmiechnął.

- Prawdę mówiąc tak. Moja siostra powinna na własnej skórze poznać, co to znaczy naprawdę uciążliwy lokator.

Lyddie szerzej otworzyła drzwi.

- Napije się pan herbaty? Cydru?

- Cydru, jeśli można. - Wszedł i usiadł obok kominka. Lyddie nalała mu cydru i usiadła naprzeciwko. Zapadło pełne skrępowania milczenie, które zdawało się wiecznie im towarzyszyć.

- Słyszałem, że Sam Cowett wrócił z jakąś kobietą - powiedział w końcu Freeman.

- Tak.

- Czyli straciła pani pracę?

- Tak. Ale teraz Silas Clarke płaci mi za wikt i opierunek. Znów milczenie.

Po jakimś czasie Freeman się odezwał:

- Nie przespałem ani jednej nocy od pani wizyty w Barnstable.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Rzucam się, wiercę i walę rękami w podglówek.

Zastanawiam się, Lydio Berry: przyjaciele? Nie stać nas na więcej? Czy tak bardzo się od siebie oddaliliśmy we wszystkich sprawach? - Wstał i stanął przed kominkiem, na podłodze pojawił się długi cień. Zobaczyła, jak porusza się cień, rzucony przez jego rękę, zanim zobaczyła samą rękę, poczuła, jak muska jej twarz lekko jak cień.

Złapała jego dłoń.

- Nie mogę... - Chciała powiedzieć „myśleć”, ale ostatnim razem, kiedy postanowiła nie myśleć, skończyła w łóżku z Indianinem.

- Czego pani nie może, wdowo Berry?

- Nie wiem.

- Ani ja. Czy nie możemy spróbować jeszcze raz?

Ale nie zdążyła odpowiedzieć, bo przeszkodziło im kolejne walenie w drzwi. Lyddie podeszła, by je otworzyć. Na progu stał Nathan Clarke. Zobaczył Freemana przed kominkiem i wskoczył do środka jak zaniepokojony kogut.

- A więc tutaj pan jest. Mogłem się tego domyślić. Bardzo dobrze, Freeman, w takim razie wyjaśnij mi, co to za bzdury. - Zamachał przed nim pergaminem.

- Uważam, że wszystko jest dość jasne.

- Jasne! Tak do cholery, jest jasne! Osiemdziesiąt sągów drewna! Sto funtów wołowiny! Dziesięć buszli żyta!

Lyddie ze zdumieniem spojrzała na Freemana. Te liczby były znacznie wyższe od tych, które padły w kwietniu, podczas pierwszej dyskusji na temat utrzymania. Ale kiedy słuchała ich kłótni, dostrzegła przebiegłość Freemana; tu ustąpił z jednego saga, tam z jednego buszla. Już miał się zgodzić na zmniejszenie ilości mięsa o dwadzieścia funtów, kiedy nagle jakby przypomniał sobie o Silasie Clarke'u. Może lepiej będzie ustalić wyższe kwoty, żeby wdowa mogła go karmić? Ostatecznie przystali na trochę mniej, niż Freeman początkowo się domagał, ale znacznie więcej, niż kiedykolwiek dostała wdowa Howland. Uzgodnili termin podpisania skorygowanych dokumentów i Nathan Clarke odjechał, uśmiechając się z wyższością, dumny z siebie, że tyle wytargował, podczas gdy Lyddie zachowała dla siebie jedną trzecią domu, znacznie więcej drewna i jedzenia, niż miała odwagę nawet marzyć, a Freeman zagroził, że będzie pilnował terminowego wywiązywania się Nathana z dostaw.

I będzie miał oko na Silasa Clarke'a.

Jak tylko Nathan wyszedł, Lyddie zwróciła się do Freemana z podziękowaniami.

- Sprawilo mi to ogromną przyjemność - odpowiedział z szerokim uśmiechem, który pozostał na jego twarzy tak długo, aż uznała za zupełnie naturalne zaproponować:

- Czy zechciałby pan przyjść do mnie jutro na obiad? Uśmiech Freemana zniknął tak szybko, że Lyddie zaczęła wątpić, czy w ogóle się przed chwilą pojawił.

- Nie mogę. Bardzo bym chciał, wdowo Berry, ale nie mogę. W porze obiadowej jestem zajęty z panem Winslowem, a potem muszę się zobaczyć

z Cowettem. Mam do załatwienia z nim drobną sprawę, nic wielkiego, nie powinno mi to zająć dłużej niż do kolacji... Lyddie zrozumiała aluzję.

- Może w takim razie na kolację? Przyjął zaproszenie i się uklonił.

*

Lyddie stała na stopniu i strzepywała obrus, kiedy kątem oka dostrzegła wysoką postać zmierzającą przez lasek w jej stronę. Spodziewała się, że Freeman przyjdzie prosto od Cowetta, i nie zdziwiła się, że skorzystał ze skrótu przez las. Odwróciła się, żeby go powitać, i stanęła twarzą w twarz z Indianinem. W ciągu tych sekund, odkąd go zobaczyła, ułożyła sobie w głowie kilka zdań, by następnie wszystkie po kolei odrzucić. Przeszedł przez podwórze i stanął w pewnej odległości od niej, pod pachą trzymał jakiś rulon papieru.

- Powiedziano mi, że jest tu Freeman.

- Jeszcze go nie ma. Jeśli chce pan zaczekać...

- Nie. Proszę mu powiedzieć, że znalazłem to, czego szukał. Odwrócił się.

Lyddie zeskoczyła ze stopnia.

- Proszę zaczekać. Cowett się odwrócił.

- Chciałam...

- Proszę powiedzieć Freemanowi, czego pani chce. Założę się, że jeszcze się z panią ożeni.

- Nie zależy mi na zamążpójściu, panie Cowett. Chcę, żebyśmy nadal byli dobrymi sąsiadami. Tak jak dawniej... - Urwała.

- Nie chce to pani przejść przez gardło, prawda? Nie może pani powiedzieć „zanim z panem zległam”.

Odgłos nie był głośny. Właściwie Lyddie nie potrafiła powiedzieć, co było jego źródłem... przyspieszony oddech? Skrzypnięcie buta? Kopnięty

kamyk? Już odwróciła głowę od Cowetta i wystarczyło, by ją uniosła, żeby zobaczyć Freemana, który wyłonił się zza węgła domu i zatrzymał mniej więcej w takiej samej odległości od niej, jak Indianin. Patrzył to na niego, to na nią, w końcu zatrzymał wzrok na Lyddie. Czy wszystko usłyszał? Naturalnie, że tak. Z tak małej odległości Lyddie słyszała jego oddech, jak wciąga i wypuszcza powietrze, ale nie docierało ono do płuc. Wypuścił ze świstem to, które w nich zalegało wcześniej. Odwrócił się na pięcie i zniknął za rogami domu, nie odezawszy się słowem do żadnego z nich.

43

Lyddie ułożyła kolejny list do Freemana i przekazała go przez Jabeza Graya. Zwalniała w nim Freemana z wszelkich zobowiązań wobec niej jako prawnika. Nie spodziewała się odpowiedzi. Zdziwiła się, kiedy tydzień później ujrzała go na progu swojego domu.

Uklonił się na powitanie, wszedł, kiedy go zaprosiła do środka, rozejrzał się ostrożnie wokoło.

- Jest pani sama?

- Tak.

Usiadł na krześle, ale siedział pochylony, gotów zerwać się w każdej chwili. Otworzył teczkę, którą ścisnął pod pachą, i wyjął z niej kartkę papieru.

- Oto pani nowa umowa z Clarkiem. Przyznaję, że w przyszłości będzie lepiej, jeśli zatrudni pani innego prawnika.

Skinęła głową.

- Zdaje się, że poprzednio poleciłem pani Bourne'a.

- Tak. Dziękuję.

Wstał.

- Chciałabym panu podziękować za wszystko - dodała Lyddie. - Pomimo trudności...

- Trudności! Nazywa to pani „trudnościami”?

- A jak by to pan nazwał?

- Nazwałbym to zmaganiem się z węzłem. Przez cały ostatni długi tydzień mój umysł nie zajmuje się niczym innym, tylko próbą jego rozsypnięcia. - Wrócił do swojego krzesła, usiadł, znów się pochylił do przodu. - Muszę panią zapytać. Muszę. O to, co powiedział... Czy może pani temu zaprzeczyć?

- Nie mogę. Odchylił się na oparcie.

- A przecież wiosną tutaj, w tym domu, zapewniła mnie pani, że w tych plotkach nie ma ani źdźbła prawdy.

- Ponieważ wtedy tak było.

- A w Barnstable? Kiedy rozmawialiśmy o nim w Barnstable?

- Już ze sobą zerwaliśmy. Znów się pochylił.

- A kiedy się to zaczęło? Nie może mi pani tego powiedzieć? Czy wtedy, gdy przyszedł do domu Clarke'a, coś was łączyło? Nie, nie musi mi pani mówić. Sam widziałem. A potem w Barnstable jak głupiec

przepraszałem panią za to, że niewłaściwie panią oceniłem. Za mój brak zaufania. Jakim byłem głupcem!

- Pańskie zaufanie nie zostało nadużyte. Rozstałam się z Indianinem wcześniej...

Zerwał się na równe nogi.

- Dosyć! Nie umiem tego pojąć. Nie znam nikogo takiego jak pani.

- Może będzie łatwiej, jeśli potraktuje mnie pan tak jak siebie.

- Jak siebie!

- W tawernie Thachera.

- W tawernie... Wielki Boże! Porównuje pani to, co ma miejsce w tawernie...

- Niewiele się to różniło. Pan był samotnym mężczyzną, spragnionym pocieszenia, i znalazł pan miejsce, gdzie mógł je pan otrzymać, nikogo nie krzywdząc. Sam mi to pan powiedział. Nikt na tym nie traci. Jedyna różnica między nami polega na tym, że pan w zamian za to dał jej monetę, a ja zapłaciłam takim samym pocieszeniem, jakie dostałam. Gdyby pan Otis tu był, prawdopodobnie uznałby nasze grzechy za identyczne.

- Niech pani nie miesza w to pana Otisa. Bóg jasno wyraża się o takim zachowaniu.

- A pan niech Boga nie miesza w to. Ja już go nie niepokoję, a on już nie niepokoi mnie.

- Najwyraźniej.

Lyddie wstała.

- Panie Freeman, jeśli przyszedł pan tutaj, żeby rozprawić ze mną o Bogu...

- Nie przyszedłem, żeby rozprawić o Bogu, ani o Otisie, ani o Cowetcie...

- Nie?

- Nie! Przyszedłem tutaj, ponieważ pani nie rozumiem. Nie rozumiem, jak pani myśli i postępuje, jak ja powinienem według pani myśleć i postępować! Jestem człowiekiem racjonalnym, człowiekiem o szlachetnych zamiarach, człowiekiem uczciwym, a pani okręca mnie...

- Uważam pana za człowieka racjonalnego, o szlachetnych zamiarach i uczciwego, panie Freeman, dlatego tak bardzo mi zależy na tym, żebyśmy się nawzajem rozumieli. Powiedziałam to już i powtarzam jeszcze raz: chciałabym, żeby nadal był pan moim przyjacielem. Zrobił pan znacznie więcej niż inni, by mi pomóc w moim ciężkim położeniu, i nie zrezygnuję z pana przez taki drobiazg.

- Drobiazg!

- Dobrze, przyznaję. Nie drobiazg.

Milczenie.

- Powiedziała pani, za jakiego człowieka mnie pani uważa. A za jakiego człowieka uważa pani Cowetta?

- Za kogoś takiego jak ja. A zarazem zupełnie innego. Zerwałam z nim, bo zabrakło mi odwagi, by się z nim związać. Nie potrafiłam odrzucić obowiązujących stereotypów.

- Tak jak ja nie mogę.

- Trudno.

- Trudno? Mówi pani „trudno”? Jest mi z tym bardzo źle. Prosi pani o zbyt wiele. Jestem taki, jaki jestem, ani lepszy, ani gorszy.

- I ja też nie jestem ani lepsza, ani gorsza, tylko taka, jaka jestem.

Stal oszołomiony.

Ponieważ Lyddie nie miała nic więcej do powiedzenia, też milczała. W końcu Freeman powiedział:

- Żegnam panią, wdowo Berry. Na co mogła odpowiedzieć jedynie:

- Żegnam pana, panie Freeman.

44

Kolejne dni upływały Lyddie na przygotowaniach do zimy: ubijaniu masła, wytłaczaniu i gotowaniu jabłek na cydr i sos, robieniu przetworów z porzeczek i śliwek, układaniu dyń i rzep w piwnicy. Pracowała i czekała na ukojenie, na jakieś poczucie zwycięstwa albo potwierdzenie, że słusznie postąpiła, wywalczywszy sobie prawo korzystania z jednej trzeciej domu, ale na próżno. Co drugą noc budził ją Silas Clarke, albo krzyczący i płaczący pod domem, albo chrapiący i puszczający wiatry w swoim pokoju. A kiedy pewnego ranka wstała i prawie się poślizgnęła na jego wymiocinach, zrozumiała, że nie ma co liczyć na poczucie zwycięstwa, bo niczego nie wygrała. Ta nędzna, zdewastowana chałupa nie była w większym stopniu jej domem teraz niż tydzień przed podpisaniem ugody; nigdy nie będzie jej domem, póki Nathan Clarke pozostanie jej właścicielem, decydującym, kto w niej mieszka. Clarke wiecznie będzie tylko wszystko odwlekał i zapominał o swoich obowiązkach. Freeman ostrzegł ją

przed tym dawno temu, a teraz zobaczyła to wyraźnie. Czekala ją długa walka, w której siły przeciwników były nierówne. A Lyddie czuła się zmęczona. Nogi miała ciężkie, kiedy rano spuszczała je z łóżka. Przez większość dnia bolała ją głowa. Dokuczało jej biodro. Coraz częściej zostawała w łóżku jeszcze długo po wschodzie słońca i kładła się, jak tylko wieczorem zjadła kolację.

Ale pierwszego listopada temperatura tak spadła, jakby ktoś sprawdził datę w kalendarzu. To dało Lyddie nowy zastrzyk energii.

Wybrała się na łąkę po owoce drzewa laurowego, by uzyskać z nich wosk na świece na zimę. Do drugiej zebrała sześć wiader i wróciła do domu, żeby nastawić wodę w kotle.

Silas Clarke najwidoczniej zrezygnował z pracy w garbarni, bo spał w swoim pokoju. Lyddie rozpałiła ogień, a kiedy już porządnie buzował, zaczęła przynosić wodę ze studni. Za każdym razem, kiedy dźwigała wiadro, nogi i ręce tak ją bolały, jakby ktoś ją rozciągał na kole. Postawiła kocioł, napełniła go wodą. Wsypała do wrzątku owoce drzewa laurowego i zbierała wosk, jak tylko się stopił, cały czas dokładając drew.

Silas Clarke coś krzyknął przez sen. Przestraszyła się i obróciła, wosk z szumówki wylał się na spódnicę; złapała fałdy materiału, żeby ratować wosk, ale była zbyt blisko pieca. Wosk skapnął na palenisko i buchnęły płomienie. Język ognia wystrzelił, sięgnął spódnicy, pochłaniając wosk i tkaninę. Lyddie uderzała spódnicę łyżką, co było głupotą, ponieważ wosk, który został na szumówce, tylko podsyczał płomienie, które ogarnęły również rękaw. Złapała wiadro, ale nie została w nim ani kropla wody. Lyddie spowijał teraz gęsty, czarny dym, przez który nic nie widziała. Próbowła stłumić płomienie i nawoływała Silasa Clarke'a. Podbiegła do wieszaka, złapała swój płaszcz i nim starała się ugasić ogień. Dym stawał się coraz

bardziej gęsty i czarny, zaczęła się dusić. Pomyślała: jestem zmęczona. Jestem bardzo zmęczona.

I zapadła się w nicość.

- Najgorzej jest z prawą nogą. I rękami. Udało mi się usunąć większość tkaniny. Nie wiem, w jakim stanie są płuca. Najważniejsze, że wciąż oddycha. Nie wolno dopuścić do tego, żeby przestała oddychać. Rano i wieczorem trzeba ją smarować tym balsamem i zmieniać bandaże. A co trzy godziny podawać tę nalewkę w ciepłym winie.

Lyddie otworzyła oczy i zobaczyła spoglądającego na nią doktora Fesseya.

- Ach! Obudziła się. No, wdowo Berry, cóż pani zrobiła najlepszego?

Lyddie rozejrzała się dookoła. Znów była w swoim dawnym pokoju w domu Nathana Clarke'a. Jej kufer postawiono w tym samym kącie. Mehitable stała tuż za doktorem Fesseyem, Bethiah za Mehitable, a Jane koło drzwi.

- Świece - powiedziała i zakaszła.

- Mówi pani: świece. Musiała je pani zapalić wszystkie na raz? Czy coś panią boli?

- Pali mnie w gardle.

- To od dymu. Nie skarży się na poparzone ręce i nogi, bo nerwy uległy uszkodzeniu. - Poklepał Lyddie po piersiach i wyszedł, a pozostali za nim.

Lyddie zamknęła oczy i nasłuchiwała przyciszonych głosów w drugim pomieszczeniu. W końcu usłyszała czyjś głosik bliżej.

- Babciu?

Lyddie otworzyła oczy. Bethiah.

- Bardzo cię boli?

- Nie. - Wymówienie jednego słowa wywołało u niej atak kaszlu, a od kaszlu rozbolało ją gardło. Kiedy skończyła kaszleć, zapytała: - Kto mnie tu przywiózł?

- Wujek Silas. Też kaszle. Dają mu tonik.

- Czy... - Lyddie poczuła, że zbliża się kolejny atak kaszlu, i umilkła. Szkoda zachodu. Na wszystko szkoda zachodu. Była zmęczona. Zamknęła oczy.

Następne, co usłyszała, to głos Mehitable.

- Matko?

Lyddie otworzyła oczy. Mehitable stała przy łóżku z miską, łyżką i serwetką.

- Muszę cię troszeczkę unieść. - Ułożyła Lyddie nieco wyżej na podgłówku, usiadła na skraju łóżka i zaczęła ją karmić słonym, esencjonalnym bulionem. Lyddie czuła się tak, jakby ogień płonął w jej trzewiach. Podniosła rękę, żeby odepchnąć łyżkę, i zobaczyła, że jest zabandażowana. Podniosła drugą rękę. To samo.

- Córko...

- Nie martw się, matko. Przy odpowiedniej opiece, w spokoju, rany się zagoją. Tak powiedział lekarz. Nie chcesz więcej bulionu? To odpocznij sobie.

Lyddie zamknęła oczy. Odpocząć.

45

Lyddie usnęła. Wydawało jej się, że przespała noc i dzień, ale to chyba niemożliwe, bo pamiętała każdego, kto ją odwiedził: Mehitable z bulionem, ciepłym winem z nalewką, z maścią i czystymi bandażami, i Bethiah, zadającą kolejne pytania, i doktora Fessey'a z nożyczkami, którymi uciął martwe płaty skóry, a potem osłuchał jej płuca i poinformował osoby zebrane w sąsiednim pokoju o dobrych i złych znakach dotyczących jej stanu zdrowia. Przyszedł Silas Clarke, podziękowała mu. Przyszła kuzynka Betsey i tak paplała, aż Lyddie zmorzył sen. Przyszedł Eben Freeman, zapytał ją, jak się czuje, lecz wyszedł, zanim zdążyła mu odpowiedzieć. Znowu przyszedł i powiedział coś o domu, o zajęciu się domem, ale Lyddie była zmęczona. Zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, już go nie było.

Zjawił się doktor Fessey i oświadczył, że jej nogi ładnie się goją, ale płuca też uległy poparzeniu, a na skórze na rękach robią się zrosty. Powinna głęboko oddychać, pić więcej wina, poruszać rękami. Mehitable zaproponowała, żeby wstała i się przeszła, ale Lyddie była zbyt zmęczona. Potrzebowała odpoczynku. Czy doktor Fessey sam tego nie zalecał?

Znowu przyszedł Freeman, usłyszała go, jak w sąsiednim pokoju rozmawia z Clarkiem.

- Jak się czuje?

- Oparzenia się goją, gardło się goi, ale ma zapalenie płuc. Jeśli przeżyje, nie sądzę, by się stąd wyprowadziła. Lepiej sprzedać dom.

- Zgodzi się?

- Uważam, że tak. Ani razu nie zapytała o dom ani o zapasy, ani nawet o przeklętą krowę i kury.

- W rozmowie ze mną też o tym nie wspomniała. Czy ma sprawne ręce?

- Lekarz mówi, że może odzyska sprawność, jeśli będzie ćwiczyła. A to wymaga wysiłku.

- Wysiłek! Czy wysiłek kiedykolwiek ją powstrzymał?

Teraz, pomyślała Lyddie. Teraz już nie chciała się wysilać. Podpisze dokument, zgadzając się na sprzedaż domu, i zostanie tutaj z córką. Mehitable udowodniła, że lepiej zaopiekuje się Lyddie, niż Lyddie potrafi się zatroszczyć o siebie, Lyddie będzie leżała, patrzyła, jak rośnie jej wnuk...

Mężczyźni zaczęli rozmawiać o Silasie, dumnym z siebie, że tak odważnie pospieszył Lyddie na ratunek, znów pracującym w garbarni i chwilowo trzeźwym. Lyddie zamknęła oczy i zapadła w drzemkę.

Kiedy się obudziła, Freeman stał w drzwiach, patrząc na nią, jakby była jakimś egzotycznym ptakiem, przywianym przez wiatr.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Gdyby uniosła pani głowę, zobaczyłaby pani, że za oknem jest ciemno i już dawno skończył się dzień. - W słowach tych było dużo goryczy, co zaskoczyło Lyddie, aż przypomniała sobie Sama Cowetta. Wciąż się na nią gniewał o Indianina. Starając się sprawić mu przyjemność, uniosła głowę i wyjrzała za okno, ale dostała ataku kaszlu. Opadła na poduszki wyczerpana.

Freeman podszedł do łóżka. Zsunął jej kołdrę z piersi, okrytych jedynie rozchełstaną koszulą, ale go to nie powstrzymało. Ujął ją mocno pod pachami, uniósł jej ręce wysoko w górę i zmusił do skłonu. Zaczął mocno klepać ją po plecach. Lyddie znów zakaszła. Zmusił ją, żeby jeszcze mocniej się pochyliła, a ona zaczęła wypluwać duże, zielone kawałki plwociny na chusteczkę, którą podsunął jej pod usta.

Freeman przestał jej opukiwać plecy i znów położył ją na wznak.

- Moja żona miała zapalenie płuc - powiedział.

- Zabrało wiele osób w osadzie.

- Nie zabrało mojej żony i nie zabierze pani, jeśli będzie pani odpluwała. - Schował brudną chusteczkę z powrotem do kieszeni i wyszedł.

Kiedy następnym razem dostała ataku kaszlu, bardziej wiedziona ciekawością niż czym innym, pochyliła się nad serwetką. I rzeczywiście znów pojawiła się zielona plwocina. Przez trzy dni była zielona, potem zrobiła się żółta i Lyddie odkryła, że łatwiej jej oddychać.

Następnego ranka przyszła do niej Bethiah ze swoją robótką.

- Mama mówi, że zna ścieg jodełkowy.

Wielki Boże, naturalnie, że zna ścieg jodełkowy, ale już nigdy nie będzie mogła wziąć igły do ręki i Mehitable powinna o tym wiedzieć. Ale dziewczynka usiadła, otworzyła swoje pudełko z przyborami do szycia, wyjęła kawałek materiału, nawlekła na igłę szkarłatną nitkę. Lyddie podniosła prawą rękę. Przypominała szpon. Kiedy spróbowała rozprostować palce, czuła się, jakby je łamała jeden po drugim. Sięgnęła po igłę, ale wypadła jej z dłoni.

- Kiedy indziej, moje dziecko.

*

Nogi to jedno, ale ręce to zupełnie co innego. Skóra na łydkach Lyddie była błyszcząca i napięta. Kobieta wstała z łóżka, żeby podejść do okna. Nie mogła zginać stóp, więc człapała jak kaczką. Ale z tym można żyć.

Niepokoili ją ręce. Skóra się zagoiła, ale nie była błyszcząca, gładka, tylko porobiły się nierówne zrosty. Tak długo miała zabandażowane dłonie ze zgiętymi palcami, że ścięgna też się skurczyły. Lyddie próbowała prostować dłonie, ale miała w nich za mało siły. Wygramoliła się z łóżka i spróbowała rozprostowywać ręce o ścianę. To dało lepsze rezultaty.

Po tygodniu wiedziała, że nie umie wykonać żadnego ładnego ścięgu, ale była pewna, że może kierować igłą w rączce Bethiah. Zawołała dziewczynkę do swojego pokoju i powiedziała jej, żeby robiła daszki, jeden nad drugim, na samej górze mały krzyżyk, gdzie można byłoby postawić komin, a na dole dwa małe krzyżyki na okapy. Bethiah trzymała igłę, a Lyddie dawała jej wskazówki. Na gałganku pojawił się trochę nierówny szereg czerwonych daszków.

Następnego dnia Lyddie samodzielnie się ubrała i razem z rodziną zjadła śniadanie w kuchni.

Jedynym minusem powrotu Lyddie do zdrowia była zmiana w postępowaniu jej córki. Kiedy Mehitable zlecono opiekę nad matką, dawna uraza ustąpiła miejsca czułości; ale gdy przestała pielęgnować Lyddie, znów stała się oschła, a ostatnio nawet jakby jej unikała. Któregoś ranka Lyddie zapytała Mehitable, czy coś ją trapi, a Mehitable odpowiedziała:

- Dlaczego pytasz?
- Ponieważ jesteś inna niż wcześniej.
- Wszyscy się zmieniamy - odparła Mehitable i ku ogromnemu

zdużeniu Lyddie wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju.

Lyddie próbowała jeszcze raz porozmawiać z córką, ale Mehitable pozostała nieprzystępna.

46

Po czterech okrążeniach pokoju zabrakło jej tchu. Pogubiła tyle samo szpilek, ile opuściła ściegów. Raz się potknęła i upadła, kiedy próbowała zbyt szybko wstać z krzesła. Każdego wieczoru kładła się bardziej wyczerpana niż kiedykolwiek w życiu. Ale gdy Nathan Clarke wezwał ją do swojego gabinetu i zastała u niego Ebena Freemana, serce znów zabiło jej szybciej, tak jak kiedyś.

Eben Freeman siedział bez słowa, przyglądając się jej. Nathan Clarke zaczął od komplementu na temat tego, jak ostatnio poprawił się jej stan zdrowia, a potem szczegółowo wymienił liczne niedomagania teściowej.

- W obecnym stanie rzeczy - oświadczył - pomyśleliśmy, że może chciałaby matka zmienić nasze poprzednie ustalenia. Pomyśleliśmy, że może matka zezwoli na sprzedaż domu, tak jak to pierwotnie planowaliśmy, i zostanie tutaj, gdzie jest matka najbezpieczniejsza.

Mówił bardzo uprzejmie. Trzeba przyznać, że przez ostatnie tygodnie traktował ją z szacunkiem i niczego jej nie skąpił, podobnie jak córka. Jeśli Lyddie czuła jakiś dysonans, to tylko między małżonkami, i przez chwilę zastanawiała się, czy powodem tego była różnica zdań w kwestii jej powrotu do własnego domu. Lyddie wiedziała jednak, że to, gdzie będzie mieszkać, o nic się nie kłopotując - czy tu, czy w swoim domu z Silasem Clarkiem - nie

jest najważniejsze. Zrozumiała już, co może dać człowiekowi dom, a czego - nie. Ale kim będzie ona, jeśli zamieszka tutaj? Zawalidrogą, siedzącą w kącie i robiącą na drutach nikomu niepotrzebne pończochy, starającą się nie przeszkadzać zięciowi, a nawet własnej córce?

- Matko? Proszę. Przecież jesteś kobietą rozsądną. Pomyśl, o ile to będzie praktyczniejsze. Nie jesteś jeszcze zdrowa. Nie możesz się teraz zatrudnić do gotowania i sprzątanía. Śmiem twierdzić, że trudno by ci było nawet utrzymać porządek we własnym domu.

- Utrzymałabym dom we właściwym porządku, gdyby nie mieszkał w nim twój brat.

- Ha! Oto kolejny powód, dla którego powinnaś zostać tutaj. A więc co powiesz? Wystawimy dom na sprzedaż, ty będziesz sobie tutaj wygodnie mieszkała, a do tego będziesz miała okrągłą sumkę na wszystkie swoje szpilki i wstążki.

Szpilki i wstążki. Te słowa przypomniały Lyddie tamten dzień, kiedy Nathan wypowiedział je pierwszy raz, próbując sprzedać dom Edwarda. Gdyby użył innych słów, takich, które nie cofnęłyby jej natychmiast do punktu, z którego zaczęła, co by mu odpowiedziała? Nigdy się tego nie dowie. Usłyszała swój głos:

- Nie mogę się zgodzić na żadną sprzedaż, Nathanie. Nathan wznosił rękę nad głowę.

- W porządku, Freeman, ty z nią porozmawiaj. Ja już straciłem na to dosyć czasu.

Lyddie spojrzała na Freemana. Jeden kącik jego ust uniósł się nieco.

- Wydaje mi się, że wdowa jasno się wyraziła. Wracamy teraz do naszych poprzednich ustaleń.

Głos Freemana, spokojny, równy i głęboki, dodał Lyddie odwagi. Wyobraziła sobie Jamesa Otisa, stojącego przed przewodniczącym trybunału w ratuszu zeszłej zimy, i jej umysł zaczął logicznie pracować po raz pierwszy od kilku tygodni. Od miesiący. Od śmierci Edwarda. Pomysł, śmiały pomysł, świeży załęczek pomysłu zakiełkował pośród od dawna nieprzymuszanych do pracy zwojów jej mózgu. Odwróciła się do Freemana. Powiedział „my” i „naszych”, ale nie robiła sobie zbyt dużych nadziei.

- Kiedyś rozmawialiśmy o konieczności zatrudnienia przeze mnie innego prawnika. Zastanawiam się, czy pana obecność tutaj...

- Jestem tutaj do pani usług tak długo, jak pani zechce, wdowo Berry. Lyddie odwróciła się do Nathana.

- Zamierzasz nadal wynajmować pozostałe dwie trzecie domu swojemu bratu?

- Możesz być tego pewna, matko. I jeśli nie będziesz dbała o dom... Lyddie znów zwróciła się do Freemana.

- Panie Freeman, czy rozwiązał pan sprawę ciotki Goss? Zamrugał powiekami, zaskoczony.

- Nie.

- A czy miałby pan coś przeciwko temu, żebym ja się nią zaopiekowała zamiast pańskiej siostry?

- Eee... Cóż, nie.

- W takim razie proszę, żeby złożył pan mojemu zięciowi nową propozycję. Zgodzi się, żebym sama użytkowała cały dom...

Oczy Freemanowi błysnęły na chwilę, a potem zapłonęły, ale Clarke przerwał jej podniesionym tonem.

- Freeman, proponuję, żebyś pouczył swoją klientkę, jeśli można ją tak nazwać, jakie obowiązuje prawo. Wróć, kiedy odzyska rozsądek.

- Jestem rozsądna, Nathan. Gdybyś mnie wysłuchał...

- Jeśli zaczyna matka od domagania się prawa do korzystania z całego domu...

- Tak, ale na tym się kończy. Nie będziesz mnie musiał utrzymywać ani się mną opiekować. Miałaś tyle zastrzeżeń co do kosztów

I niedogodności z tym związanych, że myślałam, iż będziesz zachwycony, kiedy cię zwolnię z tego obowiązku. Jeśli pozwolisz mi do końca życia korzystać z całego domu, znajdę środki, żeby się utrzymać. Wezmę ciotkę Goss jako lokatorkę za, powiedzmy, czterdzieści funtów rocznie, przyjmę jeszcze kogoś do drugiego pokoju na dole na stałe albo może kilku tymczasowych lokatorów na poddaszu i starczy mi to, by utrzymać nas wszystkich. W ciągu ostatniego roku nauczyłam się oszczędnie gospodarować.

Przynajmniej, pomyślała Lyddie, Nathan w końcu zamilkł. Nawet Freeman otworzył usta, a potem je zamknął bez słowa.

- No i co powiesz, Nathanie? - spytała Lyddie. - Nie uważasz, że to sprawiedliwe rozwiązanie? Do końca życia będzie mi wolno korzystać z całego domu, a ty już nigdy nie będziesz się musiał ze mną dzielić swoim opalem, i żytem, i wołowiną? Naturalnie musisz zabrać swojego brata...

- I stracę czynsz, który mi płaci.

- Chciałbym wiedzieć, ile udało ci się od niego wydusić w ostatnim kwartale - wtrącił się Freeman. - Ponieważ więcej czasu spędza w tawernie niż w garbarni, chyba nie będzie to dla ciebie wielka strata. Jeśli o mnie chodzi, umieszczę ciotkę Goss u wdowy za wymienioną kwotę i jeszcze na tym zaoszczędzę dwanaście funtów rocznie.

- Muszę się naradzić z Doane'em - powiedział Clarke, ale Lyddie odniosła wrażenie, że dostrzegła błysk zainteresowania w jego oczach.

Freeman też musiał to zobaczyć. Wstał.

- Przedyskutuj to z szanownym panem Doane'em. Kiedy podejmiesz decyzję, możesz po mnie posłać do domu mojego szwagra. Do widzenia. - Skierował się do drzwi, nie patrząc na Lyddie ani nic do niej nie mówiąc.

- Postawię jeszcze jeden warunek - odezwała się Lyddie. Freeman się zatrzymał, jakby go ktoś postrzelił w plecy, i Lyddie przez chwilę zrobiło się go żal. Odwrócił się wolno.

- Domagam się, żeby dom doprowadzić do takiego stanu w jakim był przed pojawieniem się w nim pana Clarke'a. Trzeba naprawić okno, i żuraw nad paleniskiem, i kilka krzeseł...

- Wielki Boże! - krzyknął Clarke. - Wyjdź natychmiast! Nie chcę z tobą dłużej rozmawiać! Kiedy podejmę decyzję, będę mówił z twoim prawnikiem!

Jej prawnik wyszedł, a Lyddie opuściła gabinet, kiedy uznała, że Freeman miał czas opuścić dom. Wróciła do swojego pokoju i się położyła. Bolały ją płuca, serce szybko waliło, ale jej umysł wciąż pracował. Nathan Clarke wyrazi zgodę; była tego pewna. Zaproponowała w rozliczeniu coś, co miało nieoszacowaną wartość: mógł na zawsze przestać się o nią troszczyć.

47

Wszystko uzgodniono. Nathan Clarke przekaze Lyddie prawo do dożywotniego korzystania z całego domu; jego brat Silas się wyprowadzi; Nathan naprawi żuraw i okno, ale nie zrobi nic z meblami, bo nie należą do niego, tylko do Ebena Freemana. Lyddie o tym zapomniała. Zaproponowała, że odda Freemanowi meble, ale nie zgodził się ich przyjąć. Powiedział, że nadal rozważa zakup domu w Satucket, ale póki nie ma domu, nie ma miejsca na przechowywanie mebli. Uzgodnili, że Lyddie je zatrzyma, a zamiast pobierać opłatę za ich składowanie, będzie mogła z nich swobodnie korzystać. Lyddie doskonale wiedziała, że bardziej logicznym rozwiązaniem byłoby, gdyby Freeman pobierał od Lyddie opłatę za użytkowanie mebli, ale nie podniosła tej kwestii. Freeman najwyraźniej nie był w nastroju, by przedłużać załatwienie tej sprawy. Przygotowano dokumenty i wyznaczono datę wyprowadzki Silasa Clarke'a; tydzień później Lyddie wróci do siebie; po kolejnym tygodniu przeniesie się do niej ciotka Goss.

To, że Freeman nadal jest czuły na punkcie Cowetta, stało się jasne, kiedy podczas jednej z rzadkich wizyt prawnika Nathan zapytał, czy widział „indiańską wszetecznicę”. Freeman zeszywniał i najpierw spojrzał w kierunku Lyddie, nim odpowiedział, że jeszcze nie miał tej przyjemności.

Lyddie spędzała czas w domu zięcia, odzyskując siły w nogach i rękach, robiąc krótkie spacery i ściskając kłębki przędzy, kiedy uczyła Bethiah szycia i robienia na drutach. Dziewczynka wydawała się przygnębiona i jej smutek sprawił, że Lyddie też zmarkotniała.

Dziewczynka prawdopodobnie martwiła się tym, że wkrótce się rozstaną. Lyddie nie miała zbyt wielkich nadziei, że mieszkańcy obu domów będą mogli się odwiedzać; może nawet wizyty takie zostaną zabronione.

Ósmego grudnia Silas Clarke wyprowadził się i wynajął pokój w tawernie. Piętnastego Lyddie wróciła do siebie. Jot przywiózł ją razem z jej kufrem wozem, do którego przywiązano krowę. Freeman wytargował krowę dodatkowo, oświadczając, że w testamencie Edwarda była wymieniona osobno, a nie razem z „u-trzymaniem i opieką”, więc należy ją teraz też potraktować oddzielnie i oddać Lyddie. Clarke oponował i się krzywił, ale w końcu wyraził zgodę. Lyddie podejrzewała, że zrobił to tylko dlatego, iż zaczął wątpić, czy Lyddie uda się utrzymać bez krowy.

Nazajutrz po przeprowadzce wypadła niedziela. Lyddie akurat wieszła świeżo wypraną pościel Silasa Clarke'a, żeby wyschła na krzakach, kiedy pojawił się wielebny Dunne. Nie wszedł do środka, ale stał na łące, patrząc znacząco na pranie, i zażądał wyjaśnienia, czemu Lyddie nie przychodzi na nabożeństwa.

Lyddie rozważała kilka różnych odpowiedzi, ale każda z nich sprowokowałaby więcej argumentów, niż ona miała siłę odeprzeć. Dlatego zdecydowała się na proste wyjaśnienie:

- Z całym szacunkiem, panie Dunne, to nie pana interes.

Następnego ranka diakon Smalley dostarczył jej zawiadomienie, że została wykluczona ze wspólnoty religijnej. Lyddie spodziewała się, że spotka ją coś strasznego albo przynajmniej będą ją męczyły koszmary, ale tamtej nocy spała głęboko i nic jej się nie przyśniło.

Nazajutrz wieczorem Lyddie kuśtykała ze stodoły do domu, kiedy przypadkiem spojrzała na drogę. W jej stronę szło jakieś małe, zgarbione dziecko. Lyddie obserwowała je i wkrótce stwierdziła, że rzekomym

dzieckiem jest ciotka Goss, a garbem - worek, który zarzuciła na plecy.

Zostawiła prześcieradło i wybiegła na drogę.

- Ciotka Goss! Miała pani się wprowadzić w przyszłym tygodniu. Pan Freeman miał panią przywieźć razem z całym pani dobytkiem.

Ciotka Goss zrzuciła worek na ziemię.

- Ale przyszłam teraz - powiedziała, nie zatrzymując się. Lyddie podniosła worek i podążyła za nią. Staruszka wcale nie była taka niedołężna, jak można by pomyśleć. Lyddie, przy swoich osłabionych płucach i z ciężkim workiem, z trudem dotrzymywała jej kroku. Kiedy dotarły do domu, ciotka Goss pierwsza wkroczyła do środka. Podeszła prosto do krzesła, które Lyddie postawiła przy kominku, usiadła na nim, spuściła głowę i usnęła.

*

Ciotka Goss spała, kiedy Lyddie nastawiła potrawkę, a kiedy ta już się ugotowała, staruszka się obudziła. Wskazała kociołek powykęcany palcem i spytała:

- Baranina? Lyddie skinęła głową. Ciotka Goss oblizwała usta.

Lyddie postawiła na stole dwie miski, a między nimi talerz z chlebem. Nalała dwa kubki piwa i pomogła ciotce Goss wstać z krzesła. Trzeba było sporego wysiłku, żeby ją postawić na nogi, ale kiedy już stała, dobrze się trzymała i pewnym krokiem ruszyła do stołu. Lyddie próbowała z nią rozmawiać, zapytała, czy w domu Hopkinsów zostało coś, co ciotka Goss chciałaby mieć przy sobie, ale ciotka Goss uniosła płasko dłoń i Lyddie zrozumiała ten gest. Żadnych rozmów podczas jedzenia. A zjadła wszyściuteńko. Kiedy ostatnim kawałkiem chleba wygarnęła resztkę sosu z miski i wypila piwo do dna, oblizwała usta i powiedziała:

- Dobrze!

Wstała, nawet nie spojrzała w stronę dużego pokoju od południowego zachodu, zajmowanego przez Clarke'ów, wzięła swój worek, zaniósła go do małej izdebki przylegającej do kuchni od południowego wschodu, opuściła worek na podłogę i rozejrzała się dookoła.

- Potrzebny nocnik.

Lyddie poszła do pokoju Clarke'ów i przyniosła stamtąd nocnik. Staruszka siedziała na łóżku, macając koc.

- Będzie zimno.

Lyddie przyniosła dwa grube koce, które przygotowała, starannie złożone, na komodzie Clarke'ów. Kiedy wróciła, ciotka Goss już leżała pod jednym kocem. Lyddie przykryła ją jeszcze dwoma. Staruszka zaczęła chrapać, nim Lyddie dotarła do drzwi.

*

Freeman pojawił się pół godziny później. Kiedy Lyddie otworzyła drzwi i wymieniła jego nazwisko, chrapanie ustało, ale Freeman zdążył je usłyszeć.

- A więc jest tutaj.

- Tak.

- Powiedziałem Betsey, że ciotka Goss ma się od niej wyprowadzić w przyszłym tygodniu.

Poszedł do małej izdebki i Lyddie słuchała, jak wypytywał staruszkę o krwawiące dziąsła, zwichnięte biodro, bolący łokieć. Dopiero kiedy wysłuchał relacji ciotki Goss o stanie jeszcze kilku części ciała, wrócił do kuchni.

- Rano ją zabiorę.

- Proszę nie robić kłopotu sobie ani jej, panie Freeman. Niech już zostanie.

- Dobrze. W takim razie proszę pozwolić, że zapłacę pani za pierwszy miesiąc. - Wyciągnął z kieszeni cztery funty szterlingi.

Lyddie podeszła do półki, wzięła swój pojemnik z monetami, żeby wydać mu resztę, ale wziął od niej puszkę i ją odstawił.

- Czterdzieści osiem funtów rocznie to niewygórowana kwota, a i tak jeszcze trochę zaoszczędzę.

- Dobrze. Ale jeśli chce pan więcej płacić, musi pan w zamian na coś przystać. Cydru?

Skinął głową.

Lyddie poszła do spiżarni po cydr, a kiedy wróciła, Freeman przysunął dwa krzesła do kominka. Usiedli.

- Czy ma pani już innych lokatorów? - zapytał.

- Nie. I nie spodziewam się, żeby to nastąpiło.

- Bo została pani wyrzutkiem?

- Chyba tak.

- Czy wspomnieli... - Nie mógł dokończyć.

- Wspomnieli o moich nieobecnościach na nabożeństwach i pracy w niedzielę.

Freeman odwrócił się do kominka, wziął pogrzebacz i poprawił ogień. Jakby cały czas o tym rozmawiali, spytał:

- Poznała pani tę kobietę, z którą zamieszkał?

- Tak. To była bardzo krótka wizyta. Obawiam się, że pan Cowett i ja nie jesteśmy już takimi dobrymi sąsiadami jak dawniej. Mam nadzieję, że z czasem ta sytuacja ulegnie poprawie.

Wpatrywał się w nią.

- Wdowo Berry, nigdy wcześniej nie znałem takiej kobiety, jak pani.

- A ja nigdy wcześniej nie znałam takiego mężczyzny, jak pan.

Uśmiechnął się.

- Wiele razy żałowałem, że panią poznałem.

- Ach. Ale co się stało, to się nie odstanie. Spotkaliśmy się. Prawdę mówiąc, uważam, że całkiem dobrze się znamy.

- Chyba tak. A jednak siedzę tutaj i zastanawiam się: teraz, kiedy ma pani swój dom, jest pani w nim szczęśliwa?

- Czy zadajemy sobie takie pytania? Czy nie robimy tego, co musimy?

- Tak, ale czyje „musimy”?

- Posłucham tego, co powiedział pan Otis. Posłucham tego, co mi mówi serce. I będę się tym kierowała w życiu, pamiętając, by inni przeze mnie nie cierpieli.

Przez jakiś czas Freeman w milczeniu poprawiał drwa na kominku. W końcu uniósł głowę i powiedział:

- Jeszcze mi pani nie odpowiedziała na moje pytanie.

- Proszę mi dać trochę więcej czasu, zanim ponownie mi je pan zada.

A na razie, jeśli pan chce, sam może pan na nie odpowiedzieć: jest pan szczęśliwy w swoim domu?

- W Barnstable czasami tak. Kiedy jestem zajęty, kiedy jestem daleko. U mojej siostry niemal zawsze jestem nieszczęśliwy.

- W takim razie może chciałby pan wynająć pokój? Freeman odrzucił pogrzebacz i wstał.

- Nie wiem, jak może sobie pani z tego żartować.

Ponieważ Lyddie nie miała na to odpowiedzi, nic nie powiedziała, a ponieważ Freeman nie miał co odpowiedzieć na jej milczenie, wyszedł.

48

Z wyjątkiem trzech żeglarzy zmiotanego przez sztorm slupu, skierowanych do niej przez Jabeza Graya, Lyddie nie miała lokatorów. Żeglarze zapłacili trzydzieści pięć pensów za nocleg i jedzenie, wypili cały jej cydr, a nazajutrz udali się do Marblehead.

Wkrótce potem Lyddie włożyła do puszeki pierniczki, wzięła dzbanek sosu jabłkowego i poszła drogą do domu Cowetta. Kobieta zaprosiła ją do środka, ale na tym skończyły się albo jej dobre maniery, albo znajomość angielskiego. Lyddie stała skrępowana na progu, powiedziała, że wróciła do swojego domu, i wyraziła nadzieję, że pozna się bliżej ze swoją sąsiadką. Kobieta kiwała głową i się uśmiechała, ale chyba z wielką ulgą zamknęła za Lyddie drzwi. Lyddie nie spotkała się z Samem Cowettem, widziała jedynie jego do połowy naprawione spodnie, rzucone na krzesło stojące koło kominka.

Ale kiedy Lyddie wracała do domu, nagle ogarnął ją ogromny żal, o którym zapomniała w całym zamieszaniu.

Tęskniła za Rebeccą. A może bliższe prawdy było to, że tęskniła za utraconą okazją, przez cały ten czas mieszkając tuż obok obcej sobie kobiety, kiedy przy odrobinie wysiłku mogła zyskać życzliwą sąsiadkę.

*

W tamtym miesiącu Lyddie zgromadziła zimowe zapasy, zrobiła dwieście świec, ugotowała kadź mydła, kupiła na farmie Winsłowa pięć baryłek wełny na zimowe przedzenie. Nie pozwalała ciotce

Goss spać przed obiadem, zlecając jej sortowanie runa, odkładanie na bok matowych kawałków. Następnie Lyddie je natłuściła i dała ciotce Goss do zgręplowania. Na koniec Lyddie uczesała włóczkę i zwinęła ją w kłębki. Na początku stycznia ustawiła kołowrót w bezpiecznej odległości od ognia i wzięła się do pracy, ale stwierdziła, że jej ręce są powolne i niezdarne. Ciotka Goss obserwowała ją, zacisnąwszy usta, ale nic nie powiedziała.

Pierwszego dnia Lyddie pracowała przy kołowrotku dwie godziny. Drugiego dnia ręce jej zdrętwiały już po godzinie. Trzeciego postanowiła dać im odpocząć.

Lekkie pukanie do drzwi rankiem czwartego dnia wywołało ożywienie obu kobiet. Nikt ich nie odwiedzał, odkąd w zeszłym miesiącu Freeman złożył im wizytę. Lyddie otworzyła drzwi i zobaczyła na progu Mehitable. Była tak zaskoczona, że się cofnęła, i Mehitable zrobiła to samo. Lyddie musiała zrobić trzy kroki, by złapać córkę za rękę, i próbowała ją wciągnąć do środka, ale Mehitable się opierała.

- Nie. Może wrócić w każdej chwili i zacznie się dopytywać, gdzie jestem. Chciałam ci tylko dać to.

Wyciągnęła w kierunku matki zaciśniętą dłoń. Na dłoń Lyddie spadł skórzany worek z białym koralikiem, miękki i ciężki. Lyddie go otworzyła i wysypała jego zawartość: siedem szylingów i sześć pensów. Spojrzała na córkę.

- Wejdź do środka.

- Nie mogę.

- W takim razie powiedz chociaż, jak sobie radzisz.

- Dobrze. - Spojrzała na palce Lyddie, którymi matka z trudem zbierała monety, żeby je wrzucić z powrotem do mieszkania. - A ty, matko? Dajesz sobie radę z prowadzeniem gospodarstwa?

- Ze wszystkim z wyjątkiem przedzenia. Ale mam nadzieję, że z czasem będzie lepiej. Dzieci zdrowe?

- Malutki kaszle. - Mehitable urwała. - Widzę, że nie pytasz o mojego męża.

- Dziwisz się, kiedy trzymam w ręku to, co mi przyniosłaś?

- Znalazłam mieszek, kiedy jeszcze u nas mieszkałaś, i nie wiedziałam, co zrobić. Nie wiedziałam, co myśleć. W końcu doszłam do wniosku, że musisz odzyskać pieniądze bez względu na to, jakie będą tego konsekwencje dla mnie. Ale później uznałam, że mój mąż nie chciał cię skrzywdzić. Chciał tylko nakłonić cię do zrobienia tego, co dla ciebie najlepsze. Źle zrobił, odbierając ci twoją własność, ale teraz ją odzyskałaś. Nie możesz mu wybaczyć, tak jak ja mu wybaczyłam?

Lyddie stała w milczeniu. Wydawało się, że upłynęła zaledwie chwila, dwie sekundy, może trzy, podczas których Lyddie oceniała, ile każda moneta kosztowała ją wysiłku, obaw i cierpienia. Mehitable wybuchnęła płaczem i zbiegła ze schodków. Lyddie chciała ją zawołać, ale nic nie miała do powiedzenia swojej córce.

1 lutego 1762 roku

Eben Freeman zsiadł z konia przed budynkiem gospodarczym i zaprowadził zwierzę do środka, po czym uwiązał je w bezpiecznej odległości od krowy. Z własnego doświadczenia wiedział, że krowa ma skłonności do kopania, jak tylko wyczuje za sobą coś twardego. Rozsiodłał konia, złapał szorstki worek i wytarł zwierzęciu boki. Nie zamierzał długo zabawić, ale przyjechał w śnieżycę, a mokry koń w zimnej stajni zawsze zapowiadał kłopoty. Freeman otworzył drzwi budynku gospodarczego, zmagając się z wiatrem, potem zamknął je za sobą na zasuwę i zaczął przebijać się przez zaspy, które nawiał wiatr na podwórze. Kiedy dotarł do drzwi domu, podniósł rękę, zawahał się, w końcu zastukał dość gwałtownie. Czekał, aż ktoś mu otworzy, patrzył na niebo. Było szare i zima jeszcze mocno da się im we znaki, ale zła pogoda na Matki Boskiej Gromnicznej oznacza, że zima już nie wróci, tak przynajmniej głosiło stare porzekadło.

Drzwi się otworzyły. Freeman nosił w myślach jej obraz wszędzie, gdzie był, ale i tak za każdym razem kiedy ją widział, wyglądała zupełnie inaczej. Pomyślał, że była twardsza. Bardziej stanowcza. Mógłby złagodzić nieco jej rysy. Ale nie robił tego.

- Pan Freeman - powiedziała i otworzyła drzwi na całą szerokość. Sprawiała wrażenie dość zadowolonej na jego widok, ale nic poza tym. Tak, przypomniał sam sobie, jak tego chciał. Mógłby zadać sobie pytanie, dlaczego przyjechał w taką śnieżycę, by zobaczyć taką minę, ale mógł zadać sobie pytania o różne sprawy kiedyś, kiedy będzie miał na to ochotę.

Wszedł do ciepłej izby i rozejrzał się z zadowoleniem. Nie potrafił powiedzieć, co się zmieniło w domu, ale znów była w nim gospodynią,

choć ciotka Goss gręplowała wełnę przy kominku, chociaż mała Bethiah siedziała przy kołowrotku, niezgrabnie poruszając nóżkami. Dowiedział się od Betsey, że Mehitable posyłała dziewczynkę do babki, żeby nauczyła się prząć. Ucieszyło go to i jednocześnie zasmuciło. Kolejna para oczu i uszu. Chociaż właściwie nie miał do powiedzenia niczego bardzo osobistego. I jedno nie ulegało wątpliwości: wdowa Berry cieszyła się, że ma dziewczynkę przy sobie. Podbiegła do niej, by jej pokazać, jak ma trzymać nóżki, i ich piękny taniec zwrócił uwagę ciotki Goss. Zwrócił uwagę Freemana. Cóż, jakoś to przeżyje.

Och, jest tyle rzeczy, które musiał znosić w życiu i bez których musiał się obywać!

Freeman podszedł do ciotki Goss i pocałował ją w policzek. Uniosła głowę i przyjrzała mu się uważniej niż wtedy, kiedy mieszkała u jego siostry. Ciekaw był, o czym kobiety rozmawiają, będąc tylko we dwójkę dzień po dniu.

Wdowa zostawiła dziewczynkę i podeszła do Freemana. Wręczył jej cztery funty szterlingi za wikt i opierunek ciotki Goss przez miesiąc, Lyddie schowała pieniądze do kieszeni. Mógł zapłacić jednorazowo za cały rok, mógł przekazywać pieniądze przez swojego szwagra Shubaela, ale sam co miesiąc składał jej wizyty.

Z czym może żyć, bez czego może się obyć?

- Napije się pan czegoś?- spytała Lyddie.

Skinął głową.

Już wiedziała, że dla niego „coś” oznacza cydr. Podeszła do dzbanka i napełniła kufel, potem nastawiła wodę dla siebie i pozostałych. Czekając, Freeman przyglądał się, jak dziewczynka skręca wełnę paluszkami i obraca nogą kołowrotek, najpierw do tyłu, potem do przodu, wypada z rytmu,

zatrzymuje się i znów zaczyna, zatrzymuje się i znów zaczyna. Przejdzie pięć mil, nim szpula będzie pełna, ocenił.

Kiedy herbata się zaparzyła, wdowa jednocześnie postawiła na stole kufel Freemana i swój kubek, tak by mogli usiąść jak najdalej od ciotki i dziewczynki. Freeman zastanawiał się, czy zrobiła tak specjalnie. Czyżby miała mu do powiedzenia coś na osobności? Wątpił. A ponieważ sam miał jej do powiedzenia tylko jedno, starał się to maksymalnie odwlec.

Na stole obok Freemana leżał otwarty zniszczony dziennik. Dałby wiele, żeby przeczytać choćby jedną jego stronę, ale wdowa wyciągnęła rękę i zamknęła go, nim przeczytał datę i zapisek dotyczący pogody. Cóż, w takim razie wypije cydr, powie to, co ma do powiedzenia, i wróci do domu siostry. Zezłości się, jeśli będzie musiała przygotować kolację dwa razy.

- Czy pamięta pani przypadkiem naszą rozmowę sprzed ponad roku? Wspomniałem wtedy o wystąpieniu pana Otisa w sądzie, w którym to wystąpieniu podważył legalność nakazów rewizji.

- Tak, bardzo dobrze pamiętam.

- Może w takim razie zainteresuje panią, że ogłoszono werdykt. Pan Otis przegrał sprawę.

Patrzyła na niego zamyślona, a potem skinęła głową.

- Niezbyt to pana zdziwiło - powiedziała.

- Nikogo to nie zdziwiło, a już najmniej pana Otisa. Ale chociaż nakazy uznano za zgodne z prawem, zdaje się, że nikt nie jest zainteresowany ich wprowadzeniem w życie.

- A więc to koniec sprawy.

- Wcale nie.

Znów mu się przyjrzała i znów skinęła głową.

- Mam nadzieję... - Urwała.

Bardzo dobrze, pomyślał Freeman. Nie wie, co wdowa zapisuje w swoim dzienniku ani o czym rozmawia z ciotką Goss, ale chyba wie, na co ma nadzieję.

I nie planując tego, prawie wcale o tym nie myśląc, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kilka monet.

- Ile za nocleg? - zapytał.

Spojrzała mu prosto w oczy i ani drgnęła.

- Bez wyżywienia?

- Z wyżywieniem.

- Na poddaszu z przygodnymi gośćmi czy w osobnym pokoju na dole?

- W osobnym pokoju na dole.

- Nocleg w pokoju na dole z wyżywieniem trzy szylingi.

- A za dwa tygodnie? Znów ani mrugnęła powieką.

- Dwa funty.

- Cóż, w takim razie, ponieważ zaoszczędzę na tym dwa szylingi, to niech będzie od razu za dwa tygodnie.

Wysypał monety na stół. Wybrał dwa funty szterlingi i posunął je w jej stronę.

- Dziękuję - powiedziała.

Skinął głową i znów zapanowało między nimi milczenie, jak między dwoma ptakami po zmroku.

- Czy chciałby pan obejrzeć teraz swój pokój? - spytała w końcu.

Skinął głową. Wstała i ruszyła, cicho szeleszcząc spódnicą, do północno-zachodniej izby, a on podążył za nią. W chwili kiedy przekroczył próg, pomyślał o drugim pokoju, w przeciwległym kącie domu, i o tamtej nocy w Barnstable, kiedy krążył w swojej sypialni, gdy ona leżała w pokoju

obok. Był pewien, że ani na chwilę nie zmruży oka w tym domu, ale jakie to miało znaczenie? W domu siostry też kiepsko sypiał.

Wskazywała każdy mebel, jakby nie miał oczu, jakby nie był właścicielem tych mebli. Mówiła o pościeli, o śniadaniu, obiedzie i kolacji. Kiedy już wyczerpała to, co mogłaby wymienić, wzruszyła lekko ramionami, uśmiechnęła się i zaprowadziła go z powrotem do kuchni. Sięgnęła po świeże polano, ale Freeman był szybszy i rzucił je na gorący żar. Płomienie strzeliły w górę i ozłociły jej twarz, wyglądając zmarszczki, tak że w przeciwieństwie do niego wyglądała na wypoczętą i zadowoloną. Czy naprawdę? Już prawie nie utykała, ręce miała wprawdzie pokryte szramami, ale mogła nimi wszystko zrobić, nieco się zaokrągliła. Ale kiedy płomienie przygasły, smuga cienia znów pojawiła się na jej twarzy.

- Czy odpowie pani teraz na moje pytanie, wdowo Berry? - spytał. -
Jest pani szczęśliwa w swoim domu?

Kiedy się pogrążała w myślach, stawała się nieobecna. Próbował dociec, czy przeniosła się nad morze, czy tylko kawałek drogi stąd, wreszcie jakby się ocknęła z zamyślenia i utkwiała w nim spojrzenie.

- Zamierzam być szczęśliwa, panie Freeman.